OKO.PRESS CZY OKO SAURONA
UNIJNA KLĘSKA SZCZEPIONKOWA
STUDNICKI? WĄTPLIWY KANDYDAT NA AUTORYTET
TAJEMNICA ZDJĘCIA – IKONY POLSKIEGO LOSU
SIECI
NOWY POLSKI ŁAD CZY TEN WIELKI PROGRAM MOŻE DAĆ ZJEDNOCZONEJ PRAWICY TRZECIĄ KADENCJĘ?
SIECI
NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 12 (434) 2021
22–28 marca 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)
MOCNY WYWIAD
O CO MI CHODZI?
ZBIGNIEW ZIOBRO MÓWI O SWOICH ZASTRZEŻENIACH WOBEC KURSU RZĄDU I MIERZY SIĘ Z PYTANIAMI O MOŻLIWE KONSEKWENCJE ROZBICIA OBOZU
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
12
9 772544 269106

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

wGospodarce.pl

FORUM POLSKA–AZJA
ZBLIŻENIA 2021

WARSZAWA | 22–23 MARCA 2021

- **Polski model państwa dobrobytu** – czy potrzebujemy w nim azjatyckich inwestorów?
- **Postpandemiczne know-how:** jak wykorzystać współpracę do odbudowy systemu ochrony zdrowia?
- **Japonia: mit i gospodarcza rzeczywistość.** Jaki jest obecny stan i najbliższe perspektywy stosunków gospodarczych Polski i Japonii?
- **Polska Wschodnia na Dalekim Wschodzie**
- **Polska w transportowej sieci** – co musimy zrobić, by wygrać rywalizację o miano logistycznego centrum Europy?
- **Polscy czempioni na Dalekim Wschodzie** – ekspansja polskich firm w Azji

Szczegóły na: wGospodarce.pl

Fot. Shutterstock

PATRONI HONOROWI: Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego; MINISTERSTWO AKTYWÓW PAŃSTWOWYCH; MINISTERSTWO INFRASTRUKTURY; MINISTERSTWO ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

PARTNER GŁÓWNY: Takeda

PARTNERZY WSPOMAGAJĄCY: lubelskie Smakuj życie!; PORT GDAŃSK

PARTNERZY DEBAT: BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO; JTI; LOTOS; ORLEN; PGNiG; PKPCARGO

eprasa.pl 28be6bae23

Wilki nie odejdą

Zawsze z pewną niecierpliwością oczekuję na ten moment każdej kampanii nagonkowej przeciw ludziom Zjednoczonej Prawicy. I ogłaszam, że się pojawił. Do gry weszła „troska" o Zjednoczoną Prawicę i „dobre rady" udzielane przez jej przeciwników. Ludzie, którzy codziennie biją w ten obóz jak w bęben, nagle zaczynają się martwić, że prezes Orlenu Daniel Obajtek jest dla niego obciążeniem. Nie śpią, nie jedzą, martwią się. Cóż, lepiej nie brać tego zbyt serio.

Tak brutalnej akcji dawno nie było. Przekraczane są wszelkie granice. Zdecydowali się nawet na rzucenie publice tożsamości, miejsca pracy i nowego nazwiska syna byłej pani premier, który po odejściu ze stanu kapłańskiego uczciwie, w prawdzie, bez żadnych zarzutów zaczął nowe życie. Jego pech polegał jednak na tym, że dało się ten fakt połączyć z Danielem Obajtkiem – choć w prywatnej firmie. To wystarczyło do napaści na niewinnego człowieka, do próby zdeptania jego spokoju. Coś niepojętego.

Wszystko wskazuje, że prezes PKN Orlen nadepnął na odcisk komuś bardzo potężnemu.

Sypią się zarzuty. Nagle wszyscy wzięli się do „dziennikarskich śledztw". Moje podejrzenie jest jednak takie, że nagle ktoś zaczął otwierać teczki z pieczołowicie gromadzonymi brudnymi insynuacjami.

Najpierw twierdzono, że jako wójt Pcimia miał rzekomo niezgodnie z prawem kierować prywatną firmą. Wszyscy zaprzeczyli. Po temacie nie ma śladu. Następnie opozycja zarzuciła mu, że jego nieruchomość gdzieś na rodzinnym polu warta jest 17 tys. zł za mkw. Takich cen nie ma w Polsce. Potem zawyżono koszt mieszkania, które kupił. Oskarżono przy okazji, że deweloper jest właścicielem szkoły piłkarskiej, którą wsparł Orlen. Nie potwierdziło się. Co z tym faktem zrobili autorzy publikacji wcześniej ogłaszający ten nieprawdziwy fakt jako koronny dowód zbrodni Obajtka? Nic nie zrobili. Po prostu przestali o tym mówić. I tak codziennie.

Wszystko to odbywa się w atmosferze absolutnego braku poszanowania elementarnej prywatności: adresu zamieszkania, relacji osobistych, spraw rodzinnych. Jakby naganiano jakiegoś zabójcę, podpalacza, bandziora. W poczuciu, że wszystko można, a i trzeba, gdyż przecież celem nie jest prawda, ale wytworzenie skoku emocji, który zmusi Zjednoczoną Prawicę do wycofania wsparcia dla prezesa Orlenu. Przestrzegam – gdy to się stanie, nikt już nie odważy się na ambitne zmiany w gospodarce, a wilki nie odejdą, rzucą się na kolejną ofiarę.

W wywiadzie dla TVP prezes Obajtek użył dwóch mocnych sformułowań: nalot dywanowy i lincz. Tak określił kampanię, którą prowadzą przeciw niemu media obozu III RP.

Tak, to jest lincz.

Kto jest jego autorem? Nie media. Za dużo widziałem w dziennikarskim życiu, by z daleka nie rozpoznać gotowców podrzucanych przez wywiadownie gospodarcze i służby.

A o co chodzi?

O setki miliardów, które dziś są w budżecie państwa i w inwestycjach Orlenu, a w czasach gdy „piniendzy nie było", trafiały do prywatnych kieszeni.

O Polska Press – niemieckie dotychczas wydawnictwo prasy regionalnej i lokalnej, które przejął Orlen.

O rafinerię Możejki, która po zdjęciu przez Obajtka kilku blokad okazała się świetną inwestycją, co potwierdziło słuszność decyzji o zakupie podjętej za czasów śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

O Lotos, który jest przecież na Pomorzu, którego układ biznesowy nazywany jest „małą Sycylią".

O Ruch, który dzięki przejęciu przez Orlen (ludzie kojarzeni z PO zostawili zgliszcza i długi) pozostanie ostatnim może niecenzurowanym kanałem dystrybucji informacji.

O inwestycje w petrochemię, która ma dać produkty dziś sprowadzane z Niemiec.

O to wszystko idzie gra, dlatego właśnie spadła ta lawina.

Ile są w stanie rzucić na obalenie Obajtka i zatrzymanie tych procesów ludzie, którzy mieli wcześniej te miliardy i te biznesy we własnych kieszeniach? Którzy wykupywali za bezcen odcinane po kolei od narodowych koncernów spółki?

Bardzo dużo.

Dlatego opozycja zrobi wszystko, by nagonka trwała. Takich zleceń nie można nie zrealizować, bo ten prawdziwy mocodawca porażek nie wybacza. O czym przekonująco opowiedzieli nam Mario Puzo, Roberto Saviano i wielu innych znawców systemów mafijnych.

Ta historia szybko się zatem nie skończy. Od nas, opinii publicznej, zależy, czy lincz się powiedzie, czy jednak umiemy odcedzić pianę od faktów.

Michał Karnowski

Reklama | xxx

SIECI

spis treści

35 Pic na wodę Trzaskowskiego
Konrad Kołodziejski

52 Ksiądz Blachnicki – kapłan radykalny
Lidia Dudkiewicz

64 Deficyt języka
Aleksander Nalaskowski

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **LUMP ART**
Krzysztof Feusette

9 **„GDY ONU JEST BARDZO MIŁU"**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WITAJCIE NA FALI!**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **SMARZOWSKI, CZYLI KONFORMIZM**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MARIANA LICHTMANA**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **WIĘCEJ POLSKIEJ MUZYKI W RADIU!**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ZDROWY ROZSĄDEK**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 **ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

26 **JAK UPADA PLATFORMA**
Stanisław Janecki

28 **JEDNO OKO SAURONA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

32 **Z BARTŁOMIEJEM WRÓBLEWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

35 **PIC NA WODĘ TRZASKOWSKIEGO**
Konrad Kołodziejski

38 **SZCZEPIONKA NA INTEGRACJĘ**
Jan Rokita

42 **CO SIĘ DZIEJE Z TERLIKOWSKIM?**
Goran Andrijanić

44 **„ZDJĘCIE, KTÓRE OŻYŁO"**
Jakub Augustyn Maciejewski

HISTORIA

48 **PO CO POLSCE STUDNICKI?**
Piotr Gursztyn

52 **KSIĄDZ BLACHNICKI – KAPŁAN RADYKALNY**
Lidia Dudkiewicz

ŚWIAT

55 **CEL FIDESZU: REELEKCJA 2022**
Grzegorz Górny

58 **PRAGMATYZM ZAMIAST RESETU**
Marek Budzisz

60 **MILCZĄCY PREZYDENT**
Aleksandra Rybińska

62 **LUTER 2.0**
Grzegorz Górny

OPINIE

64 **DEFICYT JĘZYKA**
Aleksander Nalaskowski

SIECI KULTURY

67 **ZDOLNY DO WSZYSTKIEGO**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **KOŚCIÓŁ I DUCH CZASÓW**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

74 **NOWY ŁAD PO ODPOWIEDZIALNYM ROZWOJU**
Maciej Wośko

78 **PRZYWRÓĆMY SPRAWIEDLIWOŚĆ**
Maciej Pawlicki

SPORT

80 **Z IGĄ ŚWIĄTEK**
rozmawia Kamil Gieroba

KUCHNIA

82 **MOJE SMAKI: BEYONCÉ**
Jolanta Gajda-Zadworna

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **TVN – NOSIŁ WILK RAZY KILKA..., CZYLI STUDIUM PRZYPADKU**
Hanna Karp

86 **FELIETONY**
Lech Makowiecki, Piotr Cywiński

88 **KAMPANIA Z MIŁOŚCI**
Jan Pospieszalski

89 **MARCOWE KONCERTY (NA ŻYWO)**
Leszek Długosz

90 **NETFLIX NAJWAŻNIEJSZĄ ZE SZTUK**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 11/0321/F

eprasa.pl 28be6bae23

PGNiG
Polskie Górnictwo Naftowe
i Gazownictwo
Mecenas
Teatru Telewizji
Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera
inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę
wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora.
W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne
objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.

Sygnalista nadaje

Redaktor naczelny „Newsweeka” ***Tomasz Lis*** mocno zaskoczył, stając w obronie prawa chrześcijan do modlitwy w świątyniach. „Otwarte kościoły najbardziej denerwują tych, którzy nigdy do nich nie wchodzą i wolą kpić z tych, którzy to robią. Spokojnie – dalej nie ma takiego obowiązku” – ogłosił. Brawo! Kto wie, co jeszcze przed nami?

I jeszcze jeden cytat z red. Lisa: „Zaczepki pod adresem pani Szydło z powodu porzucenia przez jej syna sutanny są nie na miejscu. Nasze dzieci mają wolną wolę i robią, co chcą. Czasem nam się ich wybory podobają, a czasem nie, co zresztą nie ma większego znaczenia. I tyle”. W kontekście syna pani premier – mądre zdanie. Ale tak ogólnie to trzeba wychowywać, trzeba walczyć.

W sprawie syna Beaty Szydło chodzi o to, że pod zmienionym nazwiskiem pracował w prywatnej firmie powiązanej z Danielem Obajtkiem. Media opozycyjne i tam go wytropiły, i faktycznie zdekonspirowały – choć nie jest to żadna intratna posada, ale mało atrakcyjne zajęcie przy sprzedaży worków foliowych. W tym kontekście trochę szkoda, że Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie przyznaje już tytułu Hieny Roku. Tym razem należy się jak rzadko.

W obronie Tymoteusza Szydły i całej rodziny byłej premier stanęła europoseł Beata Kempa. „Zleceniodawca jest dobrze znany i wciąż stosuje tę samą brudną, patologiczną strategię” – stwierdziła, nie rozwijając tego wątku. A szkoda.

Dwie starsze panie, które uczestniczyły w proteście 8 marca w centrum Warszawy, zapytano, o co walczą. „O wszystkich walczymy. Niech każdy żyje, jak chce” – mówiły kobiety, a jedna z nich przekonywała, że przed wojną i także po niej w Polsce było więcej wolności niż obecnie. Dopytana, czy na pewno w stalinowskiej Polsce było więcej swobód, odparła: „Zdecydowanie było więcej”. Dobra ilustracja maligny, w którą wpadła cała opozycja.

Nie tylko red. Lis zaskakuje w sprawie Kościoła. Red. Tomasz Terlikowski też, choć z innego powodu. Ostatnio ogłosił: „W sprawie komisji ds. pedofilii muszą być działania zdecydowane. Wypadałoby choćby przeszukać kurię krakowską czy archiwum kard. Stanisława Dziwisza. Jeśli mamy podejrzenia, że jakieś fakty są ukrywane, to nie ma powodu, żeby tego nie zrobić”. Kościół wiele przeżył, ale takiego zaangażowania laikatu może nie przeżyć.

Szymon Hołownia kiedyś jeździł po kościołach. Dziś już nie jeździ, ale wciąż głosi kazania. Np. takie, w którym sytuację mieszkańców Puszczy Białowieskiej odniósł do swoich podróżniczych doświadczeń: „W Afryce rozmawiałem z ludźmi, którzy zajmują się ochroną przyrody. I mówili mi, jaki proces muszą przejść mieszkańcy cennych przyrodniczo terenów, zanim zrozumieją, że zamiast zabić i sprzedać raz słonia, można tego słonia pokazać 100 tysięcy razy turystom i lepiej na tym zarobić”. Cenny cytat, przyda się w kampanii rywalom Hołowni.

Nie ma dnia, by nie pojawiła się propozycja istotnej zmiany w języku, którym się porozumiewamy. Trudno już o zaskoczenie, ale czasem wciąż się dziwimy. Bo oto Dawid Gurfinkiel, prezes łódzkiego stowarzyszenia HaKoach, lider zespołu Jidyszkajt, zaproponował w „Wyborczej”, by Rada Języka Polskiego odradziła używania słowa... „żyd”. „Dźwiękowo nie zachęca. Jestem muzykiem. Czuję brzmienie słów. Żeby wypowiedzieć »żyd«, musisz zrobić to przez zęby. A człowiek przez zęby mówi, gdy jest

eprasa.pl 28be6bae23

zły, zdenerwowany" – tłumaczy. Ciekawy punkt widzenia.

Jak więc powinniśmy określać osoby pochodzące z narodu wybranego? Gurfinkiel tłumaczy: „Osobiście preferuję słowo Jehudi. Wiem, że jest hebrajskie, a nie polskie, ale to nie ten żyd od »żydokomuny«, »żydzewa« i innych słów kojarzących żydowskość z tym, co najgorsze". Oryginalny pomysł. Powodzenia.

Dowiadujemy się też, że nawet w Rosji jest lepiej niż u nas: „W Jerozolimie spotkałem wyznawcę judaizmu z Rosji. Był zszokowany i wstrząśnięty tym, że w Polsce mówi się »żyd«. Powiedział, że u nich za »żyda« to się dostaje w mordę. U nich mówi się »Jewriej«. Przed nami stoi praca domowa, którą Rosja odrobiła dawno temu". Czyli to jednak nie jest poważny pomysł. Bo czego, jak czego, ale lekcji to Rosja nie odrobiła. Żadnej.

Zofii Romaszewskiej nie wpuszczono do kościoła, w którym odbywała się msza pogrzebowa za Jana Lityńskiego. Incydent tak skomentował Bronisław Komorowski: „Na szczęście nie popsuła ona atmosfery pogrzebu. (...) O co tu się obrażać? I jeszcze robić przykrość rodzinie z tego tytułu. Co, mieć pretensje, że w ogóle pogrzeb organizuje? Zamiast grzecznie postać sobie albo zgłosić się odpowiednio wcześnie, żeby być zapisaną na listę". No nie zmienił się nam były prezydent, nie zmienił.

Podczas ceremonii głos zabrał m.in. Władysław Frasyniuk, mówiąc tak: „Odchodzisz, nie doczekawszy pełnej satysfakcji, że żyjemy w wolnym, przyzwoitym kraju. Jeśli jest to życie, to spraw, żeby te gwiazdy jaśniej świeciły na niebie. Spraw, żeby te osiem gwiazd było wyznacznikiem dla młodego pokolenia". Atmosfera pogrzebu była rzeczywiście wyjątkowa. Skoro tak mówią na pogrzebach, to jak mówią w domach?

Koalicja Obywatelska, PSL, Lewica i Polska 2050 mają wspólnego kandydata na prezydenta Rzeszowa. Konrad Fijołek – bo tak się nazywa – też mógłby przemówić na pogrzebie, bo okazało się, że w mediach społecznościowych pisał tak: „Jeeee...ć jeeee...ć kaczystan!!!!". Zapytany o tę sprawę zapewnił później, że użycie wulgarnych słów „było w pełni świadome i adekwatne". Cóż, człowiek z taką kulturą rzeczywiście ma szansę na karierę po stronie opozycyjnej.

Wojciech Mann znów ogłosił, że „Trójki już nie ma", ponieważ „została zadeptana, zniszczona i rozjechana prymitywnym walcem". „Dlatego mogę życzyć wszystkim mediom w Polsce, żeby zniknęła opresyjna, beznadziejna, tępa, propagandowa władza. I wtedy zobaczymy, czy na gruzach tego dziadostwa, co nabudowali, pakowania wszędzie tej ohydnej propagandy, da się odbudować coś, co będzie miało klasę i format dawnych mediów". No i znów będzie na jedną nutę. Ten pluralizm jest już nie do zniesienia.

Wojciech Mann jest jednak wciąż ciekawy świata. „Ja zaglądam do TVP. Ale przyznaję odrzuca mnie. Niedawno z ciekawości obejrzałem jej nowy program kabaretowy. Zapowiedzi były szumne, a ja przecież w swojej działalności również zahaczałem o kabaret i satyrę. Tak nieśmiesznego widowiska, opakowanego w błyski, światła i kolorowe reflektory, już dawno nie widziałem. Obejrzałem ten pierwszy wieczór i byłem kompletnie przygnębiony". Tu zgoda. Polskie kabarety – wszystkie – są w istocie dramatycznie smutne.

Lecha Wałęsę zapytano, w jaki sposób podsumowałby swoje życie. „Ja wszystko, co sobie założyłem, zrobiłem – i jeszcze więcej. A sobie założyłem w młodości, jak słuchałem rodziców i dziadków, którzy tęsknili do uwolnienia Polski i chciałem dożyć do tego, jak dojedziemy do przystanku »wolność«. I los dał mi stanąć na czele, kiedy dojechaliśmy. I to jest mój największy sukces. Natomiast postanowiłem też ten efekt zwycięstwa oddać narodowi. Oddałem i przegrałem". Jak na Wałęsę, skromnie.

Pierwszy przewodniczący Solidarności został też zapytany, jak chciałby zostać zapamiętany. „To mnie nie obchodzi. Jak już nie będę przeszkadzał, nie będę zagrażał, nie będę się mieszał, to będą mnie świętym ogłaszać. Ja wiem, jak będzie" – zapewnił. Fakt, czas wiele zmienia, ale nie sposób przewidzieć w którą stronę.

Donald Tusk pożegnał partię Orbána, która odchodzi z Europejskiej Partii Ludowej: „Fidesz opuścił chrześcijańską demokrację. Prawdę mówiąc, opuścił ją wiele lat temu" – stwierdził. Cały on: słowne sztuczki, grepsy i wielkie zakłamanie. Jest przecież odwrotnie: to EPL przestała być chadecją, nie Fidesz.

Do rządzących w Polsce Tusk skierował zaś takie oto słowa: „Okradają własny naród w czasie tragicznej zarazy. Ich rządy przejdą do historii jako czas hańby. Trzeba to wreszcie głośno powiedzieć". Po co te nerwy? Marszu Polski ku wielkości nie da się już zatrzymać.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, M. Czutko, Mateusz Żelnik

eprasa.pl 28be6bae23

Lump Art

Cześć wszystkim! Nie wiem, czy mnie poznajecie, bo przebrałam się za Europejkę, a Europejka nie może, k..., wyglądać jak pięść do nosa. Albo wół do karety. Dodatkowo, jak wiecie, trochę żółci wyrzuciłam z siebie przez ostatni rok, a sprawy, którymi mam zamiar teraz się zająć, są mniejszej wagi niż te, przez które dostałam gazem dwa razy (szczerze mówiąc, liczyłam na więcej). Wracam, k..., na scenę z przytupem o ciężarze gatunkowym godnym konstrukcji wieży Eiffela albo – co pewnie bardziej pasuje – Łuku Triumfalnego. To ja – osoba, która powiedziała polityce „wyp...alać". Niestety wszystko jak grochówą o ścianę.

Długo zbierałam się do kupy. Bo miało być inaczej. Mieliśmy podbić Warszawę, Poznań, Kraków, Wrocław, a na końcu dokonać aneksji ciemnogrodu rozsianego po Polsce w liczbie ponad 50 proc. wyborców. Niestety ładnie żarło, a zdechło. Ten, k... „megazaj... bisty plan" paru gości z walizkami skichał się już na starcie. Po pierwsze: nie aresztowano mnie, nie zakuto w majdany, nie sponiewierano. Plan zauroczenia osób politycznie obojętnych słowami „wyp...alać" i „j...bać" po prostu nie wypalił.

Potem było jeszcze gorzej. Złośliwe, najwidoczniej niewystarczająco lewicowe media zaczęły informować o słabnącej frekwencji na naszych iwentach. Pseudofachowcy od internetu pokazywali, że spada nam zainteresowanie nie tylko uliczne czy młodzieżowo-nabańczone, ale i na trzeźwo, w internecie. Jakże obleśne wydają mi się dziś te proste krzywe wskazujące, że liczba wyszukiwań naszych treści leci na mordę, psia jej mać. Co gorsza, zaczęto to łączyć z moją skromną osobą! Powiedziałam sobie wtedy: „Dość! Wyp...alaj z tego towarzystwa, jak najszybciej. Dobra, coś tam jeszcze naściemniasz, powymyślasz nowe świeckie tradycje, jakieś »zmiany wystroju pokoju« zamiast pierwszej komunii albo lepienie ze śniegu aktywisty zamiast strojenia choinki, ale to i tak koniec!". Bo polityka pokazała nam środkowy palec, a hasła z naszych transparentów, gejparentów, lesparentów i biparentów – zwróciły się przeciwko nam... Tak sobie myślałam, gdy żegnałam się z ulicą. Trochę pochlipałam, trochę pochodziłam po domu, bo w domu bluzga się jeszcze lepiej (zwłaszcza lustro mnie wk...wia, chyba nawet bardziej niż taboret). Ale minęło kilka dni i dotarło do mnie, że to jest jednak moje przeznaczenie. Mogą mi zamknąć kanały informacyjne, ale nie mogą zabronić mi być osobą publiczną.

Więc wracam do was, siostry sisters i bracia braders, w tej właśnie formie, jako stenduperka czy tam stendaperka, wszystko jedno. I widzę wasze rozdziawione billboardy – jak to?! Ona, matka i ojciec rewolucji w jednym, chce się teraz zająć kabaretem? Jeśli ktoś tak pomyślał, może od razu wyp...alać. Przecież to od początku był kabaret. Jak mogliście wziąć na poważnie osobę, która startowała w wyborach nie raz i nie dwa, nie dostała poparcia, a potem zebrała tłumy pod czerwonym piorunem w głowie? No, jaja jak berety.

KRZYSZTOF FEUSETTE

Jednak prawdziwe poczucie humoru mam zamiar zademonstrować wam dopiero teraz. Na przykład taki dowcip: przychodzi baba do lekarza, lekarz pyta: „Co pani jest?", a baba: „Aktywistka". Dobre, co, he he? Aha, zapomniałam dodać, że to był psychiatra. Albo taki kawał: Polak, Francuz i Niemiec spotkali diabła i diabeł mówi: „Przepuszczę tylko tego, który mnie zaskoczy!". Francuz mówi: „Tak naprawdę to ja jestem Francuzką", diabeł – zero zaskoczenia, Niemiec: „Jestem polskim dziennikarzem", diabeł – żadnej reakcji. A Polak: „Nazywam się Donald Tusk...", a diabeł – w szoku. Że Tusk to Polak, kumacie? I go przepuścił. Albo następny: przychodzi baba do lekarza, a lekarz też facet. Też dobre, co? A jak dobre, to czemu nie rżysz, frajerze z drugiego rzędu, trzeci od prawej? Podejść do ciebie?! Wyp...alaj. Śmieszne, co? Najważniejsze, że wyszedł. Bo ja lubię „beką" kręcić. To znaczy „bekę", nie „beką". To może zatańczę? Bo muszę wam powiedzieć, że ja naprawdę potrafię śmiać się sama z siebie. Oczywiście, tylko wtedy, gdy nie jestem wk... wiona. Ale teraz trochę jestem. Więc cały czwarty rząd, który przed chwilą rechotał, wyp...alać. Dziękuję. To może znowu kawał, zanim te cwele zostaną przez ochronę wystawione na zewnątrz? Nic na to nie poradzę, że nienawidzę, k..., ludzi bez poczucia humoru.

No, dobra, to co to jest: wielkie i rzuca mięsem? Kto powiedział: „ty"? Macie go, panowie? Posłuchaj, gnoju, jak przychodzisz na kabaret, to się zachowuj, k..., kulturalnie, okej? Wyj...bać tę małpę. No, więc: co? Maszyna do mielenia mięsa? Nie. O, żesz ty, k..., który to krzyknął? Który krzyknął, że słoń rozszarpujący hienę? Pamiętajcie, że cały czas patrzę na was, a pod sufitem są kamery. To może coś o Kościele... Zaraz, chwileczkę, a gdzie państwo wychodzą? No, dajcie spokój, przecież ja nie gryzę! Głuchy jesteś, baranie? Siadaj na d... i słuchaj kawałów, do cholery, bo nie będę dwa razy powtarzała! Wszyscy na miejsca, drzwi i tak są zamknięte! Klementyna, sprawdź, czy siedzą zgodnie z biletami i zabierz im czipsy. A potem wyp...alaj, bo ja tu teraz stend-up pokazuję. Dobre, co nie? A więc: heloł, k..., jak się bawicie? Jak się bawicie, to klaszczcie. Głośniej! Raz – dwa, raz – dwa. I to ja wam powiem, kiedy skończyć.

eprasa.pl 28be6bae23

„Gdy onu jest bardzo miłu”

Lewicowa rewolucja odkryła nowy problem. Jest nim gramatyka języka polskiego

Na szczęście wiemy już, jak mówić i pisać w sposób niedyskryminujący, empatyczny i wolny od stereotypów o kobietach, osobach LGBT, uchodźcach, Żydach i Afrykanach. Zalecenia w tej sprawie wydała w specjalnym poradniku agencja FleishmanHillard. Za krzywdzące słowa uznano m.in.: „homoseksualista”, „Murzyn”, „mniejszości seksualne” czy „migranci ekonomiczni”. Publikację patronatem merytorycznym objęła Rada Języka Polskiego, a honorowym patronem został rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Poszczególne rozdziały publikacji zostały przygotowane przez autorów i autorki znanych organizacji pozarządowych, np. Fundacji Dziewuchy Dziewuchom czy Stowarzyszenia Kampania przeciw Homofobii.

W publikacji zapisano m.in., że niewskazane jest słowo „homoseksualista”, zamiast którego należy mówić „osoba homoseksualna”. Omijać należy także termin „mniejszości seksualne”, z uwagi na to, że pomija cechy inne niż seksualność. I tu muszę przyznać, że w lewicowej rewolucji nieco się zagubiłam, gdyż wydawało mi się, że właśnie głównie o seksualność tu chodzi. Mroki mojego zagubienia próbował rozwiać poseł Lewicy Maciej Gdula w wywiadzie, który publikowaliśmy w niedawnym numerze tygodnika „Sieci”: „Wiele procesów emancypacyjnych wymaga od nas dobrej woli i wrażliwości. Ja też się uczę emancypacji, a najlepsza droga to zrozumienie i wysłuchanie doświadczenia innych ludzi. Sprowadzanie wszystkiego do seksualności jest zawężające, bo przecież osoby trans mogą być różnej orientacji, to znaczy, np. kobiety trans mogą być lesbijkami. Jest wiele osób, które nie czują identyfikacji z żadną płcią. Wydaje nam się to dziwne, bo rodzi pytanie: kim oni są? Ale istnieje takie doświadczenie” – tłumaczył Gdula.

Wróćmy jednak do poradnika. W rozdziale na temat kobiet znajdujemy instrukcję, by stosować żeńskie formy gramatyczne „prestiżowych funkcji i zawodów” – m.in. by do nauczycielek akademickich zwracać się „pani profesoro”. I tu trzeba zauważyć, że rewolucja czasami gubi się we własnych meandrach. Okazuje się bowiem, że feminatywy nie są już największym problemem lewicy. Teraz są nim neutratywy, czyli słowa ukute na nijakie wersje słów nacechowanych płciowo, analogicznie do feminatywów, czyli wersji żeńskich. A już prawdziwą zmorą gramatyki mają być zaimki. Dowodzą tego twórcy strony zaimki.pl. „Polska gramatyka jest skomplikowana i silnie zgenderyzowana. Nie oznacza to jednak, że niemożliwe jest używanie innych form niż »on« i »ona«”.

Autorzy zaimków.pl tłumaczą, dlaczego zaimki są takie ważne: „Bo zwracanie się do kogoś tak, jak sobie życzy, jest podstawą relacji społecznych. Nie powiesz do Ani „Franku”, nie powiesz „na ty” do osoby, z którą jesteś „na pan” itp. A są osoby, które nie chcą, by im mówić „on” ani „ona”. Czy to uszanujesz, świadczy wyłącznie o Tobie”.

Jak więc należy się zwracać do osób niebinarnych? Należy korzystać z form postpłciowych. Jak one brzmią? Wszystko znajdziemy na stronie zaimki.pl.

onu/jenu – rodzaj postpłciowy, dukaizmy

onu/jejo – rodzaj postpłciowy z łączonymi formami męskimi i żeńskimi

ne/nego – rodzaj postpłciowy z neozaimkami ne/nego

Gdyby ktoś nie nadążał, twórcy strony podają przykłady użycia zaimków w zdaniach: „Myślę, że onu jest bardzo miłu, przyjacielsku i urzekającu. Tęsknię za jenu śmiechem. Napiszę do nienu później. Powiedziałum wu, że nu lubię. Chciałubyś pójść do kina?”.

Kto jest autorem strony zaimki.pl? Kolektyw Rada Języka Neutralnego – rzecz jasna. Podpowiadam jednak lewicowej rewolucji kolejny problem. Trzeba teraz stworzyć całą etykietę ustalania, jak osoba, do której chcemy się zwrócić, się identyfikuje. No bo przecież samo pytanie może być obraźliwe i wykluczające. Nie wiem już, czy się śmiać, czy płakać. Obawiam się, że to lewicowe szaleństwo nie ma końca lub gdzieś tam przy granicach absurdu będzie musiała czyhać policja myśli, bo inaczej nie da się nad tym zapanować.

Dorota Łosiewicz

Upadek CDU

Niemcy

Wybory, które odbyły się 14 marca w dwóch niemieckich krajach związkowych, skończyły się – jak piszą media za Odrą – „historyczną klęską" chadecji. CDU nie udało się odbić landtagów w Badenii-Wirtembergii i Nadrenii-Palatynacie. W pierwszym większość utrzymali Zieloni, a w drugim wygrało SPD. Straty CDU w obu landach były spore. W Badenii-Wirtembergii partię Angeli Merkel poparło zaledwie 24 proc. elektoratu, dając chadekom najgorszy w historii wynik w tym landzie. Zyskali za to Zieloni, i to w obu krajach związkowych.

W konsekwencji także na poziomie federalnym CDU spadła poniżej 30 proc. Według sondażu RTL/ntv-Trendbarometer chadecy – gdyby teraz odbyły się wybory do Bundestagu – mogliby liczyć na 29 proc., Zieloni na 21, SPD na 16, AfD na 10, a FDP i Die Linke – każda na 8 proc. poparcia. „Chadecy zaczynają się bać. Pół roku przed wyborami do Bundestagu muszą zadać sobie pytanie, w jaki sposób jeszcze mogą odwrócić niekorzystny dla nich trend" – czytamy na stronie Deutsche Welle.

Tymczasem Zieloni triumfują, zdobywając nie tylko kolejnych wyborców, lecz także nowych członków. Jest to efekt przejmowania części elektoratu SPD oraz mody na walkę ze zmianami klimatycznymi, z którą partia Roberta Habecka i Annaleny Baerbock jest utożsamiana. Gdy Zieloni powstawali 40 lat temu, byli partią awanturników, której nikt nie traktował poważnie. Dziś rządzą w 11 krajach związkowych. Sukces zawdzięczają wyzbyciu się najbardziej lewicowych postulatów i osiągnięciu wewnętrznej równowagi między umiarkowanym a radykalnym skrzydłem. Zieloni nadal chcą walczyć z ekonomicznym wyzyskiem i z dewastacją środowiska, ale w połączeniu ze sprawnie działającą gospodarką i konstytucyjnym ładem. Zachowując swoje pacyfistyczne i ekologiczne korzenie, stali się więc ugrupowaniem pragmatycznym, które spośród niemieckich partii jest najbardziej sceptycznie nastawione do współpracy z Chinami i Rosją.

Zdaniem krytyków CDU dała się „zwampiryzować" Zielonym, prowadząc postępową politykę w kwestiach imigracji, gender i klimatu. Celem było zachowanie władzy za cenę rezygnacji z konserwatywnych pozycji. Angela Merkel poszła z duchem czasów, ale teraz jedynym ratunkiem dla jej partii jest przejście do opozycji.

Zderzenie z zielonym kanclerzem i lewicowym rządem mogłoby zmobilizować chadecję, pozwolić na jej odbudowę. Tyle że taki scenariusz jest obecnie mało prawdopodobny. Zieloni raczej nie wygrają wyborów do Bundestagu na jesieni, a nawet jeśli, to nie będą w stanie utworzyć koalicji innej niż z CDU/CSU. Ale bez nich chadecy też nie będą mogli rządzić. „Wampiryzacja" chadecji przez Zielonych – pisze Ferdinand Knauss na łamach portalu Tichy's Einblick – będzie więc trwać, a nawet się nasili. A za tym pójdzie dalszy upadek partii Angeli Merkel.

Aleksandra Rybińska

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com, shutterstock x3

Wojskowe pranie mózgów

USA

Amerykańska lewica nie zadowala się wyłącznie kasowaniem niepoprawnych książek. Równie ważne jest dla niej promowanie „odpowiedniej" literatury. Żołnierze Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych dostali ostatnio bardzo konkretne lektury do czytania.

Czy chodzi o tytuły z dziedziny wojskowości? Nic z tych rzeczy. Książki, jakie powinni czytać amerykańscy żołnierze, są z gatunku woke. Jest to ostatnio bardzo modne określenie w USA na typ książek mających przebudzić czytelnika i uczulić go na prawa i potrzeby otoczenia. Dotyczą one zwłaszcza problemów Afroamerykanów.

Kilka tygodni temu admirał Michael Gilday opublikował nową wersję programu lektur dla marynarki wojennej. Program ma długą tradycję. Przez lata w jego ramach promowano książki z zakresu wojskowości, nowych technologii itp. „National Review" podał jednak, że tym razem wśród 48 pozycji znalazły się książki stricte polityczne i ideologiczne. Na liście można znaleźć m.in. „Jak być antyrasistą" Ibrama X. Kendiego, „Mniejszości seksualne i politykę" Jasona Piercesona i „Nowego Jima Crowa" Michelle Alexander. Jak wskazują tytuły, są to pozycje kontrowersyjne, wpisujące się w polityczną i ideologiczną wojnę trwającą dziś w USA. Autorzy wymienionych książek jednoznacznie opowiadają się po jednej stronie sporu. Kendi utrzymuje na przykład, że kapitalizm jest... konstruktem rasistowskim. Oskarża też białych o wykorzystywanie AIDS przeciwko czarnym.

Czy oznacza to, że od teraz normą będzie indoktrynowanie żołnierzy? Patrząc na zaskakująco mocną ideologiczną ofensywę administracji Joego Bidena, jest to chyba nieuniknione. Jedną z pierwszych decyzji nowej administracji było zdjęcie zakazu wstępowania do armii osób transseksualnych. „Chcę włączyć wszystkich kwalifikujących się Amerykanów w służbę ojczyźnie" – tłumaczył wówczas Biden. Czy tak samo chce włączyć wszystkich żołnierzy w lewicową agendę ideologiczną?

Łukasz Adamski

eprasa.pl 28be6bae23

Turcja

Ręka na gazie

Parlament Turkmenistanu ratyfikował porozumienie z Azerbejdżanem w sprawie wspólnej eksploatacji złoża gazu ziemnego i ropy naftowej Dostłuk (Przyjaźń) leżącego na dnie Morza Kaspijskiego, które dotąd było przyczyną licznych sporów między obydwoma krajami. W 2008 r. kontrowersje związane z kwestiami praw do złoża doprowadziły nawet do zerwania na pewien czas stosunków dyplomatycznych między Baku i Aszchabadem. Teraz jednak nowa umowa umożliwi realizację projektu gazociągu transkaspijskiego, o którym szef turkmeńskiej dyplomacji Raşit Meredow rozmawiał pod koniec lutego ze swoim tureckim odpowiednikiem Mevlütem Çavuşoğlu. Spotkanie w Ankarze, którego celem było wypracowanie porozumienia między Azerbejdżanem i Turkmenistanem, jest kolejnym dowodem rosnącego znaczenia Turcji, która po niedawnej wojnie w Górskim Karabachu umocniła swoją pozycję w regionie.

Eksperci szacują, że złoże Dostłuk zawiera od 50 do 150 mln ton ropy naftowej i ok. 30 mld m sześc. gazu ziemnego, choć nie wyklucza się, że jego zasobność może być większa. Porozumienie mówi o tym, że 70 proc. zasobów należy do Turkmenistanu, a 30 proc. do Azerbejdżanu. Baku miało się zgodzić na nierówny podział dlatego, że w toku negocjacji ustalono, iż transport wydobytej ropy naftowej i gazu ziemnego będzie się odbywać za pośrednictwem azerskich rurociągów, a głównym operatorem systemu ma być azerski SOCAR. Planowany od 2018 r. gazociąg transkaspijski przebiegnie więc przez Azerbejdżan, który uzyska w ten sposób dodatkowe źródło dochodów w postaci opłat przesyłowych. Z punktu widzenia Aszchabadu nowe przedsięwzięcie także jest niezwykle istotne, bo zmniejsza stopień uzależnienia Turkmenistanu od eksportu gazu ziemnego do Chin i całkowicie uniezależnia od rosyjskiego Gazpromu, który w przeszłości wykorzystywał swoją dominującą pozycję rynkową do dyktowania cen gazu kupowanego od Turkmenistanu.

Patronująca porozumieniu Turcja dąży z kolei do zbudowania regionalnego hubu gazowego, dzięki któremu będzie mogła pośredniczyć w sprzedaży paliw do krajów południowej Europy. W projekt gazociągu transkaspijskiego mają też włączyć się firmy z Chin, czemu sprzyjają dobre relacje Ankary z Pekinem. Co ciekawe, zainteresowanie projektem wyraził rosyjski Łukoil, który najprawdopodobniej również zostanie włączony do konsorcjum, jednak zdaniem ekspertów symbolem zmian zachodzących na południowym Kaukazie jest to, że to nie Rosjanie rozdają w tej sprawie karty, lecz Turcy.

Marek Budzisz

Pożegnanie z wolnością

Hongkong

Konserwatywny think-tank Heritage Foundation i „The Wall Street Journal" ogłosiły swój coroczny ranking wolności gospodarczej na świecie. Od ćwierć wieku w pierwszej trójce regularnie pojawiał się Hongkong jako jedno z najlepszych miejsc do prowadzenia działalności biznesowej na kuli ziemskiej. W tym roku zniknął on w ogóle z listy. A właściwie znalazł się na 107. pozycji, ponieważ tak nisko sklasyfikowane zostały Chiny. Autorzy zestawienia przestali po prostu uważać Hongkong za odrębną jednostkę autonomiczną, wpisującą się w zasadę „jedno państwo, dwa systemy". Dziś wiadomo, że panuje tam już jeden ustrój – komunistyczny.

Potwierdza to przegłosowana niemal jednogłośnie w Pekinie nowa ordynacja wyborcza, przekreślająca dotychczasowe zasady wyłaniania władz obowiązujące w Hongkongu od roku 1997, gdy enklawa przestała być kolonią brytyjską. Obecnie połowę Rady Legislacyjnej wybierają obywatele, drugą zaś połowę stanowią przedstawiciele firm, korporacji i grup interesu, tradycyjnie lojalni wobec Pekinu. Skład komisji wyborczej poszerzono o 300 członków Chińskiej Ludowej Konferencji Konsultacyjnej, gwarantując komunistom całkowitą kontrolę nad przebiegiem wyborów. Poza tym powołana została komisja rewizyjna, która ma być odpowiedzialna za „badanie i potwierdzanie patriotycznych kwalifikacji" komitetów politycznych i kandydatów. Ci, którzy nie będą spełniać tych kryteriów, nie będą mogli startować w wyborach.

Powyższe decyzje nie wywołują protestów, ponieważ Pekin spacyfikował zorganizowaną opozycję. Jej 47 przywódców trafiło do więzienia tylko dlatego, że ośmielili się zorganizować prawybory do Partii Demokratycznej przed zbliżającym się głosowaniem do Rady Legislacyjnej. W procesie, który rozpocznie się 31 maja, części oskarżonych grozi dożywocie. Nic więc dziwnego, że – według badań ośrodka Youth Ideas – co czwarty mieszkaniec Hongkongu poniżej 35. roku życia chce wyjechać za granicę. Dla nich sprawa jest jasna: eksperyment z demokracją się już skończył.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 28be6bae23

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Witajcie na fali!

Jan Pietrzak

Polak potrafi! „Die Welt": „Żaden z głównych krajów Europy nie szczepi się tak szybko". Ciekawe, że dostawy są znacznie opóźnione, a szczepienia mamy szybkie. Ambasador Włoch: „Jestem przekonany, że Polska odegra kluczową rolę w Europie. Rozwija się dynamicznie". A więc jest w porzo i spoko. Biedroń zachwycony rezolucją PE o strefie wolności dla LGBT. A co ze mną? Mnie się wolność nie należy? Też bym chciał się dynamicznie rozwinąć. Domagam się od lat strefy wolności dla KbPdEg. Brak odzewu. Ciężkie życie kataryniarza w poście, mawiało się przed wojną. A teraz... ciężkie życie kabareciarza w pandemii. Co poluzują, to zaostrzą. Słabo znoszę zaostrzanie obostrzeń. Co sobie przypomnę 100 żartów i 30 piosenek na zaplanowany występ, imprezę odwołują, a ja zostaję jak Himilsbach z angielskim.

To miał być mój jubileuszowy sezon „60-tka p. Janka". Od 1960 r. występuję na scenie. Połowy (?) obecnego narodu nie było jeszcze na świecie, kiedy śpiewałem „za trzydzieści parę lat, jak dobrze pójdzie, piękny będzie stary świat, wspaniali ludzie", myśląc o was, gamonie! Należały mi się chyba jakieś radosne spotkania z publicznością. Ale wirusowy „Kumitet Cyntralny" dowiedział się i pokrzyżował te plany. Za dużo pamiętam. Jestem niebezpieczny. W piosence ująłem to tak: „Marna pamięć dręczy mnie ogromnie, nie pamiętam, co zapomnieć".

Tymczasem trzecia fala świat zalewa i wywołuje oryginalne zjawiska. Feministki np. nie życzą sobie używania słowa „kobieta". Wolą, by o nich mówić „osoba z macicą". Doszło do tego, że PE wydał instrukcję, których słów należy unikać. Przykładowo: Murzyn, matka, ojciec, płeć, cukrzyk... itd. Od lat rozwija się ta rewolucja językowa. W Stanach nie wolno na czarnego mówić czarny, lecz na białego można mówić biały. Czyli niektóre kolory są zakazane, choć w naturze istnieją. Zwłaszcza czerwony, który jako symbol rewolucji strzeżony był w PRL przez cenzurę. Wszyscy ci pogromcy słów to wnuki Stalina, autora rozprawy „Marksizm a zagadnienia językoznawstwa". Moje pokolenie musiało to przerabiać w szkołach. Stek napuszonych idiotyzmów. Mętne, pseudonaukowe ględzenie jak cały marksizm. Obecny adres: Parlament Europejski.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Filipie, trzymaj się!

Dominik Zdort

Nie będę ukrywał, że nie znam senatora Filipa Libickiego – bo poznałem go w czasach, kiedy daleko było mu do polityki. Wtedy wraz z Konradem Szymańskim budowali poznańskie środowisko tradycjonalistów katolickich, wydawali pismo „Nova et Vetera".

Dla tych, którzy nie wiedzą, o co chodzi: tradycjonaliści to ci, którzy chcą, aby Kościół trzymał się klasycznych katolickich wartości. Domagali się też uznania mszy odprawianej wedle starego rytu po łacinie przez księdza stojącego przodem do ołtarza. Nie z powodów estetycznych (bo jest piękniejsza), ale teologicznych. Wedle zasady „lex orandi, lex credendi". Jan Paweł II bardzo był temu niechętny, Benedykt XVI mszę zalegalizował jako ryt nadzwyczajny. Franciszek chyba nie rozumie, o co chodzi.

Środowisko Libickiego i Szymańskiego, niezależnie od różnie wiejących watykańskich wiatrów, trwało wiernie przy Stolicy Apostolskiej (w odróżnieniu od lefebrystów). Twórcy „Nova et Vetera" ostatecznie trafili do polityki, uznając, że stamtąd łatwiej wpływać na świat niż z niszowego katolickiego pisemka. Swoją młodzieńczą asocjacją się nie chwalą, choć poglądów nie zmienili. A przynajmniej nie odrzucili systemu wartości. Polityczne losy rzuciły ich w różne strony. Szymański trwa dziś wiernie przy Jarosławie Kaczyńskim, Libicki jest sojusznikiem Borysa Budki.

Ten schemat może zburzyć Bartłomiej Wróblewski. Polityk dobrej zmiany, który wpadł na pomysł, że obrzydliwą eugeniczną przesłankę z ustawy aborcyjnej może usunąć Trybunał Konstytucyjny. Rozwiązanie politycznie genialne – bo było do przyjęcia dla pisowskiego „bagna" niechętnego wyrazistym ideowym rozwiązaniom.

Dziś Wróblewski jest kandydatem na rzecznika praw obywatelskich. PiS się na niego zgodził, bo szuka w Senacie większości, a tę może dać głos Libickiego. Choć Wróblewski to nie ulubieniec Kaczyńskiego, jest ideowo nazbyt wyrazisty, nie będzie łatwym partnerem dla partii rządzącej jako RPO. Ale opozycja wychodzi z założenia, że każda osoba z obozu rządzącego to zło nieakceptowalne.

Więc cała szansa w Libickim. Już samo jego wyznanie, że rozważa oddanie głosu na Wróblewskiego, wymagało od niego cywilnej odwagi. Ale ci, którzy go znają, wiedzą, że akurat tego mu nie brakuje. Teraz będą go Kosiniak z Budką grillować i szantażować.

Trzymaj się, Filipie. Niech Cię nie złamią marni bezideowi politykierzy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 28be6bae23

BRONISŁAW WILDSTEIN

Smarzowski, czyli konformizm

Reżyser Smarzowski chce występować pod imieniem Wojtek. Facet pod sześćdziesiątkę, który publicznie zdrobnia swoje imię, demonstruje, że nie należy traktować go poważnie. Wprawdzie cały tłum podstarzałych pajaców usiłuje w ten sposób beznadziejnie gonić infantylizm naszego czasu, ale kim innym powinien być reżyser, który podobno chce nam coś ważnego powiedzieć. Może więc zgodnie z jego sugestią nie warto traktować go serio?

„Kler" ma już ponad dwa lata, ale wiedząc dokładnie, po co został wykonany, nie chciałem płacić za bilet. Obejrzałem go na platformie filmowej, do której mam wykupiony dostęp.

Smarzowski to bardzo dobry reżyser, a „Kler" nie jest filmem złym. Czy każdy, nawet najlepiej zrobiony, ale jednocześnie radykalnie skłamany film można nazwać dobrym? Czy powinniśmy w ten sposób określić „Październik", „Triumf woli" albo „Żyda Sussa"? Chyba jednak tak i na tym polega problem. Można bowiem stworzyć dzieło sztuki, które pretenduje do odzwierciedlenia rzeczywistości, a jest jego deformacją, jej interpretacja nie ma w nim nic wspólnego z realnością i np. ofiary przedstawione zostaną jako oprawcy; utwór, który wpisuje się w paskudną kampanię propagandową i jednocześnie stanowi interesujący fenomen artystyczny.

„Kler" jest elementem wymierzonej w Kościół operacji wpisującej się w działania, których ostatecznym celem jest zasadnicze wykorzenienie polskiej tożsamości. Nie wiem, na ile reżyser zdaje sobie z tego sprawę. Sądzę zresztą, że nie należy przeceniać samoświadomości zwłaszcza artystów. Zwykle tak jak inni funkcjonują oni w określonych zbiorowościach, powielają funkcjonujące w nich stereotypy i do głowy im nie przyjdzie, aby nie wejść w konflikt z dominującymi w nich opiniami. W przypadku Smarzowskiego widać to szczególnie wyraźnie. Jego najlepsze filmy: „Róża", „Wołyń" i do pewnego stopnia „Dom zły", mają charakter historyczny i nie odnoszą się do aktualnych napięć kulturowych, a więc reżyser potrafi w nich wyjść poza dominujące dziś schematy i stworzyć coś naprawdę ciekawego. Jego obrazy naszej współczesności są zupełnie inne. Debiut, czyli obsypane nagrodami „Wesele", to wyjęta z koszmaru wielkomiejskiego filistra karykatura polskiej wsi. Odrażający, brudni, źli wieśniacy zatracają się w pogoni za forsą, ich kultura to tandeta, religia służy szminkowaniu ohydy i dowartościowywaniu świństwa. Jedyni inni to młodzi, którzy po to, by nie ulec temu piekłu, muszą uciec. Domyślamy się, że do wielkiego miasta.

Reżyser deklarował, że pragnął ukazać niszczącą rolę pieniądza. Dlaczego jednak nie odsłonił jej na dużo lepiej sobie znanym przykładzie wielkomiejskiej elity? No, to byłoby ryzykowne. Czytam o nonkonformizmie i odwadze polskiej kinematografii i w ogóle sztuki, która zajmuje się piętnowaniem mentalności polskiej prowincji, dostaje na to oraz za to dotacje, nagrody oraz pochwały i zastanawiam się, jak długo jeszcze można powtarzać te urągające elementarnemu rozsądkowi, za to środowiskowo dowartościowujące, nonsensy?

Oto Polska w „Klerze", w której arcybiskup może zblokować we wszystkich(!) mediach list księdza, ujawniającego pedofilię innego duchownego, kraj pełen hodowanych po parafiach skinów, którzy w trakcie oficjalnych uroczystości przy bierności władz pastwią się np. nad lajkonikiem czy konduktorem w pociągu. Duchowieństwo to mafia. Ksiądz, aby zachować elementarną przyzwoitość, musi albo zrzucić sutannę, albo publicznie spalić się w imię protestu. Zresztą nawet ci „pozytywni" bohaterowie „Kleru" jako księża zajmują się bezwzględnym wyłudzaniem pod fałszywymi pozorami grosza od wiernych. Seks z parafianką to przy tym wręcz zasługa. Widocznie w polskim Kościele inaczej nie można.

Smarzowskiemu mentalnie blisko jest do Urbana, co w jego środowisku nie stanowi tytułu do wstydu. Co innego, gdyby blisko mu było do PiS. Kluczową scenę „Kleru" mógłby wymyśleć redaktor „Nie". Młody i piękny, wystylizowany na Jerzego Popiełuszkę duchowny odprawia w stanie wojennym solidarnościową mszę. Tyle że jest to pedofil, który wykorzystywał seksualnie bohatera filmu, dziecko wówczas, zastraszał go i w efekcie zniszczył psychicznie.

Czy pośród księży wspierających Solidarność nie mogli się trafiać pedofile? Naturalnie mogli. Tak jak pośród milionów jej działaczy pojawiali się oszuści, szuje i ostatni łajdacy. Szyderstwem historii jest to, że twarzą Solidarności został Wałęsa. Nawet on jednak nie potrafił znieprawić wizerunku tego najwspanialszego polskiego narodowego przedsięwzięcia.

Polski Kościół kiepsko dawał sobie radę z pedofilią. Stanowi ona jednak margines jego marginesu. Potężne siły usiłują zrobić z niej jego oblicze. Te same chcą, aby z Solidarności pozostał wyłącznie Wałęsa. Smarzowski gra w tej orkiestrze.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 28be6bae23

Walizka Mariana Lichtmana

perkusisty, wokalisty i kompozytora

Jako Trubadurzy zwiedziliśmy kawał świata. Na początku jeździliśmy po Polsce. Pierwsze zagraniczne tournée było w Związku Radzieckim i trwało prawie pół roku. Tam byliśmy megagwiazdami, takimi polskimi Beatlesami. Niech świadczy o tym choćby to, że sprzedaliśmy 10 mln płyt. Graliśmy m.in. w Stanach Zjednoczonych, Australii, Francji, Belgii, Anglii, Berlinie Zachodnim, no i Wschodnim. W 1972 w Monachium występowaliśmy razem z Rolling Stonesami, Carlosem Santaną i Ofrą Hazą na otwarciu olimpiady. Tam poznałem izraelskich sportowców, z którymi rozmawialiśmy po polsku. Wkrótce część z nich zginęła w ataku terrorystycznym na wioskę olimpijską.

ORGANKI

Każdy muzyk wie, że jest to jeden z najlżejszych instrumentów. Jego przewożenie nie jest tak męczące jak transportowanie kontrabasu czy fortepianu. Na organkach dozuję sobie bluesik, który dla mnie jest terapią.

NUTY

Znajomość nut jeszcze nikomu nie zaszkodziła i służy mi do zapisywania muzycznych pomysłów na pięciolinii. Te na zdjęciu to zapis piosenki dedykowanej lekarzom podczas pandemii, którą skomponowałem z DjJepejem.

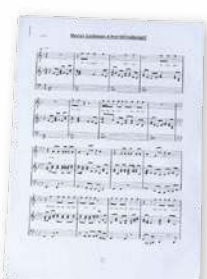

BUTY

Czarne buty z cekinami dostałem na gwiazdkę od mojej córeczki Roxany. Jest zdania, że ich rockandrollowy charakter bardzo do mnie pasuje. I ma rację.

„BEATLESÓWKI"

Od mojej żony Bożeny, zakupione w Kopenhadze. Nazwa pochodzi – a jakże – od muzyków The Beatles, którzy nosili takie buty.

BUTY GUCCI

Wspólny prezent od żony i córki, ponieważ lubią, gdy jestem elegancki. Zakładam je na specjalne okazje i wtedy faktycznie czuję się inaczej. Bardziej elegancko.

eprasa.pl 28be6bae23

CZARNA TORBA

Jesteśmy fanami tej marki. Moja żona mówi, że jest to dobra inwestycja i nawet używane torby LV osiągają zawrotne ceny.

SPINKI

Jak się ma piękną koszulę, to jej elegancję można podkreślić spinkami. Te dostałem od mojego syna Maxa.

CZARNE RĘKAWICZKI

Kiedyś chciałem być kolarzem. Po moich marzeniach pozostało zamiłowanie do jeżdżenia na rowerze, stąd te specjalne rękawiczki od moich wnuczków. Ale używam ich także podczas grania na mojej perkusji.

ŚWIECA

Moja żona uwielbia świeczki zapachowe, które wg niej w każdym pomieszczeniu mogą stworzyć i poprawić nastrój. I ma rację.

WODA TOALETOWA

Jestem koneserem perfum i mam ich całkiem sporą kolekcję. Czasami będąc w perfumerii, zakładam się z moją żoną, że z zamkniętymi oczami rozpoznam losowo wybrany zapach. Ta konkretna czarna butelka to Donna Karan. Jeden z wielu prezentów od mojej małżonki.

LEKTURA

Po Einsteinie Hawking to najwybitniejszy fizyk. Fascynuje mnie ten człowiek i jego teorie, których zwykły umysł nie byłby w stanie opracować. Uwielbiam też architekturę, której poświęciłem w moim domu sporą część regału.

UCHWYT DO KOMÓRKI

Zakupiony w Hongkongu. Idealny do zdjęć lub filmów selfie, dzięki czemu zachowuję wspomnienia z moich wyjazdów. W uchwycie są przyciski pozwalające na uruchamianie aparatu lub kamery. Poprzednie „rączki" szybko się łamały, a z tej jestem bardzo zadowolony.

Wnuczęta (od lewej): Villiam, Alma, Malou, Antek

RODZINA

Z żoną Bożeną mamy córkę Roxanę, syna Maxa, od których w prezencie dostaliśmy czwórkę wnucząt. Ich zdjęcia zawsze i wszędzie mi towarzyszą.

PAŁECZKI

Trochę żałuję, że w Trubadurach nie gram na gitarze tylko na perkusji, po koncercie piękne kobiety przychodzą bowiem do gitarzystów po autografy. Ja stoję trochę z tyłu i gdy jakaś fanka do mnie podejdzie, to mnie prosi tylko o pałeczkę.

WERBELEK

Do ćwiczeń. Dźwięk uderzeń na nim pałeczek jest przytłumiony, co pozwala na grę w pociągu, samolocie czy w pokoju hotelowym bez zakłócania spokoju.

KRAWAT

Nie jestem krawatowy, bo zazwyczaj noszę golfy, ale czasami zakładam je na specjalne uroczystości związane z Trubadurami, np. benefisy, rocznice itp.

Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, materiały prasowe

eprasa.pl 28be6bae23

OGNIEM NA WPROST

Polityka parówkowa

Kapitan Ameryka (ang. Captain America), właściwie Steven „Steve" Rogers, to fikcyjna postać, superbohater komiksów wydawanych przez Marvel Comics. Twórcami postaci byli Jack Kirby i Joe Simon. Pierwszy komiks z Kapitanem Ameryką ujrzał światło dzienne w 1941 r. Główny bohater w założeniu miał być uosobieniem patriotyzmu i potęgi militarnej USA. W okładkowym debiucie komiksu uderza pięścią w twarz Adolfa Hitlera. Ale zmieniają się czasy, a wraz z nimi ich bohaterowie. Dziś Kapitan Ameryka będzie homoseksualistą z kolczykiem w nosie i w apaszce. Inspirację dla autorów stanowią aktywiści LGBT. Kostium Kapitana Ameryki w komiksie „The United States of Captain America" przywdzieje Aaron Fischer. Opisywany jest jako „nieustraszony nastolatek, który broni podobnych mu zbiegów i bezdomnych (...) Inspiracją dla niego są bohaterowie społeczności queer: aktywiści, przywódcy i zwyczajni ludzie walczący o lepsze życie. To nieustraszony nastolatek; staje w obronie uciśnionych i zapomnianych. Mam nadzieję, że jego debiutancka historia będzie dobrze rezonować wśród czytelników i pomoże w stworzeniu inspiracji dla kolejnej generacji herosów" – mówi jeden z twórców komiksu. Ale nie da się ukryć różnicy pomiędzy starym i nowym Kapitanem Ameryką. Wzorcem dla pierwszego byli prawdziwi bohaterowie ryzykujący życie i zdrowie na frontach II wojny światowej. A dla nowego wcielenia będą to zniewieściali chłopcy w rurkach, udający supermenów.

Parówki stają się powoli zmorą opozycji. Kiedy ruszał portal Lisa i Machały naTemat, hitem stała się kryptoreklama parówek. „3 miliony zaspokojonych podniebień – parówki z Orlenu spożywczym hitem" – piali z zachwytu autorzy krypciochy. „Orlenowska cafe krzyczy do Polaków: »stop!« – kontynuują. – A oni posłusznie się zatrzymują. I jak zaczarowani, na masową skalę kupują hot dogi. 3 miliony hot dogów miesięcznie". Żeby było śmieszniej, tekst pojawił się w dziale Kultura i od tamtej pory portal Lisa nazywany jest „portalem parówkowym". Minęły lata i towarzystwo, szaleńczo atakując PKN Orlen i jego prezesa Daniela Obajtka, znowu powróciło do tematu parówek. Z alarmującego materiału TVN dowiadujemy się, że: „Niewielka firma Wędzonka z rodzinnych Myślenic Daniela Obajtka jest jednym z dostawców parówek dla stacji koncernu. Pełnomocnikiem zarządu Wędzonki jest Joanna Górka-Firek, która jednocześnie zasiada w radzie nadzorczej spółki Orlen Paliwa i jest zatrudniona w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. W czasach, gdy szefował jej Obajtek – agencja przeniosła jeden z oddziałów do Myślenic i wynajęła na siedzibę budynek od męża Górki-Firek". No wręcz coś strasznego! Ale jestem pewien, że gdyby dostawy parówek do Orlenu przejęli prawdziwi fachowcy z tej branży, jak Lis z Machałą, Miszczak z Kasią Kieli (TVN), a dystrybucją zajęliby się dziennikarze z Czerskiej, to temat równie szybko zniknąłby, zanim się pojawił.

W Zurychu stoi meczet, który w swojej księgarni oferuje podręcznik dla muzułmanów „Ilmihal" przeznaczony dla kobiet. Napisano w nim, że każdy, kto obraża proroka, musi zostać zabity. Nic nowego pod słońcem (przecież to normalne), ale są tam również pewne nowości. „Lekkie uderzenie ze strony mężczyzny kobiety jest dozwolone". „Prawo karania należy się mężowi, jeśli kobieta wbrew woli męża zaprasza do domu obcych mężczyzn, wiąże się z obcymi mężczyznami, trwoni wspólny majątek na obcych mężczyzn i zaniedbuje swoje obowiązki religijne". Ale widać pewien postęp u muzułmanów. Karać kobietę można „lekkim uderzeniem ze strony mężczyzny". Niedozwolone są natomiast uderzenia w głowę, twarz, klatkę piersiową lub brzuch, a także złamania kości i obrażenia zagrażające życiu. „Na ciele nie może być żadnych śladów ani odcisków od uderzeń (...). Podstawowym celem tego środka jest jedynie wywarcie psychologicznej presji na kobietę, aby zmieniła się na lepsze". Nakład podręcznika rozszedł się błyskawicznie i obecnie wszystkie egzemplarze zostały wyprzedane.

Organizacja Narodów Zjednoczonych znalazła panaceum na biedę, choroby i inne problemy, z którymi boryka się od lat Afryka. Żąda mianowicie, aby wszystkie narody tego kontynentu zgodziły się na następujące rozwiązania: „Wolny dostęp do aborcji dla wszystkich kobiet i dziewcząt; aborcja jako podstawowe prawo człowieka; propaganda ideologii gender i LGBT; oraz tzw. kompleksowa edukacja seksualna nawet dla dzieci w żłobkach". Aż dziw bierze, że dotąd nikt z mędrców tego świata nie wpadł na taki pomysł. Sądzę, że Afrykanie będą zachwyceni tym, że ktoś wreszcie wyciągnął do nich pomocną dłoń.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 28be6bae23

Więcej polskiej muzyki w radiu!

Marta Kaczyńska-Zielińska

W lutym tego roku przedstawiciele 202 stacji ogólnopolskich, ponadregionalnych i lokalnych skierowali list do władz, w którym wyrazili swój sprzeciw odnośnie do podniesienia minimalnego udziału utworów polskojęzycznych z 33 do 49 proc. Według radiowców słuchacze nie wykazują zapotrzebowania na słuchanie rodzimych twórców w aż tak dużym zakresie i w związku z tym mogą zrezygnować ze słuchania rozgłośni radiowych.

W dobie pandemii zwiększenie udziału polskojęzycznych utworów wydaje się właściwym rozwiązaniem, mającym na celu wsparcie rodzimego środowiska muzycznego, które już od roku funkcjonuje w znacznie ograniczonym zakresie. Słuchacze z pewnością nie zrezygnują z radia, które w porównaniu z nawet najbardziej atrakcyjnymi platformami streamingowymi ma jedną zasadniczą i przeważającą zaletę: jest „żywe" i dostarcza na bieżąco najbardziej aktualne informacje.

Polska i Unia Europejska są stronami Konwencji UNESCO z 20 października 2005 r. w sprawie ochrony i promowania różnorodności form wyrazu kulturowego, która w art. 6 stanowi, że: w ramach swej polityki kulturalnej każda ze stron może wprowadzać środki mające na celu ochronę i promowanie różnorodności form wyrazu kulturowego. Postanowienia konwencji na gruncie prawa międzynarodowego stanowią podstawę do promowania rodzimej twórczości kulturalnej, nawet gdyby skutkowało to ograniczeniami w dostępie do dóbr kultury zagranicznej. W ostatnich tygodniach parytet językowy w radiu był przedmiotem dyskusji m.in. także w portugalskich mediach. W przepisach, które zwiększyły udział muzyki portugalskiej nadawanej w stacjach radiowych z 25 do 30 proc., stwierdzono, że po ponad 10 latach nadszedł czas, aby zaktualizować minimalny udział muzyki portugalskiej w krajowym radiu i w ten sposób przyczynić się do promocji muzyki i języka portugalskiego. Dzień po ogłoszeniu zmian Portugalskie Stowarzyszenie Nadawców (APR) i Chrześcijańskie Stowarzyszenie Radiowe (ARIC) wypowiedziały się przeciwko temu środkowi, twierdząc, że jest on nieskuteczny. Z drugiej strony ponad 450 portugalskich muzyków i autorów piosenek podpisało apel do publiczności o słuchanie ich muzyki w radiu, odnotowując z zadowoleniem wzrost minimalnego udziału portugalskich piosenek.

Inicjatywa stworzenia regulacji prawnych dotyczących udziału kwotowego rodzimej muzyki w radiu wywodzi się z Francji i stanowi część szerszej reformy mającej na celu ochronę języka i kultury francuskiej zaproponowanej przez ministra kultury Jacques'a Toubona. Tzw. prawo Toubona z 1994 r. obligowało krajowe rozgłośnie radiowe do emisji co najmniej 40 proc. muzyki w języku francuskim. Obecnie obowiązujące limity wymagają, aby treści odtwarzane przez prywatne stacje radiowe składały się w 40 lub 35 proc. z „utworów francuskojęzycznych" w godzinach największej słuchalności. Stacje publiczne muszą promować młodych wykonawców w zakresie 50 proc. udziału nadawanych utworów. Według danych zawartych w raporcie stowarzyszenia Snep w 2018 r. wśród 20 najlepiej sprzedających się albumów muzycznych we Francji 19 stworzyli francuscy artyści. Obowiązek promowania młodych talentów przez stacje radiowe przyczynił się zaś niewątpliwie do wyników wskazujących na to, że z 200 najlepiej sprzedających się albumów w zeszłym roku 48 to albumy debiutanckie, a aż 40 z nich zostało wyprodukowane we Francji.

Obecnie we Francji dyskutuje się na temat możliwości zwiększenia udziału francuskojęzycznych utworów na platformach internetowych. Przychody ze sprzedaży nagrań muzycznych we Francji przekraczają 300 mln euro, a transmisje strumieniowe stanowią ich połowę. Trwają prace nad przepisami, które skłonią internetowych nadawców do prezentowania większej liczby utworów w języku francuskim. Warto, by podobne rozwiązania zostały wprowadzone także do polskiego ustawodawstwa.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 9 marca 2021 r. zmarł

ŚP

MJR ZYGMUNT MICHAŁ GOŁAWSKI

PS. „SOKÓŁ II"

urodzony 11 grudnia 1924 r. w Gołaszynie.
Od maja 1943 r. żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych w Podlaskim Okręgu NSZ.
Uczestniczył w Akcji „Burza", służąc w Oddziale „Sępa"
dowodzonym przez por. Władysława Wyczółkowskiego.

We wrześniu 1944 r. aresztowany przez NKWD.
W latach 1944-1946 więziony w sowieckich łagrach.
W 1963 r. osadzony w mokotowskim więzieniu
za drukowanie katolickich wydawnictw poza cenzurą.
Ponownie aresztowany w 1967 i 1969 r.
W 1977 r. współzałożyciel antykomunistycznej
Siedlecko-Podlaskiej Grupy Ludowo-Narodowej
oraz Podlaskiego Komitetu Samoobrony Ludzi Wierzących.
Uczestnik Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.
We wrześniu 1979 r. współtworzył Konfederację Polski Niepodległej.
Od września 1980 r. współorganizator podlaskich struktur NSZZ „Solidarność".
Od listopada 1980 do maja 1981 r. pozbawiony wolności z powodu działalności opozycyjnej.
Od kwietnia do grudnia 1982 r. ponownie więziony.
W 1985 r. współzałożyciel Polskiej Partii Niepodległościowej.
Wybitnie zasłużony w dziele upamiętniania żołnierzy
Podlaskiego Okręgu Narodowych Sił Zbrojnych.
Wieloletni Prezes Oddziału Wojewódzkiego Związku Sybiraków w Siedlcach.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Wolności i Solidarności oraz wieloma innymi odznaczeniami.
Pośmiertnie awansowany do stopnia podpułkownika.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

20/0321/F

eprasa.pl 28be6bae23

RZECZY POSPOLITE

Zdrowy rozsądek

Tomasz Łysiak

Anglicy mówią „common sense". W innych językach pojawia się też sformułowanie „rozum" – „ragione" po włosku, „raison" po francusku. W każdym razie to jest to, czego brakuje wielu przywódcom i rządom państw w dobie pandemii. Reagują panicznie, stadnie i często histerycznie. Przykładem historia wstrzymywania szczepień AstrąZenecą – choćby w Italii. Najpierw po kilku wypadkach śmiertelnych u osób zaszczepionych jedną jej partią zatrzymano podawanie szczepionki na Sycylii. Gdy w związku z kolejnym podejrzanym przypadkiem podobnie zachował się Piemont – rząd włoski zareagował oburzeniem i zaczął zapewniać o jej bezpieczeństwie. Tymczasem dramatycznie zmalało zaufanie włoskich obywateli do produktu firmy brytyjsko-szwedzkiej. Angole, jak to oni, z dumnie podniesionym nosem odpowiedzieli na zarzuty: u nas zaszczepiło się tym preparatem ponad 11 mln ludzi i nic się nie stało. Potem jednak zareagowali Niemcy i też wstrzymali szczepienia AstrąZenecą. Za nimi poszli Francuzi i Włosi. Ci sami Włosi, którzy dopiero co krytykowali swój Piemont dokładnie za ten sam ruch.

A ludzie, jak to się mówi, „głupie nie są" – widzą, co się dzieje, jaki chaos panuje w europejskim świecie liderów, wielkiej polityki i biznesów prowadzonych z tzw. Big Pharmą. Bo to, że na jednej szali zdrowie obywateli, a na drugiej Big Money w Big Pharmie, to nawet średnio wykształcony góral, wypasający owce na alpejskich halach piemonckich wzgórz, łapie i rozumie. Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że – po raz kolejny, niestety – wychodzi na jaw nieprzyjemna dla nas wszystkich prawda. Notabene, jeśli już używamy góralskich porównań, to przypomnijmy powiedzonko juhasów o prawdzie: „Jest coło prowda, jest tys prowda, i jest g...o prowda". To ostatnie wydaje się więc wielu ludziom adekwatne co do spójności przekazu unijnych instytucji i rządów państw europejskich w sprawie szczepień i koronawirusa.

Przy ciągłym bujaniu łódką, przy ciągłych zmianach regulacji i obostrzeń oraz przy braku pewności jutra taka chwiejność liderów i taki brak zwykłego zdrowego rozsądku czy spokojnej refleksji powoduje, że ludzie sami tracą grunt pod nogami. Szczególnie jeśli wobec zmagań z pandemią mają poczucie, że kapitan łajby sam nie wie, w którą stronę ją kierować.

W tych samych butach

Z Anną Matysiak, aktorką, i Stanisławem Karpielem-Bułecką, muzykiem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dobrana z was para?

Stanisław Karpiel-Bułecka: Taneczna, jak najbardziej.

Anna Matysiak: Z programu „Dance, Dance, Dance".

Taniec łączy?

S.K.-B.: Oczywiście. Jest wspólne działanie i cel, są emocje wyrażane przez ciało. To buduje więzi...

A.M.: ...nie tylko między nami jako partnerami tanecznymi, lecz także z innymi parami. Mam wrażenie, że ogrom pracy i wysiłku fizycznego sprawia, iż schodzą z nas różne blokady, jesteśmy w 100 proc. prawdziwi, zaczynamy się przyjaźnić, kibicować sobie nawzajem.

S.K.-B.: Tym bardziej że w tych samych butach jesteśmy. Musimy sobie radzić.

A.M.: A ze wsparciem innych to o wiele łatwiejsze.

Czy jest teledysk, do którego oboje chcielibyście zatańczyć?

S.K.-B.: Cieszę się, że nie mam jednego, wybranego, bo jak się czegoś bardzo chce, nie zawsze wychodzi.

A.M.: Ja bym stawiała raczej na styl niż konkretny numer. Chciałabym się sprawdzić w tańcu współczesnym. Tylko kiedy o tym wspominam, Staszek wpada w panikę [śmiech].

S.K.-B.: Ratuję się z każdej strony, ale nie mówię twardo „nie". Fajnie byłoby spróbować różnych rzeczy, bo to się może potem przydać na scenie, a i satysfakcja, że się doświadczyło czegoś innego, niekoniecznie komfortowego, też się liczy.

A.M.: O tak, wychodzenie ze strefy komfortu to cena każdej próby.

Fot. Jan Bogacz/TVP

eprasa.pl 28be6bae23

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

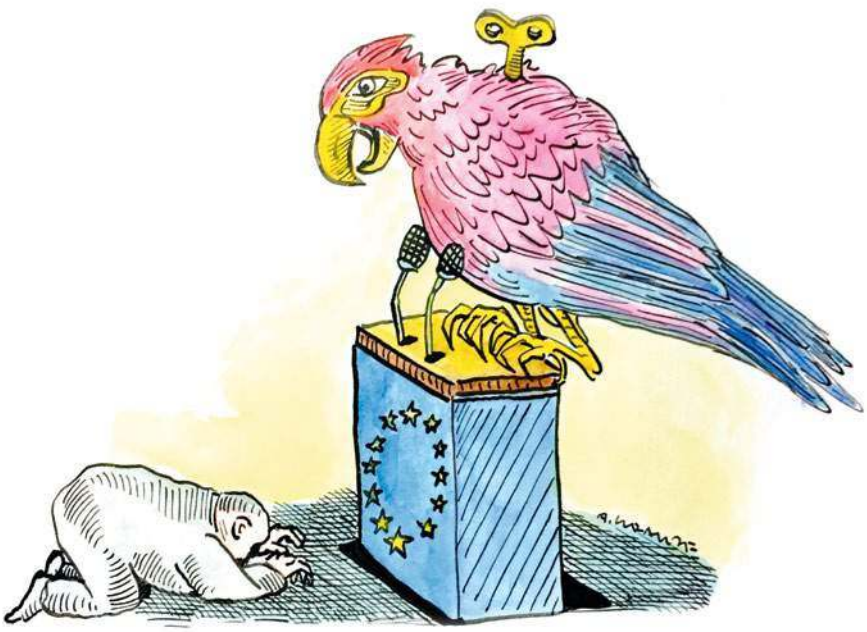

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: M.MAKSIAK, A.WIKTOR x2, AIPN

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)

Czy popiera Pani/Pan budowę tunelu pod dnem rzeki Świny, który połączy wyspę Uznam ze Świnoujściem i resztą Polski?

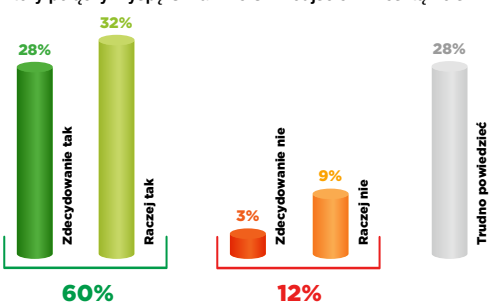

Czy Polska powinna pozostać członkiem Unii Europejskiej?

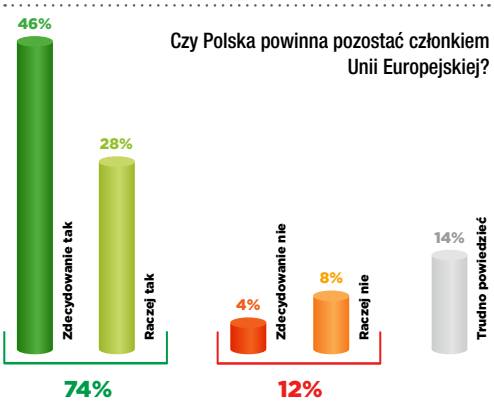

Czy Pani/Pana zdaniem Rosja stanowi bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski?

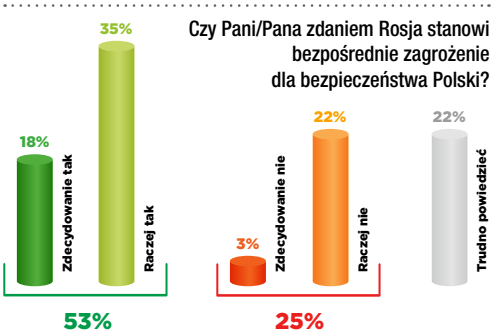

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1078.

Zakres czasowy badania 12–15 marca 2021 r.

eprasa.pl 28be6bae23

Mamy prawo do własnego zdania

Solidarna Polska nie rozbija Zjednoczonej Prawicy. My bronimy jej przed utratą zaufania, które będzie wynikiem odejścia od programu wyborczego. Ludzie mają dobrą pamięć

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają ze Zbigniewem Ziobrą, prezesem Solidarnej Polski, ministrem sprawiedliwości

Czy konstrukcja polityczna, którą nazywamy Zjednoczoną Prawicą, jeszcze istnieje?

Zbigniew Ziobro: Istnieje, choć przechodzi trudny czas.

Wygraliście wybory jedne, drugie, trzecie i coś się zacięło. Dlaczego?

To wynika z różnicy w diagnozie co do wyzwań, przed którymi stoi Polska. Problemem jest wywiązywanie się z umowy koalicyjnej, która stanowi podstawę naszych działań, a która powinna wiązać i mniejszych, i tych z dominującą pozycją.

Co ma pan na myśli?

Umówiliśmy się na realizację wspólnego programu, którego rdzeniem jest obrona polskiej suwerenności. Umówiliśmy się, że to Polacy będą decydowali o przyszłości swojej ojczyzny. Umówiliśmy się, że nie będziemy brzydką panną na wydaniu. I że będziemy twardo o to walczyli.

Jesteśmy pewni, że pod tymi założeniami podpisaliby się wszyscy liderzy Zjednoczonej Prawicy.

Zgadzamy się z Prawem i Sprawiedliwością co do zagrożenia ze strony Rosji. Widzimy w niej kraj wrogo nastawiony wobec Polski. To zresztą czynnik, który Solidarną Polskę mocno różni z Konfederacją. Uważamy też, że z faktu, iż jesteśmy zagrożeni, wypływają konkretne wnioski. Musimy budować coś na kształt przedwojennego Centralnego Okręgu Przemysłowego, który będzie nas rozwijał gospodarczo, technologicznie i który będzie także podstawą rozwoju polskiej armii. Bo wiemy, że „jeśli umiesz liczyć, to licz na siebie". Ale poważne zagrożenie dla polskiej suwerenności widzimy także na Zachodzie, w procesach, które zachodzą w Unii Europejskiej. I na tym tle pojawiły się rozdźwięki między nami a PiS.

W jakim sensie?

Długoterminowo poważnym zagrożeniem dla istnienia państwa polskiego jest to, do czego dąży część elit europejskich. One nie ukrywają, że marzy im się nie tylko stopniowa marginalizacja państw narodowych i podporządkowanie ich dominującym w Europie siłom, głównie Berlinowi, ale coś więcej – za finalny cel

eprasa.pl 28be6bae23

mają powołanie na wzór Stanów Zjednoczonych nowego federalnego państwa europejskiego z 450 mln obywateli. Zastąpiłoby ono państwa narodowe. To na łamach „Sieci" Bronisław Wildstein dzielił się obawą, że te procesy mogą doprowadzić do przekroczenia punktu zwrotnego, który kiedyś zakończy się utratą niepodległości.

Skąd wniosek, że unijne elity mają aż tak drastyczne zamiary wobec Polski?

Wystarczy śledzić wypowiedzi niektórych europejskich liderów czy przeanalizować pojawiające się w UE dokumenty. Jak inaczej rozumieć agresywne narzucanie wszystkim narodom europejskim tzw. wspólnych wartości oznaczających odejście od chrześcijańskich korzeni Europy na rzecz agresywnej ideologii LGBT czy szerokie otwarcie na uchodźców, którzy niosą ze sobą zupełnie obce dla nas normy zachowania i zasady kultury. To ma jasny cel zupełnej przemiany kulturowej naszego kontynentu.

Ale przecież lider PiS Jarosław Kaczyński mówi dokładnie to samo: „Będziemy bronić naszej tożsamości, naszej wolności, suwerenności za wszelką cenę, nie damy się terroryzować pieniędzmi", „Unia musi być organizacją suwerennych narodów europejskich". Można cytować bez końca.

Decydującą rolę w budowaniu polskiej polityki w odniesieniu do Unii ma premier Mateusz Morawiecki. To bardzo zdolny i otwarty na współpracę z UE polityk. Ma dużą umiejętność przekonywania kierownictwa PiS do polityki, która jednak rozmija się z naszym programem z 2014 r., który nie został nigdy odrzucony.

To bardzo mocny zarzut.

Mogę to udowodnić. Wystarczy wejść na internetową stronę pis.org.pl i w zakładce „dokumenty" otworzyć na drugiej stronie program PiS z 2014 r. Na stronie 89 tego dokumentu przeczytamy m.in.: „Największym utrudnieniem w dziedzinie produkcji energii elektrycznej jest prowadzona przez UE polityka klimatyczna nakładająca obowiązki w zakresie redukcji emisji dwutlenku węgla. Antywęglowe lobby chce podnieść ustalone na poziomie 20 procent cele redukcyjne. Stwarza to ryzyko obniżenia PKB, wzrostu bezrobocia, zaburzenia wytwarzania energii. PiS będzie renegocjował skrajnie niekorzystny dla Polski pakt klimatyczno-energetyczny podpisany przez D. Tuska w 2008 r.". Tymczasem premier Morawiecki na szczycie Unii w grudniu zgodził się, bez żadnych konsultacji z koalicjantami, aż na 55-proc. redukcję do 2030 r. Jest to nie tylko sprzeczne z cytowanym programem Zjednoczonej Prawicy, ale niesie też poważne konsekwencje dla polskiej gospodarki. Czy nam się to podoba, czy nie, polska energetyka jest w 80 proc. oparta na węglu. To z kolei sprawia, że koszty przebudowy energetyki, które poniesie Polska, będą horrendalnie wysokie w porównaniu z innymi krajami UE. Oznacza nie tylko groźbę zamykania polskich elektrowni i kopalń, a więc utratę pracy przez dziesiątki tysięcy ludzi, ale także drastyczny wzrost cen energii elektrycznej dla wszystkich Polaków. Jako Solidarna Polska obawiamy się, że zapłacimy podwójnie. Spadnie konkurencyjność naszej gospodarki i zamiast rozszerzać ambitne projekty społeczne, jak 500+ czy 13. i 14. emerytury, a także wprowadzać nowe czy rozbudować armię, będziemy płacić bogatym krajom za surowce i technologie, których nie mamy.

> Decydującą rolę w budowaniu polskiej polityki w odniesieniu do UE ma premier Morawiecki. To bardzo zdolny i otwarty na współpracę z Unią polityk. Ma dużą umiejętność przekonywania kierownictwa PiS do polityki, która jednak rozmija się z naszym programem

Może nie było wyjścia? Sam pan mówi, że to jest nowa religia. Nacisk w tej kwestii jest potężny. A do tego dochodzą rozbudzone aspiracje Polaków, którym smog coraz bardziej przeszkadza – to widać w sondażach.

Rozumiem, że polityka wymaga elastyczności, uwzględnienia realiów. Byłbym w stanie wyobrazić sobie zaakceptowanie takich celów redukcji CO_2, jakie przyjęliśmy, gdybyśmy zagwarantowali sobie odpowiednie wyłączenia czy okresy przejściowe. Po grudniowym szczycie UE i zgodzie Polski na nowe cele ceny uprawnień do emisji CO_2 wzrosły o 40 proc. To znaczy, że polskie firmy, ciepłownie, Polacy już teraz zapłacą wysoki podatek, transferując za granicę olbrzymie kwoty, na czym zarobi europejska finansjera. By nie być gołosłownym – w tej chwili kilkadziesiąt polskich elektrociepłowni znalazło się na granicy bankructwa.

Sytuacja jest trudna, ale jak pan poprowadziłby politykę w tej konkretnej sferze? Skończyłoby się wetem, które – jak twierdzą zwolennicy kompromisów – najbardziej zaszkodziłoby Polsce. A do tego dochodzi presja prounijnej opinii publicznej w kraju. Czy te postulaty nie są politycznie puste?

W kwestii energetycznej bliskie jest mi spojrzenie śp. prof. Jana Szyszki. Po pierwsze, polskie elektrownie nie są odpowiedzialne za smog. Technologia pozwala nam radykalnie ograniczyć zatruwanie atmosfery, to nie jest XIX w. Po drugie, za smog odpowiadają przede wszystkim transport w centrach miast i stare piece, tzw. kopciuchy. I tutaj trzeba działać racjonalnie i te przyczyny smogu rozwiązać. Ale dlaczego mamy przy tym likwidować relatywnie nowoczesną energetykę w naszym kraju?

Unia przyznała nam dodatkowe pieniądze na transformację energetyczną.

Unijna transformacja energetyczna będzie nas kosztować nawet 2 bln zł. A to, co daje nam Unia, to tylko niewielka część tych kosztów. W efekcie

Fot. Mateusz Maksiak

eprasa.pl 28be6bae23

koszty życia w Polsce szybko wzrosną, a to uderzy w Polaków, zwłaszcza ludzi mniej zamożnych.

Naprawdę uważa pan, że można było wywalczyć zwycięstwo w sprawach energetyki? Walczymy przecież równolegle w sferze światopoglądowej, w kwestiach reformy wymiaru sprawiedliwości.

Powtarzam: można było wynegocjować własną, adekwatną do naszej sytuacji ścieżkę dojścia do tych celów. UE zna wiele przykładów wyłączeń. My dostaliśmy coś, co jest fikcją. Skala uprawnień do emisji CO_2 przyznanych Polsce jest niewspółmiernie mała w stosunku do naszych potrzeb. Terminy są zbyt krótkie, bo przecież budowa elektrowni atomowych trwa minimum 15 lat. Dziś nie mamy zastępczych źródeł energii, nie mamy szans, by szybko je stworzyć, i drogo za te ustępstwa zapłacimy.

Energetyka jest dla Solidarnej Polski tak ważna, że stawia ją pan w centrum sporów z PiS?

To gałąź przemysłu, która ma ważne znaczenie dla gospodarki Polski i poziomu życia Polaków. Pomijam już, że doszło tu także do złamania umowy programowej w najważniejszym obszarze gospodarki państwa bez jakichkolwiek konsultacji z nami. Ulegliśmy Unii za darmo, nie uzyskując nic w zamian. Nie odsunęliśmy od Polski groźby ekonomicznego szantażu w postaci wstrzymania funduszy dla nas np. pod pretekstem tzw. mechanizmu praworządności.

Unia powiedziałaby: nie. I skończyłoby się wetem. I dogadaliby się w swoim gronie 25 państw. To jest sytuacja opresji i przemocy.

Weto nie jest dla silnych, weto jest dla słabszych. Po to wprowadzono ten mechanizm!

W teorii tak, w praktyce nie.

Nie zgadzam się. Jako minister kilka razy wetowałem unijne decyzje w obszarze sprawiedliwości. I za każdym razem tu, w Polsce, naciskano mnie, przekonując, że to będzie katastrofa, że to się nie opłaca. Nie ustąpiłem i za każdym razem wygrałem – to Unia ustąpiła.

O jakie sprawy chodziło?

Np. skutecznie zablokowałem w 2016 r. próbę wprowadzenia tylnymi drzwiami legalizacji związków homoseksualnych, która związałaby Polskę.

Pytanie, czy taką politykę da się prowadzić na głównych frontach. I czy nie jest tak, że Solidarna Polska próbuje narzucać swój punkt widzenia głównej partii koalicji? Czy nie jest tak, jak słychać w kuluarach, że „ogon macha psem"?

Zjednoczona Prawica opiera się na wspólnym programie i wspólnych wartościach. Chcemy być wierni przyjętemu przez koalicję programowi i lojalni wobec wyborców. Chcemy dotrzymać zobowiązania, że będziemy bronili Polski przed groźnymi eksperymentami i interesami, które się za nimi kryją. Nie dziwcie się panowie, że mamy problem z tą zmianą kursu. Przypominam, że startując samodzielnie do Parlamentu Europejskiego w 2014 r., stawialiśmy kwestie energetyczne w centrum naszego przesłania. Co mamy powiedzieć teraz wyborcom, skoro nasz rząd realizuje politykę, która była w programie Platformy Obywatelskiej i Donalda Tuska?

> PiS od zawsze głosiło, że polityka klimatyczna to błąd i zagrożenie dla Polski. I teraz na to się zgadzamy? Zdecydowanie uważam, że nie należało zmieniać kursu

Powtarzamy: może nie ma innego wyjścia, może tu akurat trzeba zmienić kurs.

PiS od zawsze, przez lata głosiło, że polityka klimatyczna to błąd i zagrożenie dla Polski. I teraz na to się zgadzamy? Zdecydowanie uważam, że nie należało zmieniać kursu.

Ale czas węgla w świecie zachodnim obiektywnie mija. Z drugiej strony rząd buduje CPK, przymierza się do budowy elektrowni atomowych, mamy też takie inwestycje jak przekop Mierzei Wiślanej, tunel pod Świną, rozwijane są narodowe koncerny, wzmacniany jest polski kapitał. To jest polityka podmiotowości. Stajemy przed okazją dogonienia Zachodu. Spory w Zjednoczonej Prawicy mogą nas zawrócić z tej drogi. Jak mówi Jarosław Kaczyński, w dziejach naszej ojczyzny nie brakuje przykładów, gdy marnowano tak wielkie szanse.

Donald Trump broni węgla, uznając, że to jest wielki konkurencyjny atut Stanów Zjednoczonych w odniesieniu do krajów, które z tego paliwa rezygnują. Japonia właśnie rozpoczęła gigantyczną inwestycję – buduje aż 22 nowe elektrownie węglowe, choć musi węgiel importować. Poza tym rezygnując z węgla i wypychając wiele gałęzi produkcji do Chin, Indii czy Bangladeszu, nie ratujemy planety, bo przecież w atmosferze nie ma geograficznych granic. Cel klimatyczny nie zostanie zrealizowany, ale pani kanclerz Merkel osiągnie cel polityczny i podporządkuje sobie Polskę w obszarze energetyki. Już dziś 10 proc. energii kupujemy od Niemiec. Będziemy musieli kupować więcej gazu od Rosji za pośrednictwem Niemiec. Będziemy się uzależniać, będziemy płacić. Musimy w ramach naszego obozu o tym rozmawiać. Tego zabrakło. To nas martwi.

W wywiadzie dla PAP Jarosław Kaczyński powiedział niedawno: „Każdy, kto rozbija dzisiaj prawicę, działa przeciw Polsce, przeciw polskiej rodzinie i przeciw polskim wartościom", dodając: „Zwyciężają motywy czysto partykularne, a często – to jest mój domysł – po prostu osobiste". Jak pan odpowie na ten zarzut, który mógł być skierowany pod pana adresem?

My nie rozbijamy Zjednoczonej Prawicy, my bronimy jej przed utratą zaufania, które będzie wynikiem odejścia

eprasa.pl 28be6bae23

Fot. Mateusz Maksiak

od programu wyborczego. Ludzie mają dobrą pamięć. Obiecywaliśmy bronić węgla, którego mamy wielkie zasoby, i polskiej energetyki opartej na tej łatwo dostępnej, taniej i gwarantującej nam niezależność energii.

Pozostaje pytanie, czy to nie są już tylko marzenia? Czy to możliwe w świecie, w którym żyjemy? W tej Unii, w której jesteśmy?

UE bardzo się zmieniła od momentu wejścia Polski do tej organizacji. Wpadła w ręce ludzi, którzy chcą stworzyć europejskie superpaństwo, którzy nie kryją, że mają wrogie zamiary wobec tożsamości narodowej poszczególnych krajów, którzy budują świat chwilami orwellowski, choćby w sferze języka. Panowie, dokąd to zmierza? Możemy dojść do punktu, z którego już nie ma odwrotu. Mamy się na to godzić?

Cała Zjednoczona Prawica ma przecież podobną diagnozę. Broni wartości, broni suwerenności. Różnice dotyczą spraw taktycznych, konkretnych decyzji, a nie ogólnej linii.

Chciałbym wierzyć, że to jest kwestia tylko taktyki, ale mam duże wątpliwości. Ostatnio dowiedzieliśmy się np., że Ministerstwo Finansów miało wysłać okólnik, w którym przestrzega gminy przed przyjmowaniem Karty praw rodziny, bo może to grozić utratą unijnych środków. Gdyby tak było, oznaczałoby to uleganie szantażowi.

Może czasem lepiej się uchylić, skoro Karty praw rodziny przedstawiono – fałszywie – jako „strefy wolne od LGBT"? Może trzeba poszukać innego sposobu?

Jeśli będziemy ulegali takim presjom, to za chwilę nie będziemy mogli mówić „mama" i „tata". Musimy bronić naszych redut, nie możemy ciągle się cofać. Nie możemy zaakceptować tezy, że nie można bronić rodziny, tożsamości, wiary. Za chwilę sami zaczniemy wprowadzać cywilizację śmierci.

Czy politycy, którzy mają ambicję wygrywania wyborów, mogą jednak ignorować zachodzące zmiany społeczne, także w Polsce? Zasięg tzw. Strajku Kobiet, mierzony również sondażowo, może przerażać. Laicyzacja młodego pokolenia jest faktem. Wielu analityków twierdzi, że do wyborów prezydenckich spory światopoglądowe służyły prawicy, ale obecnie już jej szkodzą.

To każe postawić pytanie, czy nie zmarnowaliśmy ostatnich pięciu lat. M.in. dlatego zagłosowaliśmy w Sejmie za tym, by premier Piotr Gliński przedstawił informację na temat wsparcia dla sfery kultury. Bo jeżeli czytamy, że państwo polskie finansuje film o kolaboracji części górali z Niemcami w czasie II wojny światowej, to pytamy, czy finansuje jakiś film o udziale górali w Państwie Podziemnym lub o kurierach tatrzańskich? Czy powstaje jakiś film o dzieciach Zamojszczyzny? O niemieckim obozie dla polskich dzieci w Łodzi? Wreszcie: czy słyszeliście panowie, by Izrael finansował filmy o żydowskiej policji w gettach czy o Judenratach? To tylko wycinek wielkiej tragedii narodu żydowskiego, ale przecież też prawdziwy.

Nieraz pytaliśmy o to premiera Glińskiego. Odpowiada – i trudno mu choćby częściowo nie przyznać racji – że innego świata kultury nie mamy, że wiele środowisk twórczych ma niemal całkowity monopol w swojej dziedzinie. I zapewnia, że wspiera każdego z prawicy, kto przychodzi z poważną propozycją.

W takim razie po co rządzimy? Czy chcemy zmieniać rzeczywistość, czy też akceptujemy ten świat i godzimy się na przypisywanie Polakom odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie, na robienie z nas narodu kolaborantów?

Akurat w sferze walki z tym obrzydliwym zarzutem polski rząd robi dużo.

Ale film o Goralenvolk finansuje. Nasz zarzut jest szerszy. Niemal cała produkcja filmowa w Polsce, obficie finansowana przez państwo, była przez długie lata wymierzona w drogie Polakom wartości. A na argument, że nie ma ludzi, środowisk, odpowiem tak: Fundusz Sprawiedliwości kiedyś finansował głównie środowiska feministyczne i LGBT. My tak go zmieniliśmy, że dziś te pieniądze idą na szlachetne, dobre cele, na walkę z przestępczością i pomoc ofiarom. Zrobiliśmy to, choć atakowano nas wściekle. Nie da się zmienić świata, kiedy się boi naruszyć interesy wpływowych środowisk.

Głosując wbrew PiS w sprawie informacji premiera Glińskiego, wysłaliście bardzo mocny sygnał, także polityczny, ale jednocześnie znów rozhuśtaliście sytuację w koalicji. Może przyjść moment, że tego już nie da się ustabilizować.

Jesteśmy za jawnością, wydatków Funduszu Sprawiedliwości nie ukrywamy. A sprawa wydatków na kulturę jest dla nas ważna, bo również musimy się tłumaczyć wyborcom z tego, że finansujemy kolejne artystyczne i historyczne prowokacje lewicy. Kolejna sprawa: zmiany na rynku mediów opanowanym przez wielkie, głównie zagraniczne, koncerny. W 2017 r. Solidarna Polska przygotowała ustawę o dekoncentracji mediów, która mogła nieco uzdrowić sytuację. Nie udało się do niej przekonać

eprasa.pl 28be6bae23

koalicjantów. Dziś jesteśmy niemal w tym samym miejscu, co na początku naszych rządów.

Czy nie jest tak, że celowo eksponujecie odrębne stanowisko na tak wielu polach? Że to część planu politycznego, który już dziś zakłada samodzielną przyszłość, poza Zjednoczoną Prawicą?

Umawialiśmy się, że podejmiemy zdecydowane działania w sferze wartości, że odpowiemy na wymierzone w nie potężne ataki, na inżynierię społeczną i inne groźne społecznie eksperymenty wspierane także z zagranicy. Przez kilka lat tuliliśmy uszy po sobie, słysząc, że to nie ten moment, że zaraz będą kolejne wybory. Na co mamy teraz czekać? Słyszymy czasem i w naszym obozie, że to już sprawa przegrana, że padły kraje nawet mocniejsze od nas kulturowo. Ja na to odpowiadam, że nie możemy być letni, że musimy być gorący. Wtedy mamy szansę. Ideologia LGBT wygrywa, bo jest gorąca, bo się nie boi, bo chce wygrać.

Także dlatego, że stoją za nią potężne siły i potężne pieniądze.

A jakie pieniądze my przekazaliśmy na naszą agendę kulturową w ciągu pięciu lat? Jedna TVP tego nie załatwi. Węgrzy, w dużo trudniejszych warunkach kulturowych, w bardziej zlaicyzowanym społeczeństwie, jednak walczą. Nie idealizuję Orbána, ale widzę, co robi. Zmienia swój kraj.

My wciąż nie możemy dokończyć reformy wymiaru sprawiedliwości. I często można usłyszeć: niech minister Ziobro dokończy tę sprawę, a później mówi innym, jak prowadzić politykę.

W tej sprawie było tak. Po objęciu urzędu premier Morawiecki przekonał większość obozu, że dogada się z unijnym komisarzem Fransem Timmermansem. My byliśmy temu przeciwni, uznając, że Timmermans nas oszuka i ukradnie nam cenny czas na dokończenie reform. Zachowaliśmy się jednak lojalnie i na wiele miesięcy zmiany w sądownictwie zostały wstrzymane. W tym czasie w ramach negocjacji z Brukselą aż trzykrotnie ustawy sądowe były zmieniane przez kancelarię premiera, bez udziału Ministerstwa Sprawiedliwości, co nigdy wcześniej się nie wydarzyło. Finał znamy: Unia nie tylko się nie cofnęła, lecz zaostrzyła atak, środowisko sędziowskiej kasty – jak samo się nazywa – dostało skrzydeł, a premier złożył wizytę pani Małgorzacie Gersdorf, o której my z kolei wówczas mówiliśmy, że nie jest prezesem Sądu Najwyższego.

Gorzka lekcja, ale trudno się dziwić, że próbowano znaleźć jakieś porozumienie w relacjach z Unią.

Co do joty spełnił się przewidywany przez nas scenariusz. Druga sprawa, czyli mechanizm praworządności. Już przed lipcowym szczytem mieliśmy zakulisowe informacje, że Niemcy chcą przyspieszyć ofensywę w tej sprawie, by założyć smycze na szyje Polski i Węgier. Namawialiśmy do weta, które byłoby najskuteczniejsze właśnie w lipcu. Niestety, nasza delegacja uwierzyła w ustne obietnice unijnych liderów, że nie będzie powiązania między praworządnością a budżetem. Okazało się, że znowu Solidarna Polska miała rację i UE nas oszukała. Przyszedł szczyt grudniowy i rządowa delegacja zgodziła się na groźne dla Polski rozwiązania.

Komisja Europejska zaakceptowała jednak protokół, który zawęża stosowanie tego mechanizmu do kwestii czysto finansowych.

Nie mogę się z tym zgodzić. W wymiarze prawnym rozporządzenie nie zmieniło się ani o jotę, jest tak samo niebezpieczne. Protokół to deklaracja polityczna. W zderzeniu takiego dokumentu z zapisami prawa wygra prawo, dla nas może być okrutne. Oczywiście, ostateczne rozstrzygnięcie, kto w tej sprawie miał rację, dopiero przed nami, ale komisarz Věra Jourová już zapowiada, że użyje tego narzędzia, i to w sferze LGBT. Obawiam się, że wie, co mówi.

Ale jednak przez te pięć lat zwodów, negocjacji, ofensyw i kontrofensyw Zjednoczona Prawica zachowała władzę, a Unia jak dotąd realnej krzywdy nam nie zrobiła.

Nie zgadzam się. Wymuszono na nas przyjęcie bardzo groźnych dla Polski rozwiązań polityki klimatycznej i skutecznie wstrzymano reformę sądownictwa. Kar nie nałożono, jeszcze, ale jest już stosowny mechanizm. Dziś czas na wyciągnięcie wniosków. Premier Morawiecki uważa, że dalej trzeba się dogadywać, a więc unijni partnerzy są wiarygodni. Mamy inne zdanie. Uważamy, że prowadzą zręczne działania przeciw Polsce, mają jasny plan i gdy tylko będą mogli, uderzą jeszcze mocniej.

My wciąż wracamy do pytania, co w tej sytuacji robić? Co robić, gdy wojsko ma się bić z przeciwnikiem co najmniej dziesięć razy silniejszym? Mieszko czy Chrobry czasem się bili, ale często zabiegali o sympatię Ottonów, zasypywali prezentami, przymilali się.

Jeden z najbardziej doświadczonych polskich polityków zajmujących się UE, czyli Jacek Saryusz-Wolski, mówi jasno to, co my: mechanizm praworządności, jeśli wejdzie w życie, zostanie użyty. Porównuje to nawet do politycznej wojny hybrydowej.

Solidarna Polska nie chce poprzeć Krajowego Planu Odbudowy, czyli polskiej cegiełki unijnego planu wyjścia z kryzysu wywołanego pandemią. Dlaczego?

Prawda jest taka, że to my bronimy należnych Polsce pieniędzy z UE. Bo sprzeciwiamy się wprowadzeniu mechanizmu umożliwiającemu odebranie Polsce tych środków. Uważamy też, że ta formuła oznacza uwspólnotowienie długu. Polacy będą musieli spłacać nie tylko własne pożyczki z Unii, lecz także długi każdego państwa, które przestanie płacić za siebie. Np. Grecji, która ponownie stanęła na progu bankructwa i już dziś niektórzy eksperci twierdzą, że ten kraj pożyczek nigdy nie spłaci. Polacy zostaną bezwarunkowym żyrantem obcych długów aż do 2058 r., czyli przez bez mała pół wieku. Dlatego nie poprzemy takiego rozwiązania. Nie chcemy, by ktoś kiedyś nam powiedział: sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

Ale chodzi także o duże pieniądze.

Ale chodzi także o to, by Unia nie mogła nam ich w przyszłości zabrać.

Nie poprzecie KPO nawet wówczas, jeśli ceną byłby rozpad Zjednoczonej Prawicy i wejście PSL do rządu?

eprasa.pl 28be6bae23

Uważamy, że ten rząd, mimo różnic, które się zarysowały, jest wartością i chcemy w nim być. W 99,9 proc. przypadków głosujemy zgodnie. Wiemy, jaka jest alternatywa. Wiemy też, że rozmowy o poszerzeniu koalicji o PSL były prowadzone jeszcze przed wyborami prezydenckimi. Wiemy, że chciałaby tego część PiS. To z kolei sprawia, że nie mamy powodów, by ukrywać swoich racji i twardo ich bronić. Tym bardziej że są spełnieniem złożonych wyborcom obietnic, dzięki którym jako Zjednoczona Prawica wygraliśmy wybory. Nie będziemy jednak – mówię tu o Solidarnej Polsce – w jednym rządzie z PSL, rozbieżności są zbyt duże.

Przejście do opozycji to jednak rzecz bolesna. Możecie trafić na margines, i to na dekady.

Sami się tam nie wybieramy, ale na pewno to nie jest straszak, któremu ulegniemy. Naszą głęboką motywacją jest chęć służby Polsce, tak samo – jak sądzę – jest w przypadku PiS. To z kolei buduje we mnie przekonanie, że ten rząd da się utrzymać. Na pewno ułatwi to lepsza współpraca w myśl umowy koalicyjnej i wspólnie podjętych wobec wyborców zobowiązań. Nie można jednak oczekiwać od nas, że zagłosujemy za rozwiązaniami, które oceniamy jako wiszącą nad Polską gilotynę. Zdajemy sobie jednak sprawę, że w tej ocenie różnimy się od koalicjantów i każdy będzie głosował w zgodzie z własnym przekonaniem i tym, co uważa za dobre dla Polski.

PiS ma do was pretensje także o Rzeszów. Wasz polityk kandyduje tam z poparciem odchodzącego prezydenta miasta Tadeusza Ferenca. Jak doszło do tej sytuacji? Czy jego start nie powinien być poprzedzony uzyskaniem akceptacji ze strony całej koalicji?

Akceptacji na to, że prezydent Ferenc – człowiek, który jest w Rzeszowie żywą legendą i w cuglach wygrywał kolejne wybory, który budżet miasta zwiększył z 300 mln do 2 mld zł – poparł polityka Zjednoczonej Prawicy?! To jak gwiazdka z nieba dla niej! Dlatego żałuję, że do tego poparcia nie przyłączyło się PiS, choć przekonywałem prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Zadzwoniłem do niego natychmiast, gdy się dowiedziałem, że prezydent Ferenc wskazał Marcina Warchoła. Wystawienie w wyborach wspólnego kandydata Zjednoczonej Prawicy, mającego przy tym wsparcie prezydenta Ferenca, byłoby niemal gwarancją zwycięstwa. Możemy więc mieć raczej żal do PiS.

> Unia bardzo się zmieniła od momentu wejścia Polski do tej organizacji. Wpadła w ręce ludzi, którzy chcą stworzyć europejskie superpaństwo, którzy budują świat chwilami orwellowski

Prezydent Ferenc zadzwonił do pana?

Skąd! Zadzwonił do ministra Warchoła. Tu kluczem jest nie polityczna układanka, ale osobiste relacje i uznanie. Prezydent Ferenc docenił ministra Warchoła za to, co robi dla Rzeszowa, organizując pieniądze czy pomagając w przejęciu tamtejszego zamku na potrzeby miasta.

Ale gdyby pan był na miejscu PiS, nie niepokoiłby się pan, że mniejszy partner może zdobyć duże miasto?

Przeciwnie. Uznałbym to za wielką szansę, bo przecież politycy Zjednoczonej Prawicy nie rządzą dziś w żadnym wojewódzkim mieście. Co więcej, PiS popierał w przeszłości kandydatów bezpartyjnych, często bliskich opozycji, np. w Katowicach.

Nie można jednak zapominać, że polityka prowadzona po 2015 r. przyniosła reelekcję rządu i prezydenta. Trudno to uznać za dowód porażki.

Do tych wygranych Solidarna Polska dołożyła swoją cegiełkę. Zdobyła rekordową liczbę miejsc w Sejmie, mimo że jej politycy startowali z odległych miejsc na listach wyborczych. Sam uzyskałem jeden z najlepszych wyników w kraju. Opatrzność dała całej Zjednoczonej Prawicy niewiarygodną szansę – prezydenta i samodzielną większość w Sejmie. Jak wykorzystaliśmy ten czas, czy potrafimy skutecznie bronić drogich dla naszych wyborców wartości i wprowadzać nasz program w życie?

Nie chcę dziś jeszcze odpowiadać na to pytanie. Mogę powiedzieć jedno: jako Solidarna Polska mamy prawo do własnego zdania i mamy prawo upominać się o realizację wspólnego programu prawicy.

Czy nie zapominacie jednak, że polska prawica gra dziś trochę ponad stan? Że mamy taki establishment, jaki mamy, że świat jest, jaki jest. I że gdyby ten obóz trzymał się wyłącznie twardej linii, gdyby nie wielki talent polityczny Jarosława Kaczyńskiego, to w ogóle by do władzy nie doszedł?

To tylko potwierdza moją diagnozę, że władzę trzeba wykorzystać do zmiany rzeczywistości, a nie do trwania dla trwania. Liczę, że ten spór, który toczy się już także publicznie, sprawi, że zaczniemy robić więcej w sferze mediów, kultury, obrony wartości i twardo stawimy czoła agresywnym działaniom ze strony UE.

Ma pan bardzo krytyczną – delikatnie mówiąc – ocenę Unii. Czy logicznym wnioskiem nie jest w tej sytuacji zabieganie o polexit?

Logicznym wnioskiem jest twarda – podkreślam – twarda obrona naszych interesów w Unii. Doceniamy korzyści płynące z naszego członkostwa, ale nie możemy się godzić na ustępstwa, które teraz i w przyszłości mogą być katastrofalne w skutkach. Gdy Holendrzy zagrozili wetem unijnego budżetu, nikt nie posądzał ich o holexit. Po prostu bronili interesów swojego kraju. Wciąż jeszcze wierzę, że UE wróci do swoich korzeni i będzie prawdziwą wspólnotą narodowych państw. Bo droga do federalizacji Unii jest dla mnie całkowicie nie do przyjęcia.

eprasa.pl 28be6bae23

Borys Budka ulega temu samemu złudzeniu, któremu ulegli komuniści po II wojnie światowej – że społeczeństwo da się łatwo i szybko przerobić

Jak upada Platforma

STANISŁAW JANECKI

Jedyną siłą Platformy Obywatelskiej jest obecnie posiadanie 19,8 mln zł rocznie z subwencji budżetowej. I formalnie rękę na tych pieniądzach trzyma przewodniczący Borys Budka. Pod względem materialnym partia jest ustawiona, a przewodniczący ma moc sprawczą, ale pod każdym innym względem jest wręcz przeciwnie. I nawet pieniądze przestały działać na rzecz ugrupowania Budki.

Partiom zdarzają się wahania wielkości poparcia, lecz ważne jest, czy sondaże odzwierciedlają tendencje. Równie ważne jest to, jakie są przyczyny sondażowych wahań, a właściwie spadków. Poza jednym sondażem (z połowy marca 2021 r. firmy Kantar), w którym PO (formalnie Koalicja Obywatelska, ale wynik PO byłby właściwie tożsamy) ma aż 10 pkt proc. przewagi nad Polską 2050 (odpowiednio: 24 proc. i 14 proc.), od kilku tygodni partia Borysa Budki regularnie przegrywa z ugrupowaniem Szymona Hołowni. I osiąga poparcie na poziomie 13–15 proc. Gdyby wnioskować na podstawie objawów, Platforma choruje i leży w łóżku. Oczywiście nie można jeszcze mówić, że ugrupowanie założone 20 lat temu przez Andrzeja Olechowskiego, Macieja Płażyńskiego i Donalda Tuska upadło. Można już jednak mówić, że upada, chyba że zasadniczo wymieni swoich działaczy i w dużym stopniu wymieni swój elektorat. Po raz pierwszy w swej historii kierownictwo PO próbuje bowiem przerabiać swoich wyborców, zamiast ich po prostu reprezentować. Członków partii, w tym parlamentarzystów, jeszcze nie przerabia, ale liczy na to, że przerobią się sami.

POLITYKA FAKTÓW DOKONANYCH

Na staczanie się PO wskazywała już programowa niemoc tej partii. Prezentacje typowe dla korporacji, w wykonaniu Borysa Budki, Rafała Trzaskowskiego czy Izabeli Leszczyny, nie zastąpią choćby zrębów programu i planu działania. Na razie pomysł jest taki, żeby sama Zjednoczona Prawica pozbawiła się władzy, skoro koncepcja „koalicji 276" to tylko fantazja i sny o potędze. Zamiast programu i planu działania kierownictwo PO swoich członków i wyborców postawiło przed faktem dokonanym w sprawie najbardziej ryzykownej, czyli aborcji (kobieta może podjąć decyzję w szczególnie trudnych sytuacjach i po stosownych konsultacjach). Nieprzypadkowo stanowisko partii jest decyzją zarządu krajowego PO, a nie krajowej konwencji czy rady krajowej, co wytknął obecnemu zarządowi wyrzucony z niego poprzedni przewodniczący Grzegorz Schetyna. Zarząd uznał, że nawet członkowie rady krajowej mogli jeszcze nie dorosnąć do podejmowania decyzji zasadniczo zmieniającej ideowe (światopoglądowe) oblicze partii. Stanowisko w sprawie aborcji pokazało, że establishment PO nie zamierza pytać o zdanie nie tylko własnego elektoratu, lecz nawet członków partii. Co oznacza, że establishment uważa wyborców PO za jeszcze na tyle niedojrzałych, iż trzeba ich zmusić, aby dojrzeli. Wystarczą pojedyncze głosy „dołów", że trzeba zmienić kurs na „progresywny", oraz przekonanie zarządu krajowego, iż zmiana umożliwi partii zachowanie, a nawet powiększenie aktywów. Nie stoją za tym żadne badania,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 28be6bae23

tylko przekonanie kierownictwa (pośrednio bazujące na sondażach), że postulaty i żądania Ogólnopolskiego Strajku Kobiet mają trwałą bazę społeczną i już stały się częścią świadomości większej części społeczeństwa.

Obecne kierownictwo PO nie chce przyjąć do wiadomości, że wyborcy tej partii są zdecydowanie bardziej konserwatywni niż ono, mimo że dowodzą tego liczne badania. Budka i jego najbliżsi współpracownicy przyjęli, że większość wyborców (a nawet członków partii) porzuci swoje dotychczasowe poglądy, uznając, iż przewodniczący oraz zarząd krajowy wiedzą lepiej, jaka powinna być Platforma. Wcześniejsze kierownictwa PO nie odważały się tak bardzo ignorować własnych szeregowych członków i wyborców, nie stawiały ich przed faktami dokonanymi i nie zmuszały do swego rodzaju postępowej reedukacji. Bliska tego była Ewa Kopacz, ale ona rządziła partią za krótko (czego członkowie i wyborcy byli świadomi), żeby zdecydować się na reedukowanie elektoratu. Schetyna był natomiast przekonany, że partia powinna dawać jak najwięcej sygnałów, iż jest formacją chadecką, która jest nawet zdolna przerabiać na chadeków (choćby deklaratywnie) zasłużonych postkomunistów. Dowodem „przerobienie" m.in. Danuty Hübner, Dariusza Rosatiego czy Grzegorza Napieralskiego. Ale podobny manewr z Leszkiem Millerem, Włodzimierzem Cimoszewiczem czy Markiem Belką już się nie udał: wykorzystali oni wspólne listy, by dostać się do Parlamentu Europejskiego, ale ideowo się nie zmienili. Schetyna nie widział szans dla PO w skręcie w lewo, a sens miało dla niego przejmowanie części aktywów lewicy. Budka uznał, że chadeckość nic nie daje, tym bardziej że obóz chadecki poszerzył się (przynajmniej formalnie) o Polskę 2050 Szymona Hołowni oraz zmontowaną przez Władysława Kosiniaka-Kamysza Koalicję Polską.

KIEROWNICTWO KONTRA ELEKTORAT

W PO nie przybywa młodych członków ani zwolenników, którzy w ostatnich miesiącach najbardziej skręcali w lewo, więc pod tym względem partia niewiele się zmienia. Zapewne dlatego Budka i jego ekipa uznali, że mają misję zmienienia własnej partii i jej wyborców bez dopływu świeżej, bardziej lewicowej krwi. Nikt o to członków ani wyborców PO nie pytał, więc reagują oni niechęcią i przekonaniem, że zarząd krajowy popełnia błąd. To zresztą cały czas próbuje przekazywać opinii publicznej Schetyna. A reakcja Budki jest taka, że ogranicza w partii demokrację. Już sam jego wybór przez 6481 członków partii nie dał mu mocnego mandatu, choć było to 78,77 proc. głosów uprawnionych i media zwalczające Schetynę odtrąbiły wielki sukces. Potem już przewodniczący podejmował decyzje w wąskim kręgu, czego nie tłumaczą ograniczenia związane z pandemią. Na brak demokracji w partii zwracali uwagę „uciekinierzy" z niej, czyli Joanna Mucha i Tomasz Zimoch. Mówili, że kierownictwo nie liczy się nawet z parlamentarzystami klubu KO. A decyzje Budki pokazują, że ograniczenie demokracji wewnątrz partii jest mu potrzebne do tego, żeby odgórnie przeprowadzić reedukację własnego zaplecza i elektoratu.

> Wcześniejsze kierownictwa PO nie odważały się tak bardzo, jak ekipa Budki, ignorować własnych szeregowych członków i wyborców

Przy tym Budka i jego współpracownicy nie przedstawiają żadnej oryginalnej ani nie lewicowej wizji Polski. Ta pustka ideowa doskwiera już nawet tym, którzy popierają PO jako antypis. A dla nich antypis, szczególnie ten w wydaniu Schetyny, był i jest jakąś wersją polityki centrowej, a nawet konserwatywnej, ale nie lewicowej. Schetyna jako polityk bez porównania bardziej doświadczony od Budki i znający się na politycznych grach ma świadomość, że PO jest pozbawiana tożsamości, a ta nowa, lewicowa, znacznie więcej wyborców odrzuca, niż przyciąga. W tym sensie działania Budki uznaje za samobójcze, gdy chodzi o przyszłość partii. Nie dziwi więc, że grupa Schetyny uważa, iż przy takiej polityce Budki Platforma się stacza i upada.

Na razie PO najwięcej traci na rzecz Polski 2050 Hołowni, gdyż mimo jego ekwilibrystyki i pozyskania lewicowych posłanek stara się on zachować przynajmniej pozory centrowości. I robi to mniej więcej tak, jak robił Donald Tusk. Były premier działa w ten sposób także obecnie, gdy jako przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej szuka nowej, chadeckiej tożsamości, choć partia jest z niej coraz intensywniej wypłukiwana. Chodzi jednak o to, żeby nie odrzucać chadeckiego elektoratu, jakkolwiek bardzo by on ewoluował. To wszystko wiedzą doświadczeni politycy, ale Budka taki nie jest. Przewodniczący PO, jego najbliżsi współpracownicy oraz jego tzw. eksperci nie znają się na polityce stawiającej sobie długofalowe strategiczne cele. Może coś rozumieją z bieżącej „młócki", ale to nie jest strategia gwarantująca sukces. Z tego, co było pewne i w miarę stabilne, zrezygnowali na rzecz ułudy lewicowej zmiany w Polsce, której w dodatku nawet nikt nie przebadał. A jedno badanie CBOS nie czyni wiosny. Budka, w przeciwieństwie do Schetyny, nie ma pojęcia o tym, że elektorat PO jest wciąż dużo bardziej konserwatywny niż kierownictwo wyłonione na początku 2020 r. I próba reedukacji tego elektoratu spotyka się z odrzuceniem. Jeśli nawet Polska 2050 zacznie tracić, ci wyborcy PO, którzy przenieśli na nią swoje poparcie, nie wrócą do partii Budki, bo już się z nią nie identyfikują. Jeśli PO przez następne pół roku będzie trwale tracić na rzecz Polski 2050 i jej sondażowe wyniki będą poniżej 15 proc., już nie wróci do dawnej siły i będzie mogła co najwyżej rywalizować z Lewicą i Konfederacją o trzecie, czwarte, a nawet piąte miejsce, gdy chodzi o poziom poparcia. Budka i jego ekipa ulegają temu samemu złudzeniu, któremu ulegli komuniści po II wojnie światowej – że społeczeństwo da się łatwo i szybko przerobić. Wtedy ostatecznie w jakimś stopniu się dało, ale pod bagnetami. Budka bagnetów nie ma.

eprasa.pl 28be6bae23

Jedno OKO Saurona

Lubią mówić, że patrzą na ręce władzy. Czasem skłamią, że barwy partyjne nie mają dla nich znaczenia. Pozują na obywatelskie medium, choć de facto są centrum ideologicznym polskiej lewicy. Szyld może i świeży, ale kadry stare i sprawdzone w boju o nowy wspaniały świat

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Patrząc na powiązania fundacji założycielskiej OKO.press, widać wyraźnie, że tym, co łączy ponad wszelkimi podziałami lewą stronę sceny politycznej, są właśnie media służące za tubę propagandową antypisowskiej ideologii. Mówienie o swej niezależności to w przypadku OKO.press okłamywanie czytelników w żywe oczy.

Powiązania portalu nie przypominają demokratycznych mediów. Bliżej im do oka Saurona, które obserwuje Tolkienowskie Śródziemie z zamiarem zniszczenia wszystkiego, co udało się zbudować zamieszkującym je ludom.

JEDNO OKO

Działalność portalu OKO.press uzasadnia twierdzenie, że rola mediów jako narratora odchodzi do lamusa. To irytujące, bo im głośniej słyszymy z tej redakcji o konieczności obiektywizmu, tym bardziej się przekonujemy, że ci dziennikarze stają się stroną konfliktu i mają ambicję inicjować trendy społeczne oraz rozgrywać polityczne spory. Przypomina to drogę najpierw gazety Michnika, a potem Radia Tok FM. Tyle że życie medialne przenosi się do internetu, więc to w portal internetowy warto dziś zainwestować, by mieć skuteczne narzędzie wpływania na rzeczywistość.

Jednego nie można dziennikarzom portalu odmówić – są niepodrabialni, jeśli chodzi o samozachwyt i autopromocję. Piotr Pacewicz, redaktor naczelny, w lutym 2020 r.: „Jestem daleki od zachwycania się naszą pracą, ale o jednym mogę zapewnić: OKO.press jest dziś niezależne tak bardzo, jak tylko media mogą być”. W tym samym tekście tak dowodził owej niezależności: „Kreślimy sylwetkę premiera konfabulanta i prezydenta krętacza”. Niezależnie więc od faktów, kreślą takie sylwetki nieustająco. Bo taką nakreślili sobie misję i w jej realizacji nie ustają.

Gdy wchodzimy na portal, wyskakuje reklama: „Władza »dekoncentruje« media, OKO koncentruje się na rozliczaniu władzy”. I to w zasadzie dobrze opisuje jego działalność, która dosyć szybko rozjechała się z pierwotnymi założeniami. Bo miał to być wyspecjalizowany portal factcheckingowy, czyli obiektywne medium weryfikujące informacje i wypowiedzi pojawiające się w debacie publicznej, a jest nieustanna pogoń za hakami na Zjednoczoną Prawicę.

Nawet branżowy (mocno przechylony w lewo) magazyn „Press” szybko zauważył, że „twórcy serwisu od początku stoją po jednej ze stron podziału polityczno-medialnego”, i odnotował m.in. takie opinie jak dziennikarza śledczego „Głosu Wielkopolskiego” Krzysztofa M. Kaźmierczaka: „Najsmutniejsze, że koncepcja działalności śledczej, której tak ostatnimi laty brakuje w polskim dziennikarstwie, podporządkowana została celom politycznym, o czym niewątpliwie świadczy opis OKO.press cyt. »Chcemy stać się obywatelskim narzędziem kontroli władzy. Obecnej i każdej następnej. ZWŁASZCZA OBECNEJ«.

eprasa.pl 28be6bae23

Niestety, całe przedsięwzięcie wygląda jak »dziennikarze w służbie KOD«".

Dopisek „zwłaszcza obecnej" już zniknął z opisu misji zespołu, ale mechanizm działania pozostał.

Przechodzimy do kolejnego działu, gdzie czytamy: „OKO.press prowadzi rzetelne dziennikarskie śledztwa i dochodzenia. Prześwietlamy działania polityków i urzędników, nagłaśniamy korupcję, nepotyzm, kolesiostwo". Ostatnie publikacje dotyczą Daniela Obajtka i jego rodziny. OKO skupia się nie tylko na majątku szefa Orlenu, lecz interesuje się również posadą jego brata i nieruchomościami mamy. To jedna z czterech redakcji, obok „GW", TVN i „Newsweeka", które wchodzą w skład tej osobliwej grupy pościgowej. Poprzednie „śledztwa" dotyczyły często działań policji oraz Mariusza Kamińskiego, w kampanii prezydenckiej uderzano w Andrzeja Dudę i jego otoczenie, na celowniku są też Zbigniew Ziobro i politycy Solidarnej Polski.

Trudno znaleźć publikacje o politykach obecnej opozycji, ale może nieprzypadkowo portal nazywa się „oko", a nie „oczy". Jedno z nich jest wdzięcznie przymknięte.

DZIECI NA CELOWNIKU

Po stronie dobrze widocznej dla portalu znajdują się sprawy, na które rzucane są naprawdę spore siły. Obserwujemy godne podkreślenia drążenie oskarżeń księży o pedofilię lub nadużycia finansowe. Paweł Cybulski na podsumowanie 2020 r. pisał z satysfakcją, że „niezbyt duże medium potrafi zdobyć masowy zasięg, gdy trafia w potrzeby (i wartości) odbiorców". I dalej: „OKO.press towarzyszy też zmianie kulturowej, jaka zachodzi w Polsce, w tym spadku zaufania do Kościoła katolickiego, który został wskazany przez PiS jako jedyne źródło moralności w Polsce. [...] Rekordowa popularność publikowanych przez nas tekstów o apostazji, lekcjach religii, podstawach katechezy, katolickim wychowaniu czy – dzisiejszy 23 grudnia – o spowiedzi, pokazuje, że OKO.press jest świadkiem tej zmiany".

Przy tej mnogości publikacji można odnieść wrażenie, że to coś więcej niż tylko „towarzyszenie" zmianom. To ich inicjowanie i kibicowanie antykościelnym ruchom. I jeszcze jedno, wręcz obsesyjne wplatanie w polityczne historie wątków „okołokościelnych", które często wystarczają za uzasadnienie powstania artykułu. No, ale skoro tak wynika z badań...

„Syn byłej premier Beaty Szydło jest pracownikiem firmy ERG Bieruń Folie, której udziałowcami są Daniel Obajtek i jego matka. Pracuje tam pod zmienionym nazwiskiem. Jest przedstawicielem handlowym odpowiadającym za dystrybucję worków foliowych" – czytamy w jednym z najnowszych hitów. Autorka Bianka Mikołajewska (wicenaczelna, wcześniej w „Polityce" i „Wyborczej", uhonorowana przez Radio Zet tytułem Dziennikarza Dekady) wprowadza: „O Tymoteuszu, bo o nim mowa, było ostatnio głośno w 2019 r., gdy rozeszła się wieść, że porzucił stan duchowny. [...] dwa lata wcześniej premier Beata Szydło i propisowskie media zrobiły wielkie show z uroczystości związanych z wyświęceniem go na księdza".

I to ma być powód, by śledzić człowieka, który próbuje się podnieść po niewątpliwej porażce, jaką musiało być odejście z kapłaństwa? Zmiana nazwiska miała go uchronić właśnie przed takimi nagonkami. Trudno nazwać to działanie inaczej. OKO niczego panu Tymoteuszowi nie zarzuca, nie ma nic zdrożnego w podjęciu przez kogokolwiek uczciwej pracy. Skąd więc ten sensacyjny ton, który ma go w jakiś sposób napiętnować?

Trudno to zrozumieć, tym bardziej gdy się sięgnie do niezbyt odległego archiwum. Latem 2019 r. portal grzmiał: „Synem w Bodnara", „Zaszczuć Bodnara", chodziło o materiały w Telewizji Polskiej, które miały się wpisywać w „nieustający atak" na Adama Bodnara. „Do całej baterii zmanipulowanych zarzutów przeciwko Rzecznikowi Praw Obywatelskich dorzucono koronny »argument« propagandy: jego syn źle się prowadzi" – pisała Agata Szczęśniak. Sprawa z pozoru podobna do ataków na rodzinę Szydłów. Z drobną różnicą. „Złym prowadzeniem się" Bodnara juniora – co potwierdził wyrokiem skazującym warszawski sąd – było wymuszanie pieniędzy przy użyciu noża.

eprasa.pl 28be6bae23

A co z factcheckingiem i obiektywnością? Redaktor naczelny Piotr Pacewicz przed rokiem udawał, że na działalność opozycji patrzą równie wnikliwie: „Do opozycji demokratycznej mamy zdrowy (i krytyczny) dystans. Liderów PO i Nowoczesnej szczególnie zdenerwował sondaż OKO.press z 2017 r. To był – oczywisty dla nas – wyraz niezależności od polityków, także z partii opozycyjnych, bo wspólna niechęć do władzy nie oznacza taryfy ulgowej. Zwracaliśmy uwagę, że PO – największa siła opozycyjna – nie rozliczyła się z porażki 2015 r., a potem z kolejnych w wyborach samorządowych 2018 r. oraz europejskich i parlamentarnych 2019 r., na osłodę wygrywając blokiem opozycyjnym Senat (o czym OKO.press poinformowało jako pierwsze)".

Podkreślmy: zamówili sondaż i troskliwie stwierdzili, że ich ulubieńcy nie rozliczyli się z porażek wyborczych. Ależ ukąsili tę opozycję!

ZANIEPOKOJENI

Dość krotochwil. OKO.press to frontowy oddział do wywoływania „tysiąca Wietnamów" wymierzonych w obóz Zjednoczonej Prawicy. Każdego dnia musi się pojawić jakaś nowa afera PiS. Pod przykrywką zakochanych w dziennikarskich standardach pracowitych żurnalistów de facto realizują cel stricte polityczny – zmiany władzy. Po to powstali, po to nieustannie proszą o pieniądze czytelników. Choć deklarują co innego.

W grudniu 2017 r. Pacewicz pisał: „OKO.press narodziło się 15 czerwca 2016 r. jako inicjatywa środowiska dziennikarskiego zaniepokojonego losem demokracji i mediów w Polsce rządzonej przez PiS. Fundusze na start dostaliśmy od Polityki sp. z o.o., S.K.A. i Agory Holding sp. z o.o. oraz od osoby prywatnej. Mamy już 18 miesięcy! Od początku było jasne, że jesteśmy medium obywatelskim, niezależnym, samofinansującym się".

Logiczne, przecież „Polityka" i medialny koncern z Czerskiej to oazy obywatelskości i niezależności. Na dowód tego w tym samym tekście Pacewicz wyłożył, o co w OKO chodzi: „Bronimy – prawdziwą informacją – dzieci i szkół przed deformą edukacji, Puszczy Białowieskiej przed Szyszką, praw kobiet przed Radziwiłłem, prawdy historycznej przed całym PiS". I tyle z jego równego i sprawiedliwego patrzenia na ręce zarówno obozowi rządzącemu, jak i opozycji.

OKO.press to bowiem nic innego niż nowa mutacja Radia Tok FM (analogicznie należącego na początku przede wszystkim do „Polityki", Agory i Fundacji Batorego, dziś wśród udziałowców są tylko dwa pierwsze podmioty). Z tą różnicą, że stacja na początku swej działalności (jeszcze w latach 90.) rzeczywiście była medium dość obiektywnym, w wyniku czego obawiali się do niej przychodzić politycy wszystkich opcji. Gdy jednak Agora przejęła w niej większość udziałów i przeprowadziła w sąsiedztwo własnej siedziby, wyewoluowała w kierunku „pierwszego radia informacyjnego", jakie znamy do dziś – zwalczającego wszystko, co konserwatywne, z rewolucyjnym zapałem. Nurtu pilnowała wówczas nieco już zapomniana Ewa Wanat, która w 2007 r. na serio przekonywała swój zespół, że warto zmienić radiowy slogan na „Pierwsze radio opozycyjne". Gdyby przeforsowała swój pomysł, to tylko na kilka miesięcy, bo przecież za chwilę PO po raz pierwszy wygrała wybory.

> Nawet branżowy (mocno przechylony w lewo) magazyn „Press" szybko zauważył, że „twórcy serwisu od początku stoją po jednej ze stron podziału polityczno-medialnego"

KALEJDOSKOP Z FUNDACJAMI

Kto za tym wszystkim stoi? Te same nazwiska co zwykle. Zacznijmy od samego centrum Mordoru – Fundacji Ośrodek Kontroli Obywatelskiej OKO. Jej założycielami są Seweryn Blumsztajn (od 1989 r. w „Gazecie Wyborczej", tak mocno utożsamiający się z bronionymi feministkami, że gotów nosić na manifach transparenty o treści: „Pier...lę, nie rodzę!"), Jacek Rakowiecki (z przeszłością w „GW", zarządzie Agory, później w Edipresse i Bauerze, rzecznik TVP w czasie prezesury Juliusza Brauna), Jan Ordyński (w wielu redakcjach, m.in. „Rzeczpospolitej", TVP Brauna, Tok FM, autor wywiadów rzek z Mieczysławem Rakowskim i Danielem Passentem), Piotr Pacewicz (niemal pół życia w „Wyborczej", w tym 15 lat jako wicenaczelny) i Helena Łuczywo – wieloletnia członek zarządu Agory, przez pewien czas zaliczana do grona najbogatszych Polaków.

Prezesem zarządu fundacji jest Pacewicz, o którym warto też wspomnieć, że jest promotorem ideologii LGBT (podobnie jak członek zarządu OKO Anna Okazaki-Pindur), współautorem m.in. książki „Zakazane miłości. Seksualność i inne tabu" wydanej przez „Krytykę Polityczną".

Radę fundacji założycielskiej portalu OKO.press tworzą: Monika Płatek, Jarosław Kurski, Jerzy Baczyński, Jacek Kucharczyk i Ewa Łętowska. Do swojej śmierci 25 listopada 2020 r. zasiadał w niej także prof. Marcin Król. I właśnie Rada Fundacji OKO otwiera skomplikowaną siatkę powiązań biznesowo-politycznych, bo żaden z członków tej rady nie poprzestaje na tworzeniu fundacji mającej rzekomo rozwijać wolność i demokrację w Polsce. Każdy z nich związany jest z wieloma innymi instytucjami, które niczym pajęczyna oplatają polską scenę medialną.

Monika Płatek jest członkiem Rady Fundacji Demokracja XXI Wieku. Znajdziemy w niej także Bogdana Lisa (dawnego działacza opozycji demokratycznej, później członka władz Unii Wolności), Władysława Frasyniuka (coraz bardziej wulgarnego działacza politycznego) oraz – tu smaczek – Mateusza Kijowskiego (niesławnego lidera KOD, skazanego za oszustwa finansowe).

eprasa.pl 28be6bae23

Prezesem fundacji Demokracja XXI Wieku jest Radosław Markowski – socjolog, były przedstawiciel premiera Donalda Tuska w radzie CBOS. Jego zastępcą zaś Piotr Niemczyk – mąż Bianki Mikołajewskiej-Niemczyk (zastępcy redaktora naczelnego OKO.press), w latach 90. wiceszef wywiadu Urzędu Ochrony Państwa, obecnie członek rady nadzorczej spółki Vestor, która zajmuje się pozyskiwaniem kapitału dla firm.

Płatek jest również członkiem Rady Fundacji „Po Drugie", w której zasiada wraz z Mirosławą Kątną – byłą posłanką SLD, a także Rady Fundacji Wysokich Obcasów.

Z kolei Jerzy Baczyński, redaktor naczelny tygodnika „Polityka", to członek Rady Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego. W tej samej radzie zasiadają m.in.: Alicja Kornasiewicz (sekretarz stanu w rządzie Jerzego Buzka), Wojciech Wróblewski (dawniej ambasador RP w Estonii, a wcześniej także doradca komendanta głównego policji, członek wielu rad nadzorczych spółek skarbu państwa), Jan Widacki (były poseł SLD, doradca Janusza Palikota, adwokat w procesie gangu pruszkowskiego, oskarżony – i uniewinniony – o nakłanianie świadków do składania fałszywych zeznań i ukrywanie informacji obciążających Jana Kulczyka).

To tylko wierzchołek góry „okowej". Socjolog Jacek Kucharczyk, Jarosław Kurski (faktyczny redaktor naczelny „Gazety Wyborczej") oraz Jerzy Baczyński związani są z Fundacją Instytut Spraw Publicznych – Kucharczyk jest jej prezesem, Kurski członkiem Rady. Wraz z nim w Radzie zasiadają m.in.: Danuta Hübner (posłanka KO do europarlamentu), Agnieszka Liszka-Dobrowolska (była rzecznik Donalda Tuska) czy Mirosław Wyrzykowski (prawnik, promotor pracy doktorskiej Adama Bodnara, który jako RPO odznaczył go honorową odznaką „Za zasługi dla ochrony praw człowieka").

Wyrzykowski jest również członkiem Rady Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, w której współpracuje m.in. z Henryką Bochniarz i Andrzejem Rzeplińskim. Obiektywność fundacji, w których zasiadają działacze polityczni i zależni od nich dziennikarze, możemy oceniać na co dzień.

Z kolei Liszka-Dobrowolska to członek Rady Fundacji Centrum im. Leszka Kołakowskiego (ale też m.in. WWF Polska), w której znajdziemy choćby Andrzeja Rapaczyńskiego (męża Wandy Rapaczyńskiej, prezes Agory) i Aleksandra Smolara – obu związanych blisko z Fundacją im. Stefana Batorego. Smolar od 1991 do 2020 r. pełnił funkcję prezesa tej fundacji. W gronie jej ekspertów znajduje się choćby Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz – ambasador RP w Moskwie w latach 2014–2016, członek sztabu wyborczego Szymona Hołowni.

> Trudno znaleźć w portalu publikacje o politykach obecnej opozycji, ale może nieprzypadkowo portal nazywa się „oko", a nie „oczy". Jedno z nich jest wdzięcznie przymknięte

I ZNÓW WUJEK SOROS

Na tym oczywiście nie koniec. Sieć fundacji i powiązań osób nimi zarządzających to materiał na opasłą książkę. Mamy tam polityków, dziennikarzy, artystów, znanych prawników, naukowców i ludzi powiązanych ze służbami. Jednym słowem: „elity", które pod płaszczykiem akcji społecznych rozdają karty w niemal każdej dziedzinie życia społecznego. Głośno przy tym krzycząc, że to za nimi stoi społeczeństwo. Gdyby tak rzeczywiście było, zblatowane towarzystwo polityczno-biznesowo-medialne nie musiałoby dziś tak histerycznie próbować odzyskać rządu dusz.

Za siecią fundacji, których centrum stał się Ośrodek Kontroli Obywatelskiej OKO, stoją potężne środki. Według sprawozdania finansowego Fundacja OKO w 2019 r. pozyskała 3,58 mln zł przychodu z działalności statutowej, co oznacza wzrost o nieco ponad 1 mln zł w skali rok do roku. Znaczącą większość pozyskanych środków, bo przeszło 2,3 mln zł, fundacja przeznaczała na działanie portalu OKO.press. Ponad 3,4 mln zł trafiło do fundacji z darowizn i dotacji.

OKO nie jest oczywiście jedynym beneficjentem siatki powiązań między organizacjami NGO. Do najważniejszych źródeł finansowania ogólnopolskiej pajęczyny należy oczywiście wspomniana już Fundacja Batorego, założona i finansowana przez multimiliardera George'a Sorosa, znanego z promocji idei lewicowych na całym świecie. W Polsce to właśnie Fundacja Batorego stała się patronem organizacji utrzymywanych i powoływanych za pośrednictwem towarzysko-biznesowej kliki.

Tylko w 2019 r. Fundacja Batorego przekazała na rzecz innych NGO niemal 8 mln zł. Choć w grupie bezpośrednich beneficjentów tym razem zabrakło podmiotu założycielskiego OKO.press, w 2018 r. Fundacja OKO otrzymała wsparcie w wysokości 300 tys. zł (0,5 mln dołożyły Open Society Sorosa i The Sigrid Rausing Trust – szwedzka organizacja hojnie dotująca organizacje pozarządowe na całym świecie). Ale przecież przy tak rozbudowanej siatce powiązań ideologiczne centrum lewicowej koalicji nie musi być wspierane bezpośrednio przez fundację założoną przez Sorosa.

Każdy w Polsce może sobie założyć redakcję prasową. Nie każdy jednak może liczyć na potężne środki, know-how doświadczonej kadry wyselekcjonowanej z filarów systemu mediów III RP i wsparcie lewicowo-liberalnego establishmentu.

W tym przypadku tak właśnie jest. Realizowanie interesów owego establishmentu i beneficjentów jego rządów to ich wilcze prawo. Ale miejmy świadomość, kto stoi za tym przedsięwzięciem. I nie nazywajmy tych mediów niezależnymi, bo to kpina z idei, jaka przyświeca czwartej władzy.

eprasa.pl 28be6bae23

Nie zmienię swoich poglądów

Trzeba pilnować zakresu indywidualnej wolności. Nie tylko wobec władzy publicznej, lecz także międzynarodowych korporacji, w tym koncernów medialnych i farmaceutycznych

Z Bartłomiejem Wróblewskim, kandydatem PiS na urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, rozmawia Dorota Łosiewicz

Zapowiada pan, że na stanowisku RPO będzie apolityczny, a swoją działalność oprze na współdziałaniu. Ale przecież jest pan politykiem.

Bartłomiej Wróblewski: Precyzując: powiedziałem, że będę niezależny. Bo sam wybór RPO ma charakter polityczny. Tak było i jest. Pierwszą RPO wybrali jeszcze w 1988 r. komuniści, a później tę funkcję z demokratycznego wyboru pełnili także parlamentarzyści: UD, PZPR, PO czy ministrowie w rządzie SLD-PSL. RPO jest wybierany w procedurze politycznej i nie było rzecznika bez takiej afiliacji. Jednak rzecznik praw obywatelskich musi być niezależny i ja taką niezależność zadeklarowałem. Nie zmienię swoich poglądów, które są znane, ale nie będę rzecznikiem ani rządu, ani opozycji. Będę działał na rzecz praw i wolności obywateli. Będę też pilnował władzy. I centralnej, i europejskiej, i samorządowej. Będę też z nią współdziałał zgodnie z preambułą do Konstytucji RP. RPO nie powinien się mieszać do polityki, może natomiast budować mosty. I to chciałbym robić.

Do tych mostów jeszcze wrócimy, ale skoro o niezależności mowa, to jeden z tygodników pisał, że Nowogrodzka panu nie ufa, bo może pan podążyć drogą prezesa Banasia i rzeczywiście być niezależny.

Z umiarkowanym zaufaniem podchodzę do tego, co piszą opozycyjne tygodniki. Bo często próbują nas podzielić. Tym razem trudno to nawet komentować, gdy właśnie otrzymałem rekomendację prezesa Jarosława Kaczyńskiego i Zjednoczonej Prawicy. Natomiast prawdą jest, że bywam zasadniczy w sprawach najważniejszych, gdy chodzi o wartości określane w klasycznych koncepcjach praw człowieka i katolickiej nauce społecznej jako nienegocjowalne. Chodzi o prawo do życia, prawa rodziny i rodziców do wychowania dzieci czy wolność religijną. W tej ostatniej sprawie zająłem niedawno nieco inne stanowisko niż większość kolegów. Choć opowiadam się za tzw. zielonym konserwatyzmem, czyli otwarciem prawicy na tematy ekologiczne, prozwierzęce, to mimo otwartości trzeba pamiętać o granicach, które wynikają z innych ważnych dla nas wartości, które są podstawą konserwatywnego myślenia i są ważne z punktu widzenia kraju. Niektórzy pytali: „Co nas obchodzi koszerna żywność dla żydów czy muzułmanów?". Obchodzi, po pierwsze, ze względu na godność tych ludzi i konieczność okazania szacunku dla ich zwyczajów. Po drugie, jeśli dziś uczynimy wyłom w wolności religijnej innych osób, a wolność ta jest najstarszą z wolności w katalogu praw człowieka, to jako chrześcijanie osłabimy naszą pozycję w toczących się sporach kulturowych, które w kolejnych latach będą się nasilać. Już dziś musimy myśleć o naszej linii obrony w obliczu światopoglądowej rewolucji, którą chce nam zgotować progresywna lewica.

Skoro rewolucję pan wywołał: jak będzie pan podchodził do kwestii dyskryminacji ze względu na orientację seksualną?

Tu musimy rozróżnić dwie rzeczy. Po pierwsze, art. 47 Konstytucji RP mówi o prawie do prywatności. Chroni wolność decydowania o naszym życiu osobistym. Dotyczy to także skłonności czy wyborów w sferze intymnej. Polska ma w tym zakresie długą tradycję. Byliśmy np. jednym z nielicznych krajów, które nigdy nie wprowadziły kar za homoseksualizm. Jednocześnie ta sama konstytucja wskazuje w art. 18, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Ten przepis został sformułowany stosunkowo niedawno, bo w 1997 r., aby chronić tradycyjne małżeństwo. Wcześniej nikt tej sprawy nie regulował, bo wydawała się oczywista. Ustrojodawca przyjął takie rozwiązanie, więc parlament, a tym bardziej rzecznik, nie może tego zmienić. Jeśli ktoś oczekuje zmian, musiałby wcześniej znowelizować konstytucję. W obecnym stanie prawnym mówimy więc „tak" dla indywidualnej wolności i „nie" dla dyskryminacji ludzi ze względu na orientację seksualną. Jednocześnie trzeba stanowczo powiedzieć „nie" próbom przeprowadzenia rewolucji obyczajowej i społecznej w Polsce.

eprasa.pl 28be6bae23

Czy wobec osób niebinarnych byłby pan gotów używać zaimków postpłciowych czy neutratywów, czyli słów ukutych na nijakie wersje słów nacechowanych płciowo, co postulują dziś środowiska progresywnej lewicy?

Brzmi to dość skomplikowanie nie tylko dla mnie, lecz również dla przygniatającej większości Polaków. O neutratywach dowiaduję się od pani. Natomiast szacunek trzeba okazywać każdej osobie, łącznie ze zwracaniem się do niej w taki sposób, jak tego oczekuje. Przeciwny jestem jednak wywracaniu do góry nogami ustroju państwa czy przebudowywaniu gramatyki języka polskiego. Przypominają się słowa Adama Mickiewicza: „Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni. Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi; Choć o tym dawno w Pańskim pisano zakonie. I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie".

A w ramach inkluzji osób trans są takie pomysły. Prezydent USA Joe Biden podpisał rozporządzenie o zapobieganiu i zwalczaniu dyskryminacji na tle identyfikacji płciowej oraz orientacji seksualnej. Na mocy tego dokumentu osoby transpłciowe będą mogły rywalizować w męskich lub żeńskich konkurencjach sportowych na podstawie deklaracji o swojej płci. Ta sama zasada dotyczy też rekrutacji do pracy, zasad korzystania z łazienek, szatni, miejsc szpitalnych, zasady odbywania kary więzienia czy miejsca przebywania w przypadku aresztowania itp.

Skrajne podejście do tematu otwiera morze problemów i pytań. Skoro miałaby powstać trzecia toaleta, to dlaczego nie czwarta i piąta? Jestem za szacunkiem do drugiego człowieka bez ulegania postulatom przebudowy świata, tak by każdej możliwej sytuacji uczynić zadość. Co do rozwiązań wprowadzonych w USA, to poczekajmy i zobaczymy. Może czarne scenariusze się nie zrealizują, a może konieczne będą korekty. No bo co, jeśli koszykarze poczują się kobietami i będą chcieli grać w żeńskich zespołach, a biegacze zechcą rywalizować w kategoriach kobiecych? To otwarcie puszki Pandory. Z wielu krajów, które tego typu zmiany wprowadziły, dochodzą sygnały, że stało się to zbyt pospiesznie i rodzi problemy. Rośnie np. lawinowo liczba nastolatków niepewnych swojej tożsamości płciowej. Wygląda na to, że ma to związek z panującą kulturą, w której wszystko podaje się w wątpliwość. Nie możemy lekceważyć problemów osób transpłciowych, lecz jednocześnie wskazana jest ostrożność w realizowaniu wszystkich pojawiających się postulatów. Pisze o tym ciekawie Douglas Murray w wydanym niedawno „Szaleństwie tłumów".

Mówił pan o budowaniu mostów. Jak będzie pan budował mosty ze środowiskami feministycznymi, skoro zdaniem opozycji pana kandydatura to policzek wymierzony kobietom? Jest pan jednym z autorów wniosku do TK w sprawie aborcji i przesłanki eugenicznej.

Nie generalizujmy. Feministki, a już tym bardziej skrajne feministki, nie reprezentują wszystkich kobiet. Jest zresztą wiele tematów, co do których się zgadzamy, które są dla mnie ważne i które chciałbym realizować. Jest to zabezpieczenie emerytalne kobiet, równouprawnienie płacowe i przemoc domowa. To dzięki dobrej ustawie przygotowanej w Ministerstwie Sprawiedliwości, przyjętej przez parlament z prawicową większością, mamy w Polsce przepisy, które chronią kobiety przed przemocą domową. Natomiast stosowanie tych przepisów trzeba monitorować. Jeśli chodzi o prawo do życia, to nie wyobrażam sobie RPO, który przeszedłby do porządku dziennego nad pozbawieniem kogoś jednego z podstawowych praw, czyli prawa do życia. Sam wniosek do TK powstał w 2017 r. i był swoistym kompromisem między tym, co zakładał restrykcyjny obywatelski projekt Stop Aborcji, gdzie zapisano karalność kobiet, a poglądem, że należy pozostawić niekonstytucyjne przepisy. Ten kontekst niestety w związku z upływem czasu nieco zatarł się w pamięci. Niekonstytucyjność przepisów to jednak tylko jedna strona medalu. Drugą jest pomoc w trudnych sytuacjach, pomoc osobom niepełnosprawnym, wsparcie ich rodzin i opiekunów. Wyrok

Fot. Mateusz Maksiak

eprasa.pl 28be6bae23

TK ożywił starania o zwiększenie tego wsparcia. W ramach Parlamentarnego Zespołu na rzecz Życia i Rodziny przygotowaliśmy wiele propozycji i przekazaliśmy do MRiPS. Projekt dotyczący kobiet w trudnych ciążach, hospicjów perinatalnych, najwyższej jakości opieki paliatywnej jest już niemal gotowy. Trzeba starać się godzić różne racje. Prawa i wolności często ze sobą kolidują. Z jednej strony mamy prawo do życia, z drugiej wolność kobiety. Gdy pierwszeństwo przyznajemy wartości życia, musimy w innych sposób uwzględnić potrzeby matek i osób niepełnosprawnych. Projekty takiego wsparcia są koniecznym rozwinięciem orzeczenia TK. Najciężej chore dzieci też mają prawo do życia, ale ich matki do szczególnego medycznego, psychologicznego oraz finansowego wsparcia ze strony państwa.

Lewica chce zmiany kwalifikacji gwałtu w ten sposób, by każdy, kto nie uzyskał wyraźnej i świadomej zgody na kontakt seksualny, ponosił odpowiedzialność karną. Jak pan ocenia ten projekt?

Regulacje, które mamy, są zbliżone do regulacji w większości państw europejskich. Dokonywanie zmian w prawie karnym musi być poddane wnikliwej analizie, zwłaszcza gdy chodzi o tak wrażliwą sferę, jak relacje intymne między dorosłymi ludźmi. Kary za gwałt w Kodeksie karnym z 1997 r. zostały już podwyższone. Nasza wrażliwość musi być bardzo duża, ale trzeba uważać, by nie wylać dziecka z kąpielą, by nie zbiurokratyzować relacji między kobietami i mężczyznami. Postawmy sobie np. pytanie, jak dokumentować taką zgodę? Pomysł lewicy może nie rozwiązać żadnego problemu, ale otworzyć wiele innych.

Wiceszef klubu PiS Marek Suski powiedział o pana kandydaturze: „Senat odrzucił centrowego Wawrzyka na rzecznika praw obywatelskich to teraz będzie konserwatysta". Jest pan kandydatem na złość?

W takich sytuacjach chodzi i o poglądy, i o dotychczasową drogę życiową, i o zdolność przekonywania. Jako wolnościowy konserwatysta mam naturalną łatwość rozmów z osobami o podobnym postrzeganiu świata, nawet gdy należą do innych opcji politycznych. A niezależnie od poglądów staram się być koncyliacyjny, szukam kompromisu, sposobu na godzenie sprzecznych racji. O przywiązaniu do tradycyjnych praw i wolności już mówiliśmy. Parlamentarzyści spoza Zjednoczonej Prawicy wiedzą, że w tym obszarze jestem wiarygodnym politykiem. Z drugiej strony mam w wielu obszarach życia, w tym edukacji, nauce, gospodarce, podejście wolnościowe. Przez ostatnie trzy lata zabiegałem o przyjęcie rozwiązań wspierających edukację domową, likwidujących ograniczenia biurokratyczne oraz zwiększających wsparcie finansowe. Ta ustawa właśnie przeszła przez Sejm głosami PiS, ale i niemal całej opozycji. Przygotowałem też projekt ustawy o wsparciu szkół niepublicznych, niesamorządowych szkół publicznych. Opowiadam się za tym, aby pozostawić społeczeństwu dużo wolności w sferze nauczania dzieci. Jestem za radykalnym uproszczeniem prawa podatkowego. To drugi obszar, w którym pojawiają się punkty wspólne, w każdym razie z częścią opozycji. Na marginesie dodam, że moje życiowe pasje też są wolnościowe. Łącznie kilka lat spędziłem na wyprawach w najwyższe góry świata. A góry to wolność, obcowanie z przyrodą, tak jak i mierzenie się z własnymi ograniczeniami i słabościami.

> Chciałbym na końcu działalności publicznej, kiedykolwiek to będzie, móc sobie powiedzieć: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem"

Zdobył pan Koronę Ziemi. Gdyby pan miał porównać politykę do zdobywania szczytów, to gdzie pan jest teraz?

To ciekawe pytanie, a z przymrużeniem oka odpowiadając, może jestem na etapie Aconcagui. To najwyższa góra na Ziemi poza kontynentem azjatyckim, najwyższa góra obu Ameryk, najwyższa góra półkuli zachodniej, najwyższa góra półkuli południowej. To mój czwarty szczyt Korony Ziemi z dziewięciu. Było to dla mnie duże wyzwanie, bo pojechałem do Ameryki sam, nigdy wcześniej nie wchodziłem tak wysoko, bo aż na siedmiotysięcznik. Było wiele niepewności, czy wytrzymam fizycznie, jak zniosę wysokość. Ale się udało.

A co będzie polityczną Koroną Ziemi?

Jeśli na końcu działalności publicznej, kiedykolwiek to będzie, będę mógł powiedzieć: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem".

Jakie są pana priorytety jako RPO?

Powiem o czterech priorytetach. Pomoc najsłabszym, którzy z racji finansowych, wykształcenia, zamieszkania, braku dostępu do sądu i mediów są wykluczeni i dyskryminowani, szczególnie niepełnosprawnym, seniorom, mającym problemy mieszkaniowe, spółdzielcom, lokatorom, bezdomnym, ofiarom lichwy, samotnym matkom czy niemającym kontaktu z dziećmi ojcom. Po drugie, zadeklarowałem, że będę rzecznikiem polskiej wsi. Mieszkańcy obszarów wiejskich cierpią wciąż z powodu wykluczenia komunikacyjnego, kulturowego, edukacyjnego. Wreszcie, o tym już mówiliśmy, będę strażnikiem tradycyjnych praw i wartości. Ostatni priorytetowy dla mnie obszar to tradycyjne wartości liberalne. Świat doszedł do takiego punktu, że to, co 30 lat temu uważane było za oczywistość, dziś przestaje nią być. Mam tu na myśli wolność słowa, swobodę prowadzenia działalności gospodarczej czy własność. Te wartości przez ludzi uważających się za liberałów są dziś podważane. Trzeba pilnować zakresu indywidualnej wolności. Nie tylko wobec władzy publicznej, lecz również międzynarodowych korporacji, w tym koncernów medialnych i farmaceutycznych. Widzimy dziś zmagania o wolność w internecie czy w sprawie sprawiedliwego dostępu do szczepionek.

eprasa.pl 28be6bae23

Trzecia linia metra w Warszawie nie będzie budowana dla mieszkańców, lecz dla politycznego PR i chwały Rafała Trzaskowskiego. Marna to jednak będzie chwała, gdy zbudowane za miliardy złotych metro zacznie wozić powietrze. Trzaskowski przypomina tu trochę swojego dawnego pryncypała Donalda Tuska, który, wysysając niemal cały budżet państwa, budował z wielkim hukiem boiska, stadiony i autostrady, ale nie rozwiązał żadnego ważnego problemu społecznego

Fot. Andrzej Wiktor

Pic na wodę Trzaskowskiego

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na półmetku swojej kadencji prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski ogłosił rozpoczęcie budowy trzeciej linii metra w stolicy. Każdego, kto choć trochę zna Warszawę, proponowany przebieg kolejnej linii musi nieco dziwić. Kolejka miałaby ruszać z położonej na uboczu istniejącej stacji Stadion Narodowy, potem dublować linię kolejową do stacji Dworzec Wschodni, a stamtąd przez poprzemysłowe nieużytki Kamionka sięgnąć na Grochów i dalej na osiedle Gocław.

Trzaskowski przekonuje jednak, że dzięki nowej linii metra mieszkańcy wielotysięcznego Gocławia zyskają dogodne połączenie z centrum miasta. Czyżby? Jak wyliczyli działacze organizacji Miasto Jest Nasze (MJN), dojazd proponowaną trasą, prowadzącą wielkim oberkiem przez krzaki i z przesiadką przy Stadionie Narodowym, potrwa przynajmniej 25 min. Dziesięciokrotnie tańszy tramwaj dojechałby bezpośrednio do centrum Warszawy w ciągu 18 min. Tyle że z kosztującego 200 mln zł tramwaju Trzaskowski najwyraźniej zrezygnował. Zamiast tego woli utopić 2 mld zł w niefunkcjonalnej linii metra. Dlaczego?

FAJERWERK NA WYBORY

Trzaskowski w ciągu ponad dwóch lat na urzędzie nie zdołał się wykazać żadną spektakularną i ważną dla miasta inwestycją, chyba żeby uznać za takie paździerzową „strefę relaksu" na zasmrodzonym spalinami placu Bankowym albo tzw. tramwaj różnorodności, który zepsuł się już podczas pierwszego kursu. Oczywiście nie liczę tu awarii oczyszczalni Czajka, bo za tę wadliwą i przepłaconą inwestycję należałoby raczej winić jego poprzedniczkę. Inna rzecz, że Trzaskowski nie poradził sobie z kryzysem wywołanym awarią i gdyby nie to, że jest ważnym politykiem antypisowskiej opozycji, cieszącym się dużym poparciem w Warszawie, to prawdopodobnie jego kariera zakończyłaby się wraz z erupcją szamba nad Wisłą.

Trzaskowski szykuje więc na kolejne wybory samorządowe, które odbędą się w 2023 r., wielki fajerwerk w postaci rozpoczęcia budowy trzeciej linii metra (choć jeszcze władze miasta nie skończyły drugiej). Nie ma tu znaczenia, że przebieg nowej linii jest pozbawiony sensu, chodzi o to, aby wykazać się wielkim rozmachem. Również w wydawaniu publicznych pieniędzy.

Jednak prezydent stolicy wie, że może sobie pozwolić na taką rozrzutność. Bo ma za sobą ponad połowę mieszkańców stolicy, którzy gotowi są poprzeć go bez względu na wszystko. Nawet jeśli przyjdzie im zapłacić za fanaberie ratusza kolejnymi drastycznymi podwyżkami usług komunalnych. Trzaskowski zawsze przecież może obarczyć winą za podwyżki rząd, a jego wyborcy chętnie w to uwierzą.

Gwoli sprawiedliwości trzeba tu jednak dodać, że Warszawa nie jest żadnym wyjątkiem na mapie Polski. W przytłaczającej większości miast, nawet niekoniecznie tych największych, wybory wygrywa antypisowska opozycja. A jej elektorat, kompletnie zaślepiony politycznymi fobiami, w ogóle nie patrzy na ręce swoim samorządowcom, którzy maskują własną

eprasa.pl 28be6bae23

nieudolność (a niekiedy coś więcej niż tylko nieudolność) głośnymi antypisowskimi gestami. To upolitycznienie władz lokalnych – zresztą bez względu na partyjne barwy – może prowadzić w efekcie do nadużyć, zadłużenia i kryzysu miast.

KASA RZĄDZI

W Warszawie, podobnie jak w innych miastach, działa mechanizm bardzo sprzyjający rozmaitym patologiom. Mieszkańcy zaangażowani w polityczną i ideologiczną wojnę nie zauważają nawet, że stopniowo pozbawiani są wpływu na swoje otoczenie. Oto nagle okazuje się bowiem, że dom, w którym mieszkali, został właśnie „zreprywatyzowany", że podwórko, na którym bawili się w dzieciństwie, należy do rzekomego spadkobiercy dawnych właścicieli i już wkrótce wyrośnie na nim, tuż przed ich oknami, nowy apartamentowiec. Bo gdy jedni się kłócą o aborcję i wywieszają pioruny w oknach, inni, sprytniejsi, zarabiają duże pieniądze.

Nie jest żadną tajemnicą, że w dużych miastach rządzą deweloperzy. Ale to władze miejskie, wydając zezwolenia, odpowiadają za niekontrolowaną, chaotyczną zabudowę osiedli, często pozbawionych dróg i infrastruktury, za niszczenie dawnych założeń urbanistycznych – poprzez stawianie wstrętnych plomb wewnątrz starej zabudowy – i za naginanie bądź zwłokę w uchwalaniu planów zagospodarowania przestrzennego. Prezydent Trzaskowski zgodził się m.in. na projekt wielkiego betonowego osiedla w okolicy objętego rezerwatem Jeziorka Czerniakowskiego. I jakoś nie przejął się – jak się zdaje – losem jeziorka, które może wyschnąć, ani drzew, które pójdą pod topór, jeśli obok powstanie wielotysięczne miasteczko apartamentowców.

Deweloperzy narzucają miastom nawet nazwy ulic, w Warszawie aż roi się od idiotycznych nazw w rodzaju Śpiewu Ptaków, Ukrytego Raju, Porannej Rosy czy Spełnionych Marzeń. Przy czym te „marzenia" spełniają się zwykle na oddalonych, zakorkowanych przedmieściach, z których każdy normalny człowiek chciałby jak najszybciej uciec. Trzaskowski mówi, że chce, aby Warszawa była przyjaznym miastem. Ale co jest przyjaznego w mieście, które nie ma żadnej wizji rozwoju i w którym zawsze wygrywa ten, kto ma więcej pieniędzy i kto się mocniej rozpycha?

Działacze MJN wskazują, że przebieg trzeciej linii metra również przestanie się wydawać bezsensowny, jeżeli spojrzymy na mapę inwestycji deweloperskich. Ich zdaniem, to właśnie deweloperzy budujący apartamenty na dawnych przemysłowych nieużytkach na Kamionku najbardziej skorzystają na budowie metra. Dzięki trzeciej linii ceny powstających nieruchomości pójdą tam mocno w górę. A zatem nie o mieszkańców Gocławia tu chodzi, lecz o nabywców drogich apartamentów, którzy – dodajmy – i tak z metra korzystać raczej nie będą. Za to dziesiątki tysięcy mieszkańców Gocławia będą musiały naokoło jechać do Śródmieścia, w dodatku przesiadając się na końcu do istniejącej już drugiej linii metra.

WYSTAWNY KNOT

Warszawa nigdy nie miała szczęścia do metra. Pierwsze koncepcje podziemnej kolejki powstały blisko sto lat temu, ale ostatecznie budowę rozpoczęto dopiero w epoce Jaruzelskiego. Ówczesne plany zakładały całkiem przemyślaną sieć składającą się z czterech linii z ośmioma dogodnymi stacjami przesiadkowymi. Jedynie pierwsza z nich prowadząca z Kabat na Młociny powstała zgodnie z założeniami (jeśli nie liczyć dwóch pominiętych stacji). Potem – już w latach 90. – zaczęto grzebać w projekcie i go psuć. Z dwóch linii (Wilanów–Bródno i Tarchomin–Jelonki) oszczędnościowo zrobiono jedną (obecna druga linia: Bródno–Jelonki), pozbawiając tym samym metra Tarchomin i Wilanów, a kolejną (Okęcie–Gocław–Wawer) przekształcono w dzisiejszy kadłubek trzeciej linii (Stadion Narodowy–Gocław), który zamierza właśnie budować Trzaskowski.

Prezydent stolicy tłumaczy, że trzecia linia metra, która ma – według planów – powstać do 2028 r., zostanie potem przedłużona, aby nieco zapełnić ją pasażerami i umożliwić mieszkańcom Grochowa i Gocławia bezpośredni dojazd do centrum Warszawy. Jednak po pierwsze, nie wiadomo, czy i kiedy zostanie przedłużona, bo perspektywa kolejnej dekady to dość sporo i może nie być na to pieniędzy, a po drugie, nie jest w ogóle jasne, po co ma być przedłużona, skoro warianty jej dalszego przebiegu również pozostawiają wiele do życzenia. Okazuje się bowiem, że metro – idąc od Stadionu Narodowego pod Wisłą w stronę Śródmieścia i Ochoty – dotrze do Dworca Zachodniego. W ten sposób trzecia linia metra prawie idealnie zdubluje kolejową linię średnicową, która będzie właśnie za wielkie pieniądze modernizowana i wkrótce powstaną przy niej nowe podziemne stacje w centrum.

Broniąc kuriozalnego przebiegu trzeciej linii metra, Trzaskowski powołuje się na ekspertyzy wykonane dla ratusza przez firmę konsultingową TransEko. Tymczasem, jak wynika z ustaleń MJN, eksperci udowodnili, że forsowany przez miasto przebieg linii nie zapewni jej odpowiedniego zapełnienia i – jak z tego może wynikać – nie ma ekonomicznego uzasadnienia. Również naukowcy z Politechniki Warszawskiej zakwestionowali proponowaną trasę trzeciej linii, sugerując likwidację oberka w krzakach pod Dworcem Wschodnim. Nie wzięli jednak pod uwagę, że taki przebieg ominąłby budowane na Kamionku osiedla apartamentowców. A zatem za grube miliardy budowany jest – jak wiele na to wskazuje – wystawny knot, który nie tylko nie rozwiąże żadnego poważnego problemu stolicy, lecz również utrwali na całe dekady jej komunikacyjne kalectwo.

KU CHWALE RAFAŁA

Problem z trzecią linią metra nie polega na tym, że jest ona niepotrzebna. Chodzi raczej o priorytety (o to, czy naprawdę musi powstać właśnie teraz) oraz o jej koślawy przebieg. Eksperci firmy Multiconsult przeanalizowali bowiem zupełnie inny projekt trzeciej linii, proponowany przez stowarzyszenie MJN. Mógłby on powstać

Reklama | 21/0321/F

eprasa.pl 28be6bae23

południkowo – podobnie jak projektowana jeszcze w latach 80. czwarta linia metra – łącząc Wilanów, Służewiec, Ochotę, Wolę z Marymontem i Tarchominem. Zdaniem ekspertów taki przebieg trasy odciążyłby zapchaną pierwszą linię i gwarantował odpowiednie zapełnienie, a zatem byłby ekonomicznie uzasadniony. Nie ma bowiem sensu budować linii metra w krzakach (nawet jeśli wkrótce powstaną tam apartamentowce), a potem wydłużać ją wzdłuż istniejącej linii średnicowej, tak aby łączyła z sobą warszawskie dworce kolejowe – jak proponują władze Warszawy. To zadanie wypełnia już kolej.

Jednak nie ma raczej co liczyć na to, że Trzaskowski zmieni zdanie. Całkowita zmiana koncepcji byłaby bowiem rewolucją w ratuszu, na którą nikt tam nie ma ochoty. Pokazuje to wyraźnie, że nowa linia metra nie jest budowana dla pożytku mieszkańców, lecz dla politycznego PR i chwały prezydenta Trzaskowskiego. Marna to jednak będzie chwała, gdy zbudowane za miliardy złotych metro zacznie wozić powietrze.

Oczywiście można byłoby zrozumieć, że miasta nie stać na kolejną długą linię metra z Wilanowa na Tarchomin, ale w tej sytuacji tym bardziej nie powinno się marnować środków na nikomu niepotrzebną linię w krzakach. Zamiast niej można byłoby bowiem zbudować kilka linii tramwajowych, w tym tę na Gocław, którą prezydent – rzekomo z braku funduszy – de facto zamroził.

Dla osłody i uciszenia ewentualnej krytyki Trzaskowski ogłosił więc, że oprócz linii metra postawi kładkę dla pieszych i rowerzystów łączącą warszawską Pragę z Powiślem. Bedzie kosztować 140 mln zł, prawie tyle co tramwaj na Gocław. Taka kładka jest niezłym pomysłem (choć jest pytanie, czy akurat tak niezbędnym podczas kryzysu), ale również nie do końca udanym. Bo rowerzyści skarżą się, że skoro trudno będzie im pokonać ruchliwą Wisłostradę, to taka kładka przez Wisłę na niewiele się zda.

PREZYDENT OD PIORUNA

Kiedyś Paweł Piskorski, jeszcze jako prezydent Warszawy, miał powiedzieć w gronie współpracowników, że z politycznego punktu widzenia najlepiej jest kupować nowe tramwaje i autobusy. Bo to relatywnie tania inwestycja i łatwo się nią pochwalić przed mieszkańcami. Jednak obecne władze Warszawy i z tym mają kłopot. Bo nie tylko nie będzie tramwaju na Gocław, lecz i drugiej linii na Tarchomin, a zapowiadana szumnie trasa z Dworca Zachodniego i Woli na Wilanów powstanie – o ile w ogóle do tego dojdzie – jedynie we fragmentach, nie tworząc spójnej siatki, co stawia pod znakiem zapytania sens takiego przedsięwzięcia. Nie jest też jasne, co się stanie z zakupionymi już do obsługi tych połączeń tramwajami z koreańskiej firmy Hyundai, za które Warszawa zapłaciła blisko 2 mld zł, odrzucając w przetargu ofertę polskiej Pesy. Pierwsze ze 150 tramwajów mają dotrzeć już w tym roku, przy czym nie zbudowano dla nich nie tylko torów, lecz także zajezdni. Dokupiono też 130 autobusów elektrycznych (najwięcej w Polsce) za blisko 400 mln zł i zapowiadane są kolejne przetargi. Zapomniano jednak o postawieniu wystarczającej liczby ładowarek, a nieliczne z nich, które zdołano uruchomić, wciąż się psują, więc w rezultacie na „elektryczne" trasy co chwila wyjeżdżają zwykłe diesle.

Wychodzi więc na to, że jedyne, co się dotąd w pełni udało Trzaskowskiemu jako prezydentowi Warszawy, to wyświetlenie na Pałacu Kultury i Nauki symbolu czerwonego pioruna podczas demonstracji tzw. Strajku Kobiet. To zdecydowanie za mało jak na nowego Stefana Starzyńskiego, ale – niestety – najwyraźniej wystarczająco, aby zdobyć poparcie połowy obecnych mieszkańców stolicy. Po co więc Rafał Trzaskowski ma się wysilać?

misje salezjanie
1% PODATKU
100% RADOŚCI
Dziękujemy również za wszelkie wpłaty bezpośrednie na konto Fundacji Nauki i Wychowania z dopiskiem:
Jałmużna Wielkopostna 2021
PKO BP SA 93 1020 3378 0000 1102 0106 8600
Nazwa organizacji Fundacja Nauki i Wychowania
Numer KRS 0000 070 179
Cel szczegółowy MISJE
www.misjesalezjanie.pl

Podaruj 1% na MISJE!
SPONSOREM OGŁOSZENIA JEST FIRMA DBAJĄCA O TWOJĄ ODPORNOŚĆ
IMUNO TOP PL Sp. z o.o.

eprasa.pl 28bacbae23

Na globalnym rynku nie ma dziś towaru bardziej politycznego aniżeli szczepionka na koronawirusa. Nijak nie mogą z nią w tej kategorii konkurować dobra tak tradycyjnie upolitycznione jak ropa naftowa, gaz czy nawet broń

Szczepionka na integrację

JAN ROKITA

Powody tak dużej politycznej roli szczepionek są trzy, a każdy kolejny ważniejszy od poprzedniego. Po pierwsze, żaden z owych towarów nigdy nie był aż tak deficytowy jak szczepionka przeciw wirusowi COVID-19 w roku 2021. Po drugie, jeszcze nigdy losy gospodarek narodowych poszczególnych krajów nie były aż w takim stopniu zależne od podaży jednego dobra; nawet wielki kryzys naftowy roku 1973 nie jest tu porównywalnym punktem odniesienia. W końcu po trzecie, w nowoczesnym świecie nie było dotąd takiej sytuacji, w której kwestie dostaw i sprawiedliwej dystrybucji jednego towaru, a także pogląd na jego użyteczność bądź toksyczność rozbudziłyby na taką skalę polityczne namiętności ludów, mediów, intelektualistów, a w efekcie także polityków. Jakąś zdumiewającą intuicję przyszłości musiał mieć ruch antyszczepionkowy, szerzący się przecież po świecie jeszcze na długo przed obecną zarazą. Cokolwiek by o nim sądzić, to fakt faktem, że tylko antyszczepionkowcy grubo wcześniej przewidzieli, iż szczepienia mogą się nagle stać problematem absolutnie pierwszorzędnym dla współczesnej polityki.

USTĘPSTWA WOBEC BIG PHARMA

Unijny komisarz ds. jednolitego rynku Thierry Breton z niejaką dozą sarkazmu ukuł w ubiegłym roku termin „dyplomacja szczepionkowa". Miał on oznaczać

Fot. Shutterstock

Reklama | 61/0221/F

eprasa.pl 28be6bae23

krótkotrwały i nieprzyjemny epizod polityczny z roku 2020, gdy u początków zarazy wystraszone rozwojem zdarzeń rządy na oślep, a czasem i podstępem, usiłowały się nawzajem wykiwać w zdobyciu pierwszeństwa dostępu do przyszłej szczepionki, nad którą prace znajdowały się jeszcze w powijakach. Jesienią 2020 r. Breton był przekonany, że Unia Europejska wyciągnęła wnioski z owego nieprzyjemnego epizodu, a szczepionkowa solidarność, przynajmniej w ramach zjednoczonej Europy, stała się owocem tamtej lekcji. Wtedy mogło się istotnie tak wydawać, skoro rządy państw unijnych, w zasadzie bez większych oporów (skutecznie spacyfikowano nawet Budapeszt), daleko wykraczając poza reguły unijnych traktatów, zrzekły się suwerenności szczepionkowej, zawierzając się całkowicie polityce wspólnotowej prowadzonej przez Komisję Europejską. Dziś już wiadomo, że był to jeden z największych politycznych błędów popełnionych w Europie podczas zarazy. A poszczególne rządy płacą za ów błąd potężnym kryzysem wiarogodności wobec opinii publicznej w swoich krajach, więc z trudnością i opóźnieniem próbują się zeń teraz jakoś wywikłać.

Komisja zastosowała bowiem wobec koncernów Big Pharma taktykę negocjacyjną zwaną „softball", czyli rozmów w miłej atmosferze, bez presji i determinacji. Z najświeższego raportu niezależnego Corporate Europe Observatory (CEO – to zasłużona instytucja obserwująca lobbing w instytucjach unijnych) możemy się dowiedzieć, że efektem takiego postępowania stała się uległość Unii wobec bezwzględnego dążenia koncernów do maksymalizacji zysku. „Naciskając na publiczne pieniądze bez żadnych zobowiązań i silniejszych gwarancji antymonopolistycznych – czytamy w raporcie – koncerny spowodowały utrudnienia dostępu do lekarstw i szczepionek na COVID-19, tym samym wydłużając czas zarazy dla własnego zysku". Efektem raportu CEO stało się dochodzenie unijnego ombudsmana. Ale Komisja odmawia na razie zarówno ujawnienia szczegółów negocjacyjnych, jak i nawet podania nazwisk członków zespołu negocjacyjnego, w którym (jak domniemują media) znalazły się osoby pozbawione umiejętności i doświadczenia na polu tego rodzaju negocjacji.

Miary absurdu sytuacji dopełnia to, iż pełny tekst umowy z koncernem AstraZeneca znalazł się w końcu w domenie publicznej z powodu... błędu w formacie pliku PDF, jaki popełnił jakiś roztrzepany brukselski urzędnik. Oficjalnie Ursula von der Leyen konsekwentnie twierdzi bowiem, iż nie ma interesu publicznego w publikowaniu szczegółowych informacji o negocjacjach. Pod silną presją podano w końcu do wiadomości zapisy umów, ale z zaczernionymi kluczowymi postanowieniami. Jest tajemnicą poliszynela, że Bruksela nie od dziś prowadzi politykę ustępstw wobec interesów koncernów Big Pharma, przyznając im ogromną władzę w kształtowaniu europejskiej polityki lekowej. Teraz taka polityka zemściła się na całej Unii w krytycznej chwili zarazy.

SALTUS
UBEZPIECZENIA

ANTY-COVIDOWA TARCZA UBEZPIECZENIOWA

Chroni na wypadek: utraty życia, utraty pracy, problemów ze zdrowiem

- **Ubezpieczenie Optimum Max:** pomaga bliskim w sytuacji zgonu z powodu COVID
- **Ubezpieczenia Twoja Promesa, Twoja Linia, Twój Duet i Twój Bonus:** ułatwiają bliskim spłatę zadłużenia z pożyczki w chwili śmierci Pożyczkobiorcy
- **Ubezpieczenie Twoja Posada:** umożliwia spłatę pożyczki kiedy Pożyczkobiorca straci pracę
- **Ubezpieczenia Na Zdrowie i Kuracja:** łatwiejszy i szybszy dostęp do lekarzy i badań

OFERTA DOSTĘPNA W PLACÓWKACH SPÓŁDZIELCZYCH KAS

www.saltus.pl

Na szczęście są ubezpieczenia

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

eprasa.pl 28be6bae23

Tymczasem Komisja sprawia takie wrażenie, jakby najchętniej chciała ten fakt ukryć przed opinią publiczną, konieczność zaś radykalnej zmiany polityki wobec Big Pharma zastąpić propagandowymi pokrzykiwaniami von der Leyen wobec szefostwa AstryZeneki czy Pfizera. Trudno się w tej sytuacji dziwić, że (jak podał portal Politico) niemiecki minister finansów, a zarazem kandydat SPD na kanclerza Olaf Scholz miał być uprzejmy się wyrazić, iż „unijny program szczepień to shit-show".

MISJA BRETONA

Tymczasem komisarz Breton, któremu w ubiegłym roku wydawało się, że Unia szybko uczy się na swoich błędach, ma teraz wejść w rolę strażaka gaszącego szczepionkowy kryzys. 10 lutego von der Leyen powiadomiła Parlament Europejski, iż Breton stanie na czele nowego projektu „Hera", którego celem ma być osiągnięcie większych zdolności produkcyjnych szczepionek przez kraje Unii. Co zabawne, przy tej okazji się okazało, iż francuski komisarz jest jedynym członkiem Komisji, który ma za sobą jakieś osiągnięcia zawodowe na polu zarządzania biznesem i biznesowych negocjacji. Jednak na przeszkodzie misji Bretona stoi sztywna reguła, na którą zgodzili się już wcześniej nie tylko unijni partnerzy koncernów Big Pharma. Chodzi o wadliwy model monopolistycznego patentu na szczepionki, co de facto uniemożliwia powierzenie większej liczbie zdolnych do tego firm szybkiej produkcji preparatów, a tym samym wydłuża realny czas trwania zarazy.

RÓWNI I RÓWNIEJSI

Kłopoty, na jakie naraziły się rządy europejskie, są niczym w porównaniu ze znikomymi szansami na zyskanie szczepionki przez ubogie kraje Afryki czy Azji. Według szacunków WHO (która, nawiasem mówiąc, też zdążyła się skompromitować u początków zarazy) kraje te mają szanse na masowe szczepienia w roku... 2023, co szef WHO – Etiopczyk Tedros Adhanom Ghebreyesus nie bez racji skwitował stwierdzeniem, iż „świat stoi na krawędzi moralnej porażki". Ale Komisja broni idei monopolistycznych patentów Big Pharma w imię znanej od lat mocno wątpliwej doktryny rygoryzmu ochrony praw autorskich i wynalazczych. Von der Leyen zaś zapewnia, iż kraje zamożne będą dobrowolnie pomagać krajom biednym. Trudno wierzyć w powagę tych zapewnień w obliczu faktów.

> Wewnątrz Unii Europejskiej powstał „bazar", na którym różne kraje załatwiają sobie lepsze od innych warunki dostaw szczepionek – twierdzi kanclerz Austrii. Sprawa ta ma stanąć na porządku dziennym unijnego teleszczytu 25–26 marca

Dopiero co Unia przedłużyła do końca czerwca 2021 r. nadzwyczajną regulację, wedle której zakazany jest swobodny eksport szczepionek wyprodukowanych w Europie. Nie oznacza to co prawda bezwzględnego zakazu eksportu, ale polityczną kontrolę i wymóg zgody Brukseli na każdą taką transakcję. Jednak pragmatyczny bankier Mario Draghi, który dopiero co stanął na czele rządu włoskiego, poszedł dalej: zablokował administracyjnie partie szczepionki zamówione przez Australię. Wojna szczepionkowa między Brukselą a Londynem nabrała już cech kiepskiego teatru politycznego. Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel oskarżył 9 marca Anglię o „całkowite zablokowanie eksportu szczepionek", na co szef brytyjskiego MSZ Dominic Raab oświadczył, iż „to czyste kłamstwo".

Następnego dnia premier Boris Johnson mówił w Izbie Gmin: „Nie zablokowaliśmy ani jednej dawki i przeciwstawiamy się szczepionkowemu nacjonalizmowi". W jakimś sensie obie wyzywające się nawzajem strony mają rację. Co prawda – w przeciwieństwie do Brukseli – Londyn nie wydał bowiem żadnych zarządzeń ograniczających eksport szczepionek (wydał takie, owszem, na leki używane w terapii COVID-19), to jednak trochę lepiej niźli Bruksela potrafił negocjować z koncernami. Efektem tego są gwarancje, iż wewnątrzbrytyjski łańcuch produkcji i dostaw pozwala krajowi na szybki proces szczepień, nawet przy kłopotach z importem preparatów produkowanych w krajach Unii.

Nie lepiej jest, gdy idzie o wewnątrzunijną rywalizację o szczepionki. Austriacki kanclerz Sebastian Kurz postanowił wziąć na siebie rolę przywódcy rosnącego niezadowolenia, ogłaszając z dezaprobatą, iż w Unii też są równi i równiejsi, gdy idzie o brukselski system dystrybucji szczepionek. Z przedstawionych przezeń wyliczeń wynika, że najbardziej uprzywilejowane są Niderlandy, Dania i Malta, szczególnie pokrzywdzone zaś – Bułgaria i Chorwacja. Kurz istotnie włożył kij w mrowisko, mówiąc, iż wewnątrz Unii powstał „bazar", na którym różne kraje załatwiają sobie lepsze od innych warunki dostaw.

W ślad za wystąpieniem Kurza pięciu szefów rządów (Austrii, Czech, Łotwy, Słowenii, Bułgarii) wystosowało list do Michela z żądaniem zwołania szczytu unijnego, na którym wyjaśniono by przyczyny takiej dyskryminacji. Już wiadomo, że rzecz stanie na porządku dziennym teleszczytu 25–26 marca. Tyle tylko, że w obliczu nagromadzenia politycznych awantur, za którymi stoją realne różnice interesów, trudno przypuszczać, aby jakiekolwiek ustalenia Rady Europejskiej były w stanie doprowadzić do uspokojenia nastrojów. Dwie konkluzje nie ulegają dziś wątpliwości. W sensie medycznym szczepionka na COVID-19 jest dziś jedynym remedium na powstrzymanie piorunującej trzeciej fali zarazy. Jednak w sensie politycznym okazuje się ona również preparatem skutecznie przeciwdziałającym ideom globalizmu czy europejskiej integracji.

eprasa.pl 28be6bae23

Najwyższy w UE strażacki podnośnik rozpoczął służbę w Grupie LOTOS

To najnowocześniejsze tego typu urządzenie, zdolne prowadzić skuteczne działania ratowniczo-gaśnicze na wysokości 81 m. Ten wyjątkowy pojazd trafił do LOTOSU na początku marca. Jego bazą jest podwozie Scania P450 10x4. Producentem zabudowy z podnośnikiem jest znana w branży pożarniczej firma Bronto Skylift z Finlandii. Nowy sprzęt będzie służyć spółce LOTOS Straż do zabezpieczania najwyższych obiektów rafineryjnych. Jeżeli będzie trzeba, udzieli również pomocy w akcjach gaśniczych na najwyższych budynkach na terenie Trójmiasta

Do gdańskiego zakładu podnośnik trafił 1 marca, od tego czasu trwają szkolenia. Do pracy na tym wyjątkowym urządzeniu zostanie przeszkolonych w sumie 15 strażaków i 2 ratowników chemicznych ze spółki LOTOS Straż. Do jego obsługi niezbędna jest specjalistyczna wiedza, a jego możliwości są imponujące. To najwyższy strażacki podnośnik w całej Unii Europejskiej.

Strażacy na terenie rafinerii w Gdańsku zabezpieczają instalacje na różnych wysokościach. Nowy podnośnik umożliwi im skuteczniejsze i bezpieczniejsze wykonywanie zadań, m.in. na instalacjach, które powstały w ramach Projektu EFRA.

– Głównym zadaniem spółki LOTOS Straż jest zapewnienie bezpieczeństwa i ciągłości pracy na terenie rafinerii. Nowy sprzęt będzie dla nas ogromnym wsparciem w przypadku prowadzenia skutecznych działań ratowniczo-gaśniczych na dużych wysokościach. Ten podnośnik znacząco zwiększy możliwości taktyczno-bojowe naszej jednostki – mówi Piotr Pryczkowski, komendant spółki LOTOS Straż.

Maksymalna robocza wysokość podnośnika to 81 m, a boczny wysięg – prawie 30 m, co czyni go najwyższym tego typu sprzętem w Polsce. Odpowiednią sztywność konstrukcji zapewnia zespawanie jej elementów ze stali o wysokiej wytrzymałości techniką plazmową. Maksymalny udźwig zamontowanego na końcu kosza to 500 kg. Co ciekawe, dzięki wbudowanym czujnikom i komputerowemu modułowi sterowania podnośnika nie da się przewrócić ani przypadkowo uderzyć nim w przeszkodę na skutek ewentualnego błędu operatora.

Specjalistyczną zabudowę z podnośnikiem wykonano w zakładach Bronto Skylift w Finlandii. Prace nad nią trwały 14 miesięcy, a ich efektem jest najnowocześniejsze tego typu urządzenie, dysponujące możliwością zdalnego sterowania i pozwalające na prowadzenie akcji gaśniczej z wykorzystaniem działka wodno-pianowego o wydajności 3800 l/min. Źródłem jego zasilania są wozy gaśnicze znajdujące się na wyposażeniu spółki LOTOS Straż. W razie potrzeby urządzenie może pracować bezzałogowo i być sterowane przez operatora na ziemi. Sam kosz jest zabezpieczony przed działaniem ognia i dysponuje własną ochronną kurtyną wodną.

– W koszu zamontowane są kamery termowizyjna i obserwacyjna, których zadaniem jest pomoc operatorowi w zdalnym sterowaniu. Koszem można sterować również za pomocą znajdującego się w nim manipulatora. Podnośnik ma także własną linię powietrza oddechowego z odpowiednim osprzętem, z którego mogą korzystać ratownicy. Zasilające ją butle dla bezpieczeństwa umieszczono na podeście podnośnika – dodaje komendant Pryczkowski.

Kosz wyposażono również we wciągarkę sprzętową o udźwigu 150 kg. Całość osadzono na pięcioosiowym podwoziu marki Scania, z trzema skrętnymi osiami. Dwie przednie nadają kierunek skrętu, a koła piątej wychylają się w przeciwnym kierunku, zacieśniając promień skrętu. To niezwykle ważne, biorąc pod uwagę, że pojazd ma aż 16,5 m długości. Co istotne, wysokość pojazdu po złożeniu podnośnika nie przekracza 4 m, co pozwala bezpiecznie przejechać pod wszystkimi instalacjami na terenie gdańskiej rafinerii. Źródłem napędu jest sześciocylindrowy, rzędowy wysokoprężny silnik o pojemności 12,7 l i mocy 450 KM, generujący maksymalny moment obrotowy 2350 Nm.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 49/0221/F

eprasa.pl 28be6bae23

GORAN ANDRIJANIĆ

Co się dzieje z Terlikowskim?

„Kiedy po wykładzie w pewnej parafii usiadłem z proboszczem przy herbacie, pierwsze pytanie, jakie usłyszałem, brzmiało: »Czy pan wie, co się dzieje z Tomaszem Terlikowskim?«”

To relacja jednego z polskich dziennikarzy katolickich, z którymi w ostatnim czasie rozmawiałem właśnie na ten temat...

Co się dzieje z Terlikowskim? W kręgach katolickich już od dawna można usłyszeć to pytanie. Przez wielu postrzegany jako jasny i zdecydowany głos katolickiego laikatu w Polsce w pewnym momencie zaczął mówić w sposób, który wielu zdziwił. Zaskoczył również mnie, który śledzi jego teksty, jeszcze od czasu gdy mieszkałem w Chorwacji. A potem, kiedy przeprowadziłem się do Polski, z niedowierzaniem przyjmowałem niektóre jego wypowiedzi i poglądy, głównie w mediach społecznościowych. „To napisał Tomasz Terlikowski? Naprawdę wybrałem dziwny moment na przeprowadzkę do Polski!” – powiedziałem żonie.

LEWICOWA RETORYKA

Żarty żartami, ale sprawa jest poważna. Terlikowski to bez wątpienia jeden z najciekawszych publicystów katolickich w Polsce na przestrzeni ostatnich 20 lat (choć teraz sam o sobie mówi, że nie jest „katolickim publicystą”). Człowiek, który był niegdyś celem ataków liberalnych mediów jako główny przedstawiciel polskiego „katotalibanu”. Pisarz z ostrym piórem i jasną, ortodoksyjną postawą wobec doktryny katolickiej był często wraz z rodziną narażony na brudne zaczepki.

Dzisiaj ten sam Tomasz Terlikowski coraz częściej głosi poglądy, które w dużej mierze są sprzeczne z tym, co mówił i czego wcześniej bronił.

I nie chodzi tu o to, że Terlikowski krytykuje hierarchię kościelną (nie zapominajmy, że to człowiek, który kiedyś napisał książkę o błędach teologicznych biskupów, nazywając ją „Herezją kardynałów”), a nawet sam Kościół albo że krytykuje polityków z obozu rządzącego. Chodzi o to, że kiedy to robi, często używa tej samej lewicowo-liberalnej retoryki, z którą do niedawna walczył.

Istnieje wiele tego przykładów i są one głównie związane z jego wystąpieniami w sieciach społecznościowych. Terlikowski, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę, zarówno partyjną, jak i kościelną, zawsze stara się pisać zgodnie z ideologicznymi regułami symetryzmu. Czasami jego poglądy zawierają treści flirtujące z poglądami głównego nurtu III RP.

Podam przykład, a przytaczam tylko te najmniej szkodliwe, związane z polityką partyjną, kiedy autor włączył się

eprasa.pl 28be6bae23

do ataków medialnych wspomnianego nurtu na nowego ministra edukacji Przemysława Czarnka. Albo kiedy brał udział w kampanii wokół fikcyjnego skandalu dotyczącego ułaskawienia przez prezydenta Andrzeja Dudę mężczyzny, który został oskarżony o molestowanie seksualne swojej córki.

Jednak jeśli chodzi o politykę kościelną, Terlikowski bez wątpienia znajduje się w tej chwili w otwartym konflikcie z dużą częścią kościelnej hierarchii. Choć można go krytykować za to, że w ogóle nie ma racji. Jego zastrzeżenia dotyczą mianowicie niedociągnięć hierarchii w walce z pedofilią w polskim Kościele.

Nie kwestionuję wagi tej walki, problemem jest jednak sposób, w jaki wskazuje się na to, co w niej jest negatywne.

SPACER PO CIENKIEJ LINIE

Dla Grzegorza Górnego, redaktora „Frondy" w czasach, gdy Terlikowski pisał swoje pierwsze analityczne artykuły na łamach pisma, jest oczywiste, że publicysta chce „oczyścić Kościół". – Myślę, że Tomek przestał wierzyć w to, że Kościół może własnymi rękoma dokonać samooczyszczenia swych szeregów z pedofilii – twierdzi Górny.

– To wynika z faktu, że zbyt duże wpływy zdobyła w hierarchii kościelnej lawendowa mafia, czyli lobby gejowskie. Jego zdaniem to towarzystwo jest nie do ruszenia od środka. Dlatego popiera on wszelkie próby oczyszczenia Kościoła z pedofilii, nawet jeśli podejmowane są przez ośrodki i media wrogie katolicyzmowi. To zresztą nie tylko jego diagnoza. Podobną postawę obrali również tacy kapłani jak ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski i ks. Andrzej Kobyliński, kojarzeni raczej ze środowiskami konserwatywnymi – dodaje Górny i jednocześnie zaznacza. – To jednak spacer po bardzo cienkiej linie.

Jeszcze raz, nie jest problemem, że konserwatywni publicyści, tacy jak Terlikowski, pojawiają się w mediach lewicowo-liberalnych. Problem polega na tym, że pojawiają się tam tylko po to, by powiedzieć to, czego oczekują te media. Jest to zawsze ta sama polityka medialna establishmentu wobec konserwatystów, taka sama w Polsce i w mojej rodzinnej Chorwacji. Konserwatyści mają dostęp do głównego nurtu tylko wtedy, gdy mówią to, co może być tam zaakceptowane. Niestety, kilku polskich księży oraz świeckich osób Kościoła katolickiego od lat świadomie godzi się na taką grę i wykorzystuje te media jako platformę do wyrażania swoich poglądów. Wydaje się, że Terlikowski też.

TYLKO DIALOG

Publicysta Robert Tekieli, jego współpracownik i przyjaciel, sprzeciwił się temu w dyskusji, która odbyła się na stronie „Do Rzeczy" półtora roku temu, a następnie przeniosła się do mediów społecznościowych. Tekieli zareagował na wywiad, którego Terlikowski udzielił „Gazecie Wyborczej", krytykując głównie PiS oraz broniąc tezy, że jest to partia w sensie moralnym równa Platformie Obywatelskiej. „Zrównywanie PiS i PO jest absurdalne" – napisał wtedy Tekieli.

„Politycy PO odwołują się wprost do zła... W 1968 r. narodziło się anty-kulturowe imperium zła. I zmiażdżyło Zachód" – dowodził Tekieli.

Terlikowski odpowiedział na te zarzuty, że jest ich świadomy, „że na naszych oczach toczy się potężne starcie cywilizacyjne i religijne", ale także że „drogą do zwycięstwa w tej walce" jest tylko „rozmowa, dialog, próba pokazania argumentów chrześcijańskich".

I tu dochodzimy do kolejnego problemu w ostatnich wystąpieniach Terlikowskiego. Jest nim mianowicie to, że chrześcijańskie argumenty, które przywołuje, a których kiedyś stanowczo bronił, wydają się nie mieć siły przebicia.

Najbardziej widoczne było to w styczniu, kiedy nasz rodak po zawale serca w jednym z brytyjskich szpitali został faktycznie zagłodzony przez decyzje dyrekcji i sądu, mimo że matka i siostra pacjenta starały się temu zapobiec. Terlikowski nazywał próby zmiany decyzji brytyjskiego sądu przez polskie władze „histerią polityczną" i napomknął, że w tym przypadku jest to kwestia uporczywej terapii, a decyzja sądu może być uzasadniona. Po otrzymaniu odpowiedzi z jasnymi argumentami, że nie jest to terapia uporczywa, Terlikowski napisał tekst, w którym twierdził, że nie ma na to wyraźnych dowodów i że należy spróbować zrozumieć etykę utylitaryzmu stojącą za orzeczeniem sądu w Wielkiej Brytanii. Coś zupełnie odwrotnego twierdził w przypadku Alfiego Evansa, małego Brytyjczyka, którego rodzina również walczyła z decyzją brytyjskiego sądu żądającego zaprzestania terapii.

Przywołajmy również sytuację z Anną Grodzką. W 2014 r. Terlikowski został skazany w sądzie za odmowę nazwania polityka, który przeszedł operację płci, kobietą. Dziś przeprasza za to i mówi, że źle się wyraził. Innymi słowy, rezygnuje z jasnej i zdroworozsądkowej dyskusji o problemie transseksualistów.

HARCOWNIK BEZ ARMII

Terlikowski to dziennikarz, który łączy ważne cnoty. Ma zarówno silny instynkt reporterski (którego nabył w Radiu Plus), jak i podejście analityczne. Do takiego połączenia, które nie zdarza się często, należy dodać pasję (Tekieli określił go mianem „intelektualnego rapera").

Grzegorz Górny dodaje: – Tomek Terlikowski ma talent retoryczny, temperament polemiczny i refleks, który w dyskusjach publicznych jest niezwykle ważny, choć niedoceniany. Dlatego świetnie się czuje jako fighter. Pojedynki słowne, ostre dyskusje, polemiki – to jego żywioł. Przypomina w tym trochę średniowiecznego harcownika, który znajdował się na szpicy wojsk, prowokował oddziały wroga i staczał pojedyncze potyczki.

Ale natychmiast kontynuuje: – Odnoszę wrażenie, że dziś nadal jest harcownikiem, ale nie stoi już za nim armia. Jakby jego drogi i drogi wojska się rozchodziły.

Rzeczywiście trudno się oprzeć wrażeniu, że wiele z tego, co pisze obecnie Terlikowski, pełni raczej funkcje jego zawodowego pozycjonowania na rynku medialnym. Oczywiście Terlikowski odpowie, że w wojnie polsko-polskiej pozostał „niezależny" i wierny swoim poglądom.

Pozostaje jednak pytanie: czy Tomasz Terlikowski nie stał się jednym z tych, którzy skapitulowali w wojnie kulturowej, której istnieniu nie zaprzecza i w której atak na konserwatyzm i katolicyzm z każdym dniem jest w Polsce coraz silniejszy?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 28be6bae23

„Zdjęcie, które ożyło”

„Zdjęcie, które ożyło" – tak w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" określił słynne już zdjęcie Marii Barr, polskiej dziewczyny w Wielkiej Brytanii, prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek. Sensacyjne reakcje Polaków na poszukiwanie tożsamości dziewczyny z wojennej fotografii pokazały, jak bardzo głodni jesteśmy opowieści z naszej przeszłości

Kilkanaście lat temu z likwidowanych Wojskowych Służb Informacyjnych trafiło do IPN m.in. pudło opatrzone nazwą „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie". W środku było trochę bezładnie powrzucanych dokumentów i zdjęć – bez opisów, opracowania, byle jak. Tymczasem archiwum IPN gromadzi – a w ostatnich latach to przyspieszyło w sposób imponujący – dokumenty nie tylko z innych instytucji, ale też od osób prywatnych. Zbiory liczą już 39 mln zdjęć, więc opracowanie trwa systemowo i stopniowo.

8 marca tego roku IPN przypomniał wkład kobiet w walki o wolną Polskę – na Facebooku opublikowano 13 zdjęć, na których Polki wykonują swoje wojskowe obowiązki: obsługują radiostację, zajmują się rannymi, naprawiają samochód. Zdjęcie bardzo młodo wyglądającej kobiety podbiło jednak serca internautów, było też ujęciem innym niż pozostałe – bardziej dostojne, oficjalne, nie podczas zwykłych codziennych czynności. Gdy 14 marca IPN opublikował koloryzowaną wersję zdjęcia z ogłoszeniem poszukiwań tożsamości dziewczyny, nie tylko pasjonaci historii oszaleli na jej punkcie. Zaczęły się oddolne kwerendy i spontaniczne omawianie detali z fotografii, aż wreszcie doszukano się, że podobne zdjęcie opublikowano w jednej z emigracyjnych gazet w wydaniu z 11 czerwca 1943 r.

Maria Barr urodziła się w Grodnie w 1920 r., a więc na zdjęciu ma 23 lata. Była córką Benedykta Chłusewicza, oficera Wojska Polskiego, w czasie wojny najpierw szefa Sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu Nr III w Grodnie, a następnie dowódcy w 1 Dywizji Piechoty Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jego córka także przedostała się do Francji, a podczas ewakuacji z St. Jean de Luz na Wyspy Brytyjskie na polskim

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

statku „Sobieski" poznała swojego późniejszego męża, pilota Philipa Barra, wówczas rannego po zestrzeleniu podczas walk powietrznych. Rok później młodzi ludzie stanęli przed ołtarzem, jak wspominała sama bohaterka ze zdjęcia, było to w „kościele katolickim w Glasgow przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej ofiarowanej przez polskich żołnierzy, stojących w sąsiedztwie". Rok po ślubie Maria Barr otrzymała wiadomość, że jej mąż nie wrócił z misji powietrznej. Słynne zdjęcie zostało więc wykonane podczas uroczystości pośmiertnego wręczenia jej mężowi Krzyża Wybitnej Służby Lotniczej (ang. Distinguished Flying Cross) z rąk samego króla Jerzego VI.

Ale rodacy zakochani w Marii Barr nie ustali tak łatwo w poszukiwaniach – szybko znaleźli grób jej ojca, a także ustalili, że sama Maria zmarła w 2018 r. Kobieta nie wróciła po wojnie do Polski, bo komuniści takich ludzi nie chcieli widzieć w kraju.

– Tak jak w Katyniu zamordowano tych, co byli gotowi o wolność walczyć, tak też nie chciano, by bohaterowie PSZ wracali do kraju – bo wtedy Polaków byłoby trudniej spacyfikować – mówi dr Jarosław Szarek, prezes IPN. Przypomina postać asa polskiego lotnictwa Stanisława Skalskiego, który po powrocie nad Wisłę przeszedł tortury w kazamatach UB. Niewykluczone, że podobny los spotkałby Marię Barr czy jej ojca.

ARCHIWUM PEŁNE PAMIĘCI

Historia jednego zdjęcia znajdzie się w niejednej książce historycznej, ale losy Marii Barr i naszej fascynacji bohaterską dziewczyną mówią nam coś jeszcze. Polacy wciąż rekonstruują swoją przeszłość, poszarpaną przez dwa totalitaryzmy i emigracyjną niedolę. Dlatego właśnie IPN powołał w 2017 r. Archiwum Pełne Pamięci – projekt, w którym zbierane są zdjęcia, listy, dokumenty i inne pamiątki po naszych przodkach. Od 19 maja 2017 r. do końca 2020 r. do APP zgłosiło się 1234 darczyńców, niekiedy z odległych krańców świata.

Kilka lat temu do IPN zgłosił się Christopher Bik z córką Kristin Calabrese, który chciał przekazać do Polski pamiętnik swojej babci Wandy Barbary. Jako dziewczynka przeszła ona szlak z armią Andersa, skrupulatnie spisując swoje wrażenia i obserwacje. „Dnie uciekały jak szalone, a z nimi powiększała się większa tęsknota wśród nas czterech za Tatusiem, o którym do dziś nie mieliśmy żadnej wiadomości – pisała jeszcze podczas przemarszu przez Iran – Persję. – Może jeszcze nie wyjechał z Rosji, może Mu zimno, może głód dokucza" – martwiła się dziewczynka. Co ciekawe, autorka „Pamiętnika", Wanda Barbara Kociuba, wykonała 50 ilustracji z życia codziennego, obserwowanego podczas żołnierskiej przygody. – Nigdy później już w życiu niczego nie namalowała – mówią pracownicy IPN, którzy przyjęli i przeprowadzili konserwację rękopisu. Instytut nie tylko gromadzi pamiątki, ale też opracowuje je i wydaje – wspomnienia Wandy Barbary Kociuby ukazały się kilka miesięcy temu pt. „Zamiast Twojego uśmiechu, Polsko, mamy łzy i uśmiech niedoli. Pamiętnik z Syberii, Iranu i Libanu".

Fot. IPN

epresa.pl 23be0be623

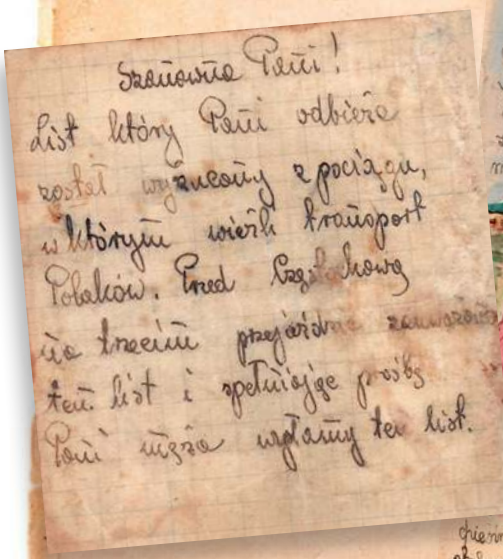

Informacja znalazcy listu Aleksandra Ryfki do jego żony

Ilustrowany pamiętnik dziewczynki, która przeszła szlak z armią Andersa, skrupulatnie spisując swoje wrażenia i obserwacje

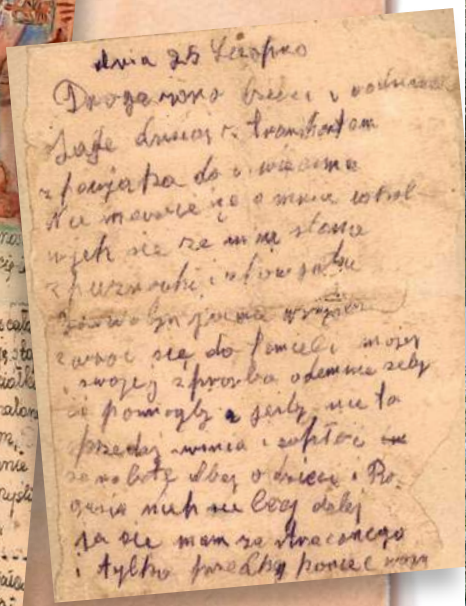

List Aleksandra Ryfki do rodziny

Fot. IPN

W archiwach IPN kryją się dziesiątki tysięcy takich historii. Czasami kilkuzdaniowy list bywa dramatyczną opowieścią, która skupia tragizm polskich dziejów.

Aleksander Ryfka był 3 sierpnia 1943 r. za działalność konspiracyjną w PPR aresztowany i osadzony na Pawiaku, a trzy tygodnie później wywieziony do Auschwitz. W czasie transportu kolejowego zdołał napisać do rodziny krótki list i w okolicach Częstochowy wyrzucić go z pociągu – z nadzieją, że jakiś dobry człowiek znajdzie go i dostarczy żonie. Tak też się stało.

„Szanowna Pani! – informował znalazca. – List, który Pani odbierze, został wyrzucony z pociągu, w którym wieźli transport Polaków. Przed Częstochową na trzecim przejeździe zauważono ten list i spełniając prośbę Pani męża, wysyłamy ten list". Ryfka pisał do rodziny: „Droga żono, dzieci i rodzino! Jadę dzisiaj z transportem z Pawiaka do Oświęcimia. Nie martwcie się o mnie, cokolwiek się ze mną stanie. Z Puznówki i z Pawiaka jazda wagonem. Zwróć się do familii mojej i swojej z prośbą ode mnie, żeby Ci pomogli. Jeśliby nie, to sprzedaj świnię i zapłać za robotę. Dbaj o dzieci i Bogusia niech się leczy dalej". Po tych słowach następuje zdanie, które brutalnie zweryfikuje wojenna rzeczywistość: „Ja się mam za straconego i tylko przed nią [zapewne: śmiercią – red.] koniec wojny może mnie uratować". Paradoksalnie Ryfka nie chciał czekać na koniec wojny i wraz z obozowym przyjacielem postanowił uciec z Auschwitz. Tuż przed wyzwoleniem obozu obaj wydostali się poza druty i rozdzielili się – przyjaciel przeżył wojnę, ale po Aleksandrze Ryfce słuch zaginął. Nie sprawdziła się jego nadzieja, którą dodawał w liście: „Może da los, że się jeszcze zobaczymy".

> Rodacy zakochani w Marii Barr nie ustali tak łatwo w poszukiwaniach – szybko znaleźli grób jej ojca, a także ustalili, że Maria zmarła w 2018 r.

SKARBY POLSKIEJ HISTORII

Emocje, jakie wzbudziło zdjęcie Marii Barr, pokazuje, że Polacy tęsknią za bohaterskimi opowieściami o swoich przodkach. Wciąż odczuwamy brak źródeł, opowieści, archiwaliów, które niekiedy do dziś leżą po prostu zamurowane w ścianach starych domów. W marcu 2017 r. do Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą trafiła kartoteka tajnej komórki wywiadu Armii Krajowej, Referatu 999, kryptonim „Korweta", który zajmował się zbieraniem informacji o sowieckich szpiegach i sympatykach komunistów. Dotąd historycy nie byli pewni, czy taki wywiad w ogóle istniał – a oto podczas remontu jednego z domostw znaleziono skrzynkę z pełną kartoteką z czasów okupacji. Na ilu jeszcze polskich strychach, w piwnicach czy w domowych albumach leżą skarby polskiej historii? W przyszłości czeka nas jeszcze niejedno takie śledztwo.

Reklama | 51/0121/F

eprasa.pl 28be6bae23

TAURON

Tak widzimy przyszłość – pełną zielonej energii

- zrób Audyt z TAURONEM i popraw efektywność energetyczną w firmie
- postaw na Zarządzanie Energią i zoptymalizuj pracę urządzeń HVAC
- wybierz Redukcję Mocy i zyskaj środki finansowe po redukcji zapotrzebowania

Razem z nami buduj zieloną przyszłość
i włącz się w **#ZielonyZwrotTAURONA**

biznes.tauron.pl

eprasa.pl 28be6bae23

Po co Polsce Studnicki?

„Wodzowi Narodu Niemieckiemu i przyszłemu wodzowi Europy" – książkę z taką dedykacją dostał Adolf Hitler podczas Parteitagu NSDAP w 1936 r. Ofiarodawcą, autorem książki i dedykacji był Władysław Studnicki (na zdj.)

PIOTR GURSZTYN

Do niedawna o tej ekscentrycznej postaci słyszał w Polsce mało kto, nawet jeśli interesował się historią. Nic dziwnego – mowa jest bowiem o postaci niegdyś znanej ze swojej hałaśliwości, ale która w swoim długim życiu niczego nie osiągnęła i niczego pozytywnego nie zrobiła. „To okropna rzecz: przez osiemdziesiąt dwa lata mieć nieustannego pecha. Profesor bez katedry, polityk bez partii, ambasador bez listów uwierzytelniających, pisarz bez stylu, rezoner bez rezonansu, mówca bez głosu, geniusz bez teki, człowiek bez portek" – tak złośliwie, ale w sumie prawdziwie pisał o Studnickim (jeszcze za jego życia) pisarz i felietonista Zygmunt Nowakowski.

Przez lata ta marginalna postać była tylko z rzadka wspominana w artykułach kilku historyków w niskonakładowych pismach naukowych. I w sumie słusznie, bo było to proporcjonalne do wpływu – czy raczej jego braku – Władysława Studnickiego na najnowsze dzieje Polski. Nawet prof. Paweł Wieczorkiewicz – guru dzisiejszych miłośników Studnickiego – nie wpadł na pomysł, by w ogóle wspomnieć tę osobę. W dobrze znanej „Historii politycznej Polski 1935–1945" Wieczorkiewicz wymienił Studnickiego razy... zero. A książka liczy prawie 700 stron!

GROTESKOWE PROROCTWA

To jest prawdziwa miara rzeczy. Mimo to grupa ludzi (dla których, powtórzmy, Wieczorkiewicz jest mistrzem) postanowiła ogłosić „wielki powrót Studnickiego", i to powrót jako bohatera. Postaci, która ma być wzorcem i ma być czczona. Oczywiście przez państwo polskie. Powodem dla tej czci ma być rzekomy dar proroczy, który Studnicki

Fot. NAC

eprasa.pl 28be6bae23

miał wykazać, pisząc w 1939 r. książkę „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej". Prorokował tam, że Polska w przypadku wojny z Niemcami przegra ją, a beneficjentem konfliktu będzie Związek Sowiecki. Proroctwo to nie było jednak szczególnie odkrywcze, bo podobne rzeczy pisał wówczas np. płk Stefan Rowecki. Co więcej, prorok Studnicki ani dzisiejsi jego wielbiciele nie zauważyli, że był prosty sposób na to, by owo proroctwo się nie spełniło – wystarczyłoby, gdyby Niemcy nie zaczęły wojny. A to przecież one napadły na Polskę, a nie odwrotnie. Zresztą prorok nie przewidział np. zbrodni niemieckich, choć prezentował się jako znawca spraw tego kraju. Przewidywał za to w swej książce – tu pozwólmy sobie na dygresję, bo to naprawdę zabawne – że wojna wybuchnie w basenie Morza Śródziemnego, że nowoczesna armia włoska pokona słabych Brytyjczyków, a Hiszpania stanie po stronie Hitlera i zdobędzie Gibraltar. Pisał to z ogromną pewnością siebie.

ŻYDZI PRAGNĄ WOJNY

Ale nie te groteskowe proroctwa są dzisiaj problemem. Jest nim pytanie, co współczesna Polska zyska na wykreowaniu kultu germanofila Studnickiego? Co będzie, gdy ta sprawa przestanie być niszową inicjatywą grupy nieodpowiedzialnych rezonerów? Co się stanie, gdy zachęcona przez nich opinia publiczna – nie tylko polska – sięgnie do wspomnianej książki Studnickiego? Otóż natknie się już na samym początku na rozdział „Żydzi i wojna". I przeczyta tam słowa napisane wiosną 1939 r., że to nie Niemcy hitlerowskie chciały wojny, ale „światowe żydostwo", które „pragnie wojny, pracuje dla wojny". Znajdzie tam taką „diagnozę": „Nowa wojna światowa rozstrzygnie los Żydów. Gdy inne narody mają dużo do stracenia, to Żydzi dużo do wygrania, lecz ich wygranie to klęska tych narodów, w których porach siedzą. Niech Francja wyludni się przez nową wojnę, będzie tam więcej miejsca dla Żydów, niech ochotnicza służba przetrzebi inteligencję Anglii, tym łatwiej Żydzi zajmą wpływowe stanowiska, niech przez Polskę przejdzie zniszczenie wojenne lub okupacja ogałacająca ze wszystkich zasobów, niepotrzebna będzie Palestyna. Polska stanie się tą Palestyną...".

Takich cytatów ze Studnickiego można znaleźć więcej: „Jednym z czynników konsekwentnie dążącym do wojny światowej jest międzynarodowe żydostwo pragnące skruszenia Niemiec..." – pisał w lutym 1939 r., czyli kilka tygodni po tym, jak Hitler wygłosił w Reichstagu głośną wówczas mowę, w której zapowiadał zniszczenie „światowego żydostwa". Studnicki nie mógł jej nie zauważyć.

Dzisiejsi miłośnicy Studnickiego bronią go, twierdząc, że nie był antysemitą, bo wtedy panowały inne standardy, mentalność itp. To tłumaczenie można byłoby przyjąć, gdyby rzeczywiście Studnicki wpisywał się tylko w istniejący wówczas antagonizm gospodarczy, problem trudny, lecz istniejący wówczas realnie. Niestety Studnicki, jak naziści, stawał się antysemitą rasistowskim. Był przeciwnikiem małżeństw mieszanych – także po nawróceniu się współmałżonka żydowskiego na katolicyzm! Nazywał to psuciem krwi. Warto tu zauważyć, że z punktu widzenia etyki katolickiej blokowanie komuś z powodów „rasowych" prawa do nawrócenia i tym samym zbawienia jest czymś absolutnie niedopuszczalnym.

Łatwo teraz sobie wyobrazić, gdyby jakiś oficjel państwa polskiego lub instytucja postanowili publicznie ustawić Studnickiego na piedestale. Mielibyśmy wtedy aferę pana Greniucha razy dziesięć – zarówno wewnątrz kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Dobrych argumentów do obrony nie mielibyśmy. Ponówmy więc pytanie – co Polska może zyskać na kreowaniu Studnickiego?

WIELBICIEL NIEMIEC

Nie tylko antysemityzm jest grzechem Studnickiego. Był fanatycznym wielbicielem Niemiec. Złośliwie można dodać, iż pewnie dlatego, że ich nie znał. Bardzo źle mówił po niemiecku. „Studnicki posiada bardzo niedokładną znajomość jęz. niemieckiego i z tego powodu używa często zwrotów, z których implikacji nie zdaje sobie sprawy" – pisał o nim w 1940 r. Reinhardt Heydrich. Ignorancją można tłumaczyć bezkrytyczną miłość Studnickiego do Niemiec. Już od I wojny światowej wyobrażał sobie, że przyjazne Niemcy będą pomagały Polsce w rozwoju, jeśli tylko nasz kraj zgodzi się na ich dominację. Z tego powodu w czasie plebiscytów na Warmii i Mazurach oraz Górnym Śląsku głosił tezę, że Polska powinna zrezygnować ze starań o te ziemie i pozostawić je Niemcom. Skądinąd taki pogląd w Polsce miała jeszcze tylko Komunistyczna Partia Polski. Później głosił idee stworzenia bloku państw pod wodzą Niemiec, w której Polska miałaby drugie miejsce (coś w stylu Radka Sikorskiego i jego hołdu berlińskiego). „Krystalizacyjnym ośrodkiem blokowania się Europy nie może być Francja, zdradzająca Europę, zdradzająca rasę białą na rzecz afrykańskich Murzynów (...) Rola ośrodka powinna przypaść Niemcom" – pisał w książce, którą podarował Hitlerowi.

Ślepe zapatrzenie w Niemcy doprowadziło go do zdrady. 14 września 1939 r. zgłosił się do jednego z niemieckich dowódców, dość niskiego szczebla, i zaoferował swój udział w rządzie kolaboracyjnym. Nagabywał kilka polskich osobistości, by go poparły, ale spotkał się z ich odmową. Sprawa jest czysto „kodeksowa" – obywatel kraju, który prowadzi wojnę, gdy zgłasza się do wroga z taką ofertą, automatycznie staje się zdrajcą. Mimo to ten postępek ma dzisiaj swoich obrońców. Twierdzą oni, że 14 września Polska już przegrała, więc mógł to zrobić. Zwróćmy uwagę, że taki „argument" jest ogromnym prezentem dla polityki historycznej dzisiejszej Rosji, bo powtarza sowiecką tezę z 17 września 1939 r., że państwo polskie już nie istnieje.

Przez całą okupację Studnicki pisał memoriały z postulatem utworzenia marionetkowego państwa polskiego. Deklarował w nich – pytanie z czyjego upoważnienia – rezygnację z naszych ziem zachodnich na rzecz Niemiec. Za każdym razem, aż do końca wojny, namawiał też Niemców, aby zaczęli tworzyć polskie oddziały do walki na froncie wschodnim.

Epickim pomnikiem przytomności Studnickiego jest jego memoriał z 12 marca 1945 r., który skierował do

eprasa.pl 28be6bae23

Heinricha Himmlera. Namawiał tam szefa SS, aby ten zaczął tworzyć polskie oddziały kolaboracyjne do walki z armią sowiecką u boku Niemiec. Kim mieli być rekruci do tych oddziałów? Studnicki wymyślił, że powinni być to polscy więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych. Łatwo sobie wyobrazić entuzjazm polskich wyniszczonych i zmaltretowanych „häftlingów" walczących w obronie swoich dotychczasowych prześladowców. Studnicki pisał ten memoriał wtedy, gdy świat już znał rzeczywistość kacetów, więc i on musiał ją znać, oraz w momencie, gdy sowieckie wojska znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Berlina. Ten „realista" ponoć chciał oszczędzać polską krew w walce z Niemcami, ale tylko po to, by hojnie ją przelewać w walce o niemieckie interesy. Z tego samego powodu potępiał powstanie warszawskie, gdyż uważał, że powinno było ono wybuchnąć przeciw Sowietom. Nic to, że w jeszcze większym osamotnieniu i ze złą sławą kolaborantów Trzeciej Rzeszy, która skądinąd była przez całą okupację okrutnym oprawcą ludności stolicy.

BEZ OTRZEŹWIENIA

Należy też zwrócić uwagę na osobistą motywację Studnickiego. Przedstawiany jest przez swoich obrońców jako człowiek bezinteresowny. Ale np. Niemcy, do których się zwracał, tak go nie widzieli. „Wierzy on, że będzie w przyszłości odgrywał jeszcze wielką rolę polityczną i z tego powodu, bardzo często, również w stosunku do najwyższych osobistości, przyjmuje ton krańcowego ważniactwa" – raportował Heydrich. Rzeczywiście, całe życie Studnickiego to ciąg nieustannych porażek politycznych. Niczego nie osiągnął, nawet posłem nie udało mu się zostać, choć setki zupełnie bezbarwnych postaci zdobywały miejsce w Sejmie. Pod koniec życia naszła go pokusa – podobnie jak w przypadku polskich komunistów – że skoro naród polski nie docenia takiego „geniuszu", to trzeba dojść do władzy za pomocą obcych bagnetów.

Koniec wojny nie przyniósł otrzeźwienia Studnickiego. Człowiek, który całe życie wieszał psy na Anglii i stale wyrażał do niej nienawiść, schronienie znalazł w Londynie. Zaszokował polską emigrację, gdy zgłosił swoją chęć wystąpienia jako świadek w procesie przeciwko niemieckiemu gen. von Mansteinowi. Był on oskarżony o zbrodnie wojenne, a Studnicki ogłosił, że będzie świadkiem jego obrony. „Widać Niemcy nie zabili p. Studnickiemu np. brata. Mojego zabili. Nie zapomnę. Nigdy" – pisał wspomniany wcześniej Nowakowski. I dodawał: „Członka danego narodu musi obowiązywać minimum solidarności z ciałem, do którego należy. Indywidualność nie jest jednoznaczna z niepoczytalnością".

> Nie tylko antysemityzm jest grzechem Studnickiego. Był fanatycznym wielbicielem Niemiec. Złośliwie można dodać, iż pewnie dlatego, że ich nie znał. Bardzo źle mówił po niemiecku

Nowakowski dotknął wtedy ważnego punktu. Po wojnie Studnicki nie zrezygnował ze swoich germanofilskich poglądów i dalej je głosił. Ale ani razu nie odniósł się do zasadniczej kwestii odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie na narodzie polskim. Czyli wtedy temacie numer jeden. Jeśli ktoś twierdzi, że był polskim patriotą, to jak wytłumaczyć to zachowanie?

Grzmiał na zbrodnie sowieckie, ukraińskie, nawet czechosłowackie, lecz ni razu nie zająknął się o niemieckich. Historyk dr Jolanta Mysiakowska-Muszyńska tak to opisała: „Kiedy czyta się to, co na temat Niemiec pisał Studnicki, trudno oprzeć się wrażeniu, że łagodzi swe wypowiedzi i unika nazywania rzeczy po imieniu. Nawet gdy wspomina o konieczności przyznania Polsce odszkodowań wojennych, pisze, iż należą się one za »politykę Trzeciej Rzeszy«. Trudno to tłumaczyć stylem pisarstwa Studnickiego w ogóle. W swych pracach oraz publicystyce nie uciekał od wyrażania kategorycznych, śmiałych, a często oskarżycielskich opinii". Wspomniane odszkodowania według Studnickiego nie miały być przyznane ofiarom „polityki Trzeciej Rzeszy". Miały służyć sfinansowaniu wysiedlenia... ludności polskiej, która po 1945 r. zaczęła zasiedlać nasze obecne Ziemie Zachodnie.

Studnicki był konsekwentny – aż do śmierci uważał, że Polska powinna oddać Niemcom Szczecin. Wrocław, Gdańsk i Olsztyn. Polacy stamtąd powinni być zaś przewiezieni na wschód, by rekolonizować Kresy. Kosztem ludności ukraińskiej, która miała być wysiedlona, co miało być karą za zbrodnie popełnione przez ukraińskie podziemie na Polakach. Takiego postulatu wobec Niemców za „politykę Trzeciej Rzeszy" Studnicki nigdy nie zgłosił, mimo że suma zbrodni niemieckich pod względem liczby polskich ofiar jest kilkadziesiąt razy większa.

JAK NAJDALEJ

Wróćmy więc do pytania, jaki może mieć zysk dzisiejsza Polska ze Studnickiego? Taki, że ogłosi światu, że chciała być po stronie Hitlera? Że powie Niemcom, iż bezprawnie zajmuje ich dawne terytoria? Że ogłosi Polakom, iż nie ma nic złego w zdradzie i w kolaboracji z wrogiem? Bo jeśli Studnicki nie był zdrajcą, to też nie byli nimi Bierut czy Jaruzelski. Bo jaka między nimi różnica?

Osobiście nie potrafię przesądzić, czym kierują się ludzie promujący dzisiaj Studnickiego. Raczej nie robią tego dla zgrywy, „pour épater les bourgeois", bo podchodzą do tego śmiertelnie poważnie. Więc nie wiem, czy są tylko nieodpowiedzialnymi pożytecznymi idiotami, czy świadomymi prowokatorami. Wiadomo za to jedno z pewnością – państwo polskie, jego instytucje i ich przedstawiciele, a także wszyscy przyzwoici ludzie powinni trzymać się od tego śmierdzącego tematu jak najdalej.

Reklama | 33/0221/F

eprasa.pl 28be6bae23

Słońce pracuje, rodzina zyskuje, Energa gwarantuje!

25-letnia gwarancja producenta na panele fotowoltaiczne i 3-letnia gwarancja Energi Obrót na montaż

Obniż swoje rachunki i pomagaj chronić środowisko.

Postaw na pewnego partnera, zyskaj spokój i produkuj zieloną energię na potrzeby swojej rodziny!

Skontaktuj się z nami, a my zajmiemy się resztą:

- ☑ **Doradztwo**
- ☑ **Projekt**
- ☑ **Wykonanie**

Umów się z Energą na bezpłatną wizję lokalną. Wejdź na energa.pl lub zadzwoń: 555 555 505
(koszt wg taryfy Twojego operatora)

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 28be6bae23

LIDIA DUDKIEWICZ

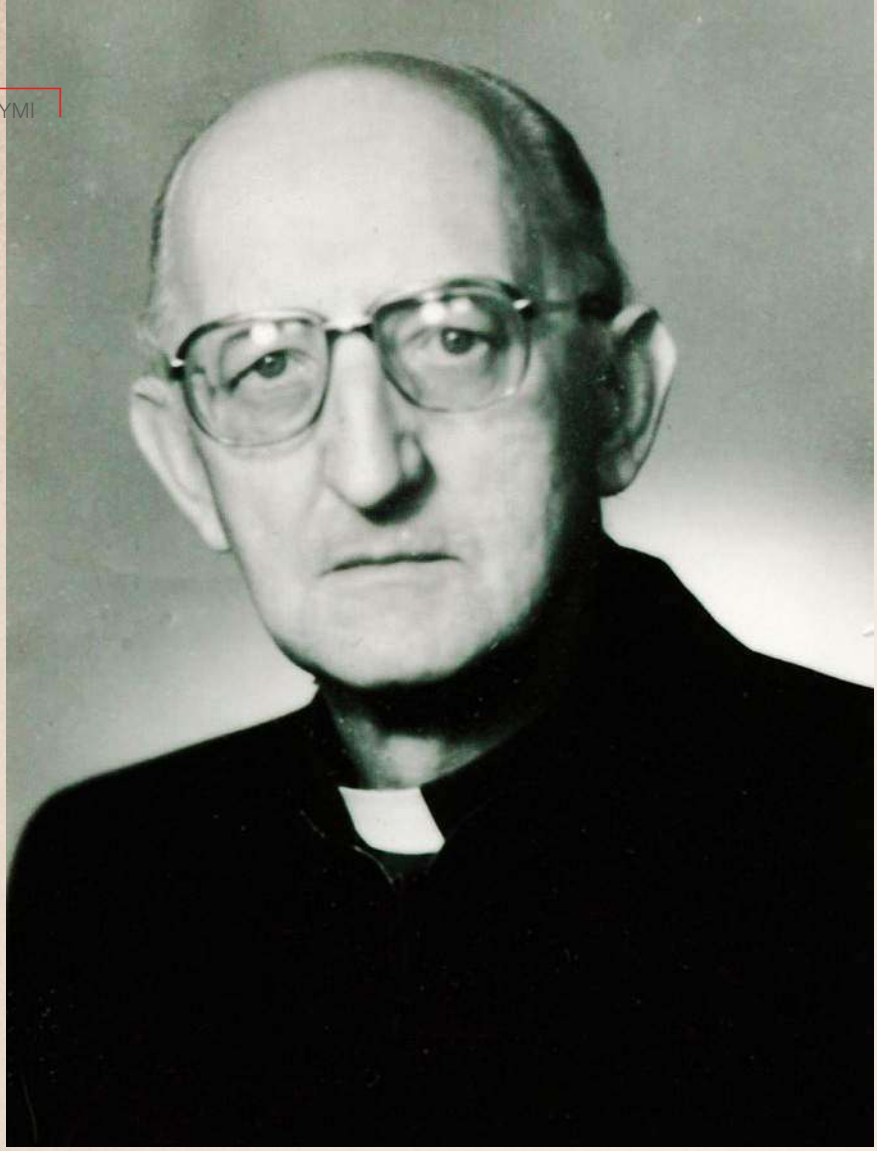

Fot. IPN

Ksiądz Blachnicki – kapłan radykalny

Sto lat temu urodził się czcigodny Sługa Boży ks. Franciszek Blachnicki (1921–1987) – jeden z najwybitniejszych kapłanów drugiej połowy XX w. Mocny człowiek o fascynującej osobowości, dar od Boga na bardzo trudne czasy komunizmu. Gigant ducha, nazwany przez jednego z biografów i świadków jego duszpasterskiej posługi „prorokiem żywego Kościoła”

Wielkie uznanie dla ks. Franciszka Blachnickiego i jego dzieł wyraził Jan Paweł II w telegramie wystosowanym po nagłej śmierci twórcy Ruchu Światło-Życie. Papież nazwał go „gorliwym apostołem nawrócenia i wewnętrznej odnowy człowieka”, „wielkim duszpasterzem młodzieży” oraz „gwałtownikiem królestwa Bożego”.

POWTÓRNIE NARODZONY W CELI ŚMIERCI

Franciszek Blachnicki urodził się 24 marca 1921 r. w Rybniku w wielodzietnej śląskiej rodzinie. Dziwić może to, że w młodzieńczych latach uważał siebie za osobę niewierzącą. Tłumaczył potem, że jeżeli chodził do Kościoła, to tylko z tego powodu, aby nie gorszyć innych, zwłaszcza swoich kolegów z drużyny harcerskiej. Nawrócenie nastąpiło podczas II wojny światowej w więziennej celi śmierci.

Jego dramat na krawędzi życia i śmierci zaczął się od aresztowania przez gestapo w 1940 r. i wywiezienia do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Pod numerem obozowym 1201 więziony był przez 14 miesięcy. Potem osadzono go w areszcie śledczym w Zabrzu, a na koniec – w Katowicach. Oskarżony o działalność konspiracyjną przeciwko Rzeszy Niemieckiej został skazany na karę śmierci przez ścięcie gilotyną. Gdy oczekiwał na wykonanie wyroku, doznał „dotknięcia” Pana Boga i otrzymał dar wiary. Narodził się na nowo, również jako przyszły kapłan.

14 sierpnia 1942 r. niespodziewanie kara śmierci została zamieniona na 10 lat ciężkiego więzienia, które ocalony skazaniec miał odbyć po zakończeniu wojny. Przeszedł jeszcze przez niemieckie obozy pracy.

eprasa.pl 28be6bae23

KAPŁAN

Po wojnie Franciszek Blachnicki zgłosił się do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Święcenia kapłańskie przyjął w 1950 r. Duży wpływ na jego formację miał prawie roczny pobyt w klasztorze w Niepokalanowie. Pogłębiał tam duchowość i metody apostolstwa św. Maksymiliana Marii Kolbego. Dojrzewała wtedy m.in. idea zorganizowania społecznej akcji przeciwalkoholowej, której owocem było powołanie w 1957 r. Krucjaty Wstrzemięźliwości. W ramach tego ruchu 100-tysięczna rzesza ludzi wierzących ślubowała całkowitą abstynencję. Oczywiście, nie było to po myśli komunistów. Krucjatę więc zlikwidowali, a jej twórcę aresztowali (w 1961 r.).

Ks. Blachnicki ponad cztery miesiące spędził w tym samym katowickim więzieniu, w którym podczas wojny jako skazaniec przez 135 dni czekał na wykonanie wyroku śmierci. Potem wyznał, że mimo krat czuł się wewnętrznie wolny, a nawet pobyt w więzieniu traktował jako czas łaski. Wiele spraw mógł przemyśleć i przemodlić. To wtedy zapisał: „W dzisiejszym świecie nie ostoi się katolicyzm połowiczny, a nawet tzw. głębszy, intelektualny, ale paktujący ze światem w stylu »Tygodnika Powszechnego«. To wszystko utonie w morzu nowoczesnego pogaństwa. Ostoi się tylko katolicyzm pełny, autentyczny, nadprzyrodzony. Trzeba zdecydować się być świętym".

OAZY Z JANEM PAWŁEM II

Po wyjściu z więzienia ks. Blachnicki rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a potem podjął tam pracę dydaktyczno-naukową. Lata 1964–1980 były okresem jego dużej aktywności w ramach odnowy po II Soborze Watykańskim. W 1967 r. został Krajowym Duszpasterzem Służby Liturgicznej. Ruch oazowy bardzo prężnie się wtedy rozwijał. Miał pełne poparcie metropolity krakowskiego kard. Karola Wojtyły, który również jako papież spotykał się z oazowiczami podczas Dni Wspólnoty w Castel Gandolfo. W swojej książce „Wstańcie, chodźmy!" Jan Paweł II tak napisał o Ruchu Światło-Życie: „Bardzo się z tym ruchem związałem i usiłowałem go wspierać na różne sposoby. (...) stale bywałem na tzw. oazach (...), to wielkie doświadczenie przyniosłem ze sobą do Rzymu. Tu także szukałem jakiegoś jego spożytkowania, stwarzając okazje do spotkań z młodymi. Światowe Dni Młodzieży wyrastają z tamtego doświadczenia".

POZA POLSKĄ

Stan wojenny ogłoszony 13 grudnia 1981 r. zastał ks. Blachnickiego w Rzymie. Był poszukiwany listem gończym, potem władze komunistyczne postawiły mu zarzut zdrady kraju. Ponieważ nie mógł wrócić do ojczyzny, zatrzymał się w polskim ośrodku Marianum w Carlsbergu (RFN). Sprzyjało to realizacji jego marzenia o rozszerzeniu ruchu oazowego poza granicami Polski. Powołał więc Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Światło-Życie oraz wydawnictwo i drukarnię Maximilianum. Z myślą o Polakach oraz innych narodach zza żelaznej kurtyny utworzył Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów, organizował międzynarodowe sympozja, a także Marsze Wyzwolenia Narodów, które miały przypominać światu o milionach ludzi zniewolonych przez sowiecki komunizm.

Działalność ks. Blachnickiego w Carlsbergu bacznie śledziły tajne służby PRL i niemiecka Stasi, a także CIA i inne agentury państw zachodnich. Bardzo blisko księdza znaleźli się agenci komunistycznego wywiadu cywilnego – małżonkowie Jolanta i Andrzej Gontarczykowie. Zanim zostali zdemaskowani jako szpiedzy, objęli kierownicze stanowiska w wydawnictwie Maximilianum. Jolantę Gontarczyk wybrano nawet na prezesa Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, a jej mąż został doradcą ks. Blachnickiego.

27 lutego 1987 r. ks. Blachnicki nagle zmarł. Istnieje podejrzenie, że przyczyną jego śmierci było otrucie. Niestety w śledztwie, które zostało umorzone w 2006 r., nie wyjaśniono okoliczności tej tajemniczej śmierci. Niedawno Instytut Pamięci Narodowej powiadomił, że trwa nowe śledztwo, podjęte w 2020 r. W opinii IPN, jeżeli zabójstwo ks. Blachnickiego zostanie udowodnione, to będzie ono traktowane jako zbrodnia komunistyczna, rozpatrywana w kategorii zbrodni przeciwko ludzkości.

PROROK

Swoimi profetycznymi intuicjami oraz apostolskimi inicjatywami ks. Blachnicki znacznie wyprzedził czas, w którym żył. Owoce jego dzieł to przede wszystkim ogromne rzesze ludzi identyfikujących się z Ruchem Światło-Życie i Krucjatą Wyzwolenia Człowieka oraz aktywnie działające wspólnoty skupione w Domowym Kościele. Ks. Blachnicki jest też duchowym

eprasa.pl 28be6bae23

patronem Instytutu Niepokalanej Matki Kościoła – żeńskiej wspólnoty życia konsekrowanego, oraz Wspólnoty Chrystusa Sługi i Stowarzyszenia „Unia Kapłanów Chrystusa Sługi".

Trwa proces beatyfikacyjny ks. Blachnickiego. Od 2015 r., gdy papież Franciszek podpisał dekret o heroiczności cnót, przysługuje mu tytuł czcigodnego Sługi Bożego. W tym kontekście warto wiedzieć, że dwa lata przed śmiercią ks. Blachnicki napisał w swoim pamiętniku, że jest gotów umrzeć za Kościół.

Nie bez przyczyny bywa on nazywany „odważnym prorokiem wiary konsekwentnej" oraz „prorokiem swoich czasów". Stawiał bowiem trafne diagnozy, które potem się sprawdzały. To, co dzisiaj przeżywamy, przewidywał już na początku lat 80. ub.w., gdy socjalizm czuł się w PRL jeszcze bardzo dobrze, a zniewolony naród ślepo patrzył na Zachód, traktując kapitalizm jako drogę do politycznego i gospodarczego wyzwolenia. Już wtedy ks. Blachnicki zauważył niedoskonałości tego politycznego systemu, pokazując, że stanowi on nową formę zniewolenia ludzi, tym razem przez pieniądz. Ostrzegał z Zachodu: „Prawie każdy człowiek tutaj jęczy pod jarzmem długów. I oto bezlitosny system komputerów i banków. Nikt nie ujdzie przed tą potęgą".

Należał do najdłużej prześladowanych duchownych katolickich w czasach PRL. Jego największą „winą" było przełamanie monopolu komunistów na wychowanie młodzieży. Mimo szykan i zastraszania znalazł drogę do młodych ludzi, których wychowywał na wolnych, dojrzałych chrześcijan i dobrych Polaków. Władzy komunistycznej nie udało się stłumić Ruchu Światło-Życie. Natomiast ks. Blachnickiemu udało się zbudować dobrze zorganizowane duszpasterskie struktury, sprzyjające formacji odpowiedzialnych ludzi sumienia, którzy w swoim dorosłym życiu w większości wstępowali w szeregi Solidarności, a po 1990 r. podejmowali działalność polityczną jako ministrowie, posłowie czy senatorowie.

Ruch oazowy miał pełne poparcie metropolity krakowskiego kard. Karola Wojtyły, który również jako papież spotykał się z oazowiczami podczas Dni Wspólnoty w Castel Gandolfo. Na zdj. ks. Franciszek Blachnicki i kard. Karol Wojtyła

Fot. IPN

27 lutego 1987 r. ks. Blachnicki nagle zmarł. Istnieje podejrzenie, że przyczyną jego zgonu było otrucie. Niestety w śledztwie, które umorzono w 2006 r., nie wyjaśniono okoliczności tej tajemniczej śmierci

NOWY RESET

We wspomnieniach o ks. Blachnickim z okazji przypadającej w tym roku setnej rocznicy jego urodzin można zauważyć wielką tęsknotę za tym „gwałtownikiem Bożym" i „prorokiem". Jednak – jak zauważa o. Wojciech Surówka, dominikanin, opiekun młodzieżowej Wspólnoty Lednica 2000 – to czas nie tylko wspomnień, lecz również „czekania na nowego Blachnickiego". Jesteśmy bowiem świadkami cywilizacyjnego załamania. Wszystko się globalizuje w złym kierunku, upadają autorytety, postępuje coraz większa degradacja intelektualna. Szczególne spustoszenie dotyka umysłów młodych ludzi, wpatrzonych w smartfony, którym przyszło żyć w świecie propagującym antywartości, bezmyślnie atakującym prawie wszystko, co normalne. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

Głupota zaczyna zuchwale panować. „Wielki reset", który zapowiedziano dla świata po pandemii, nie przewiduje miejsca dla podstawowych wartości, na których zbudowana jest nasza cywilizacja. Kard. Gerhard Müller zwraca uwagę na utopijno-ateistyczny charakter „wielkiego resetu". Jego zdaniem, przypomina on „makabryczny eksperyment na ludziach", jakim były bolszewizm i komunizm.

Zastanawiamy się, czy jest wyjście z tej zapętlonej sytuacji. Niedawno na łamach tygodnika „Sieci" Jan Pospieszalski napisał: „Dwumilionowa armia wychowanków Ruchu Światło-Życie zmieniła Polskę, ale czy pokolenie uczniów ks. Blachnickiego zdoła odpowiedzieć na obecne wyzwanie?". Można jeszcze zapytać, czy uda się znowu przeorać polską ziemię, tak jak uczynił to ruch oazowy ks. Blachnickiego? Prof. Grzegorz Kucharczyk w wydanej ostatnio książce „Katedra i uniwersytet. O kryzysie i nadziei chrześcijańskiej cywilizacji" (Biały Kruk 2021) wyraził opinię, że to „właśnie w Polsce może obudzić się ruch, który zastopuje postnowoczesne szaleństwo". Zdaniem profesora „mamy ku temu wszystkie potrzebne narzędzia i kadry". Może trzeba to traktować jako epokowe wyzwanie. Chodzi przecież o zatrzymanie nowego barbarzyństwa, które niszczy cywilizację chrześcijańską.

eprasa.pl 28be6bae23

Cel Fideszu: reelekcja 2022

Jak partia Viktora Orbána rok przed wyborami zamierza walczyć o czwarte z kolei zwycięstwo

GRZEGORZ GÓRNY

Na Węgrzech opublikowany został niedawno sondaż dotyczący preferencji wyborczych obywateli. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że badanie przeprowadzone zostało nie na zlecenie którejś z redakcji, lecz na zamówienie László Bige – biznesmena, wobec którego toczy się obecnie postępowanie karne za przestępstwa finansowe, dlatego przebywa on w areszcie domowym. Zleceniodawca nie zamierzał upubliczniać wyników ankiety, jednak wyciekły one do mediów. Dopytywany przez dziennikarzy przyznał, że to on zamówił i opłacił wspomniany sondaż.

Badania przeprowadzone między 8 stycznia a 4 lutego miały duży zasięg. Reprezentacyjna próba liczyła aż 5 tys. osób, z którymi przeprowadzono osobiście wywiady. Powstała szczegółowa analiza, sporządzona jednak pod specyficznym kątem, a mianowicie szans wyborczych zjednoczonej opozycji w jej starciu z Fideszem. Pod koniec 2020 r. sześć największych ugrupowań opozycyjnych stworzyło bowiem przedwyborczy blok, który za rok ma stanąć do walki z partią Viktora Orbána. We wspólnej koalicji znaleźli się postkomuniści, nowa lewica, liberałowie, zieloni oraz Jobbik. Ten ostatni jeszcze niedawno nazywany był

Fot. Alessia Pierdomenico/Shutterstock

eprasa.pl 28be6bae23

w węgierskich mediach skrajnie prawicowym, narodowym lub nacjonalistycznym, dziś natomiast komentatorzy coraz częściej określają go mianem lewicowego.

Media ujawniły, że w przygotowaniu sondażu uczestniczył m.in. Gábor Horn, niegdyś sekretarz stanu w rządzie Ferenca Gyurcsánya – dziś głównego architekta zjednoczonej opozycji. László Bige zaprzeczył jednak, by zamawiając wspomniane badania demoskopijne, kierował się jakimikolwiek pobudkami politycznymi. Dając mu wiarę, należałoby więc stwierdzić, że popchnęła go do tego czysta i bezinteresowna pasja poznawcza.

FIDESZ KONTRA RESZTA ŚWIATA

Ciekawe są jednak nie tylko okoliczności powstania wspomnianych badań, lecz także ich rezultaty. Okazuje się, że Fidesz popiera 35 proc. ogółu ludności, natomiast koalicję sześciu partii opozycyjnych – 33 proc. Reszta nie popiera nikogo lub nie ma zdania. Ugrupowanie Viktora Orbána ma jednak także największy elektorat negatywny – 32 proc. Z badań wynika, że głównym spoiwem opozycji nie jest wspólny program, lecz raczej niechęć do obozu rządzącego. Większość respondentów uważa jednak, że Fidesz wygra wybory.

W rankingu najpopularniejszych polityków zwyciężył prezydent János Áder, na drugim miejscu uplasowali się premier Viktor Orbán i burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony, następnie zaś burmistrz miasta Hódmezővásárhely Péter Márki-Zay oraz lider Jobbiku Péter Jakab. Spośród potencjalnych kandydatów opozycji na szefa rządu najwięcej zwolenników mają Gergely Karácsony, europarlamentarzystka i żona Ferenca Gyurcsánya – Klára Dobrev i Péter Jakab.

Z badań wynika, że większość Węgrów w dobie pandemii negatywnie ocenia wydarzenia w kraju. Zauważają, że w ciągu ostatniego roku pogorszyła się sytuacja gospodarcza państwa. Za najważniejsze problemy uznają wysokie koszty utrzymania, niskie płace i niezadowalający poziom ochrony zdrowia. Wśród dziesięciu głównych bolączek nie znalazła się natomiast groźba niekontrolowanej imigracji, która jeszcze w 2018 r. zdominowała kampanię wyborczą.

Ponieważ sondaż stał się własnością publiczną, wnioski z niego wyciągnąć może nie tylko opozycja, lecz także władza. Jak Viktor Orbán zamierza się przygotować do kampanii i powalczyć o piąte w ogóle, a czwarte z kolei zwycięstwo Fideszu w parlamentarnych wyborach?

> Nawet przeciwnicy Fideszu muszą przyznać, że prawicowy rząd odnosi sukcesy w dwóch obszarach: polityki prorodzinnej i walki z COVID-19. Węgry stały się jedynym państwem na kontynencie, w którym dostępne jest wszystkie pięć rodzajów wakcyn. I to daje efekty

POKONAĆ NIEWIDZIALNEGO WROGA

W obozie rządowym dominuje przekonanie, że kluczowy dla wyniku przyszłorocznych wyborów będzie przebieg pandemii koronawirusa oraz umiejętność radzenia sobie władzy z tym wyzwaniem. W Budapeszcie wszyscy pamiętają o przypadku Donalda Trumpa, który na początku 2020 r. wydawał się murowanym kandydatem do zwycięstwa w wyborach, a jednak COVID-19 pokrzyżował jego plany i w największym stopniu przyczynił się do porażki urzędującego prezydenta USA.

Dlatego od dłuższego czasu Orbán, który uwielbia retorykę wojenną, przedstawia walkę z epidemią jak wielkie starcie z niewidzialnym wrogiem. 15 marca, podczas obchodów święta niepodległości, nazwał „lekarzy, pielęgniarki, naukowców, pracowników organów ścigania oraz dziesiątki i setki tysięcy ludzi, którzy codziennie chodzą do pracy i wykonują swój zawód, mimo ryzyka infekcji", godnymi spadkobiercami patriotów biorących udział w powstaniu 1848 r. Dodał, że pamięć o nich będzie żywa w przyszłych pokoleniach, tak jak dziś wspominane są czyny bohaterów węgierskiej Wiosny Ludów.

Z rządowych analiz wynika, że główne bolączki, które budzą niezadowolenie obywateli, wynikają właśnie z epidemii koronawirusa. Dlatego Orbán położył na szali cały swój autorytet, angażując się w kampanię szczepionkową. Na własną rękę, nie oglądając się na Unię Europejską, zapewnił krajowi dostawy 3,5 mln szczepionek ze wschodu: chińskiej Sinpharmy i rosyjskiego Sputnika V. Dzięki temu Węgry stały się jedynym państwem na kontynencie, w którym dostępne jest wszystkie pięć rodzajów wakcyn.

Według danych z 17 marca Madziarzy zajęli pierwsze miejsce w Europie, jeśli chodzi o liczbę zaszczepionych obywateli. Na 100 mieszkańców szczepionkę otrzymało tam 27,2 osób, podczas gdy w kolejnej Estonii – 21,2, we Włoszech – 12,7, na Łotwie – 8,6, a w Bułgarii – 8,1.

Sam Orbán przed kamerami telewizji przyjął zastrzyk chińskiej Sinpharmy. W wielu wywiadach podkreśla, że gdyby słuchał Brukseli, to sytuacja epidemiologiczna w kraju byłaby znacznie gorsza. Jego zdaniem Unia Europejska nie poradziła sobie zupełnie z kryzysem i popełniła rażące błędy przy zakupie szczepionek. Dlatego znacznie lepiej z wakcynacją obywateli radzą sobie państwa spoza UE, np. Wielka Brytania, Izrael czy Serbia, które samodzielnie negocjowały transakcje szczepionkowe.

Poza tym rząd węgierski upublicznił szczegóły kontraktów zawartych z Ro-

eprasa.pl 28be6bae23

sjanami i Chińczykami, pokazując, że nie ma nic do ukrycia przed obywatelami. Kontrastuje to z polityką Brukseli, która nie chce ujawnić warunków transakcji na zakup produktów Pfizera, Moderny i AstryZeneki.

W ten sposób Orbán buduje swoją przewagę nad UE w dwóch kwestiach. Po pierwsze, pokazuje Węgrom, że w sytuacji kryzysowej nie można polegać na Unii i tylko patriotyczny rząd jest w stanie zapewnić obywatelom bezpieczeństwo (także zdrowotne). Po drugie, prezentuje swą transparentność i przejrzystość – w odróżnieniu od Brukseli, która ukrywa przed Europejczykami podstawowe informacje dotyczące kwestii fundamentalnej dla sytuacji epidemiologicznej na kontynencie.

OŻYWIĆ GOSPODARKĘ

Opozycja ma problem z krytyką Orbána. Z jednej strony Ferenc Gyurcsány nazywa gabinet Fideszu „rządem śmierci", który „przyniósł chaos zamiast porządku i masową śmierć zamiast zdrowia", z drugiej zaś krytykuje władze za zatwierdzenie do użytku chińskich i rosyjskich szczepionek bez uprzedniego dopuszczenia ich do obrotu przez Unię Europejską. Premier wytyka liderowi opozycji tę niekonsekwencję, oskarżając go o odstraszanie obywateli od szczepień, a tym samym narażanie ich na ryzyko śmierci.

Wspomniane już badania preferencji politycznych zlecone przez László Bige pokazują, że nawet przeciwnicy Fideszu muszą przyznać, iż prawicowy rząd odnosi sukcesy w dwóch obszarach: polityki prorodzinnej i walki z COVID-19. Orbán wprowadził zresztą bardziej rygorystyczne obostrzenia sanitarne niż np. władze w Polsce. Od 11 listopada na Węgrzech nieprzerwanie obowiązuje godzina policyjna (od godz. 20 do 5 rano). Od 8 marca nie można natomiast odprawiać publicznie mszy w kościołach. Biskupi posłusznie akceptują te ograniczenia, nie wyrażając sprzeciwu.

Lockdown przyniósł jednak wyraźne spowolnienie gospodarcze. W odpowiedzi rząd uruchomił tarczę antykryzysową. Zawiesił obowiązek spłaty pożyczek, obniżył stopy oprocentowania kredytów konsumpcyjnych, przedłużył krótkoterminowe pożyczki biznesowe, zniósł składki płacone przez pracodawcę oraz składki emerytalne w sektorach najbardziej dotkniętych epidemią (m.in. turystyka, hotelarstwo, rozrywka, usługi sportowe i kulturalne, transport pasażerski), obniżył inne składki pracownicze oraz zredukował kwoty ubezpieczenia zdrowotnego do ustawowego minimum. Uruchomił też pakiet pożyczek dla małych i średnich przedsiębiorstw oraz dla dużych firm na bardzo korzystnych warunkach.

Wszystkie te działania nie były jednak w stanie zapobiec likwidacji wielu miejsc pracy. Z powodu koronawirusa liczba bezrobotnych wzrosła o 55 tys. osób. W tej sytuacji zadaniem nr 2 – po zduszeniu pandemii – powinno być ożywienie gospodarki. Orbán ma nadzieję, że po pokonaniu covida, dzięki środkom z unijnego funduszu odbudowy, będzie można przejść do ofensywy programowej oraz uruchomienia nowych programów inwestycyjnych i społecznych.

Z tego właśnie powodu pod koniec zeszłego roku premierowi Węgier bardziej niż rządowi polskiemu zależało, by jak najszybciej rozwiązać kryzys związany z powiązaniem funduszy europejskich z tzw. kwestią praworządności. O ile władze w Warszawie gotowe były pójść na wojnę nerwów z Brukselą, o tyle Orbán się niecierpliwił. W Polsce bowiem najbliższe wybory odbędą się dopiero jesienią 2023 r., natomiast na Węgrzech już wiosną 2022 r. Istniała realna groźba, że w razie fiaska negocjacji europejski fundusz odbudowy nie zostałby w ogóle uruchomiony w tym roku. To zaś oznaczałoby brak potężnego strumienia pieniędzy na ożywienie gospodarki po covidzie.

POZYSKAĆ SIEROTY PO JOBBIKU

W czasie najbliższej kampanii wyborczej Fidesz będzie się starał przede wszystkim o pozyskanie dotychczasowych wyborców Jobbiku, którzy są rozczarowani skrętem tego ugrupowania w lewo. W 2018 r. na partię narodowców głosowało ok. 20 proc. elektoratu. Jej dzisiejszą ewolucję popiera zaledwie co czwarty z nich. Co prawda część niezadowolonych działaczy założyła nowy ruch o nazwie Nasz Kraj, ale w sondażach odnotowuje on poparcie w granicach 1 proc. Niemal 2/3 niedawnych zwolenników Jobbiku deklaruje natomiast, że nie weźmie udziału w wyborach lub nie wie jeszcze, na kogo odda głos.

Wydaje się, że oferta Fideszu dla nich pójdzie w dwóch kierunkach: ideowym i pokoleniowym. Po pierwsze, rządzący będą podkreślać, że Jobbik zdradził ideały narodowe, przechodząc do obozu lewicowo-liberalnego. W związku z tym zwolennik prawicy nie ma właściwie innego wyboru, niż głosować na Viktora Orbána. W tych sprawach premier Węgier, nieuchylający się od udziału w wojnie kulturowej, jest niewątpliwie bardziej wiarygodny niż obecne kierownictwo Jobbiku.

Po drugie, o popularności narodowców w znacznym stopniu decydowało to, że przedstawiali się oni jako reprezentanci młodego pokolenia, któremu generacja Fideszu zablokowała na lata ścieżki awansu i możliwości rozwoju. Partia Orbána powstała bowiem jako młodzieżówka, w której obowiązywał cenzus wiekowy – jej członkami mogły być tylko osoby, które nie przekroczyły 35. roku życia. Dlatego dojście do władzy tej formacji zaburzyło normalny cykl wymiany pokoleniowej w polityce. Na szczycie znaleźli się stosunkowo młodzi ludzie, mający przed sobą jeszcze dziesiątki lat aktywności zawodowej. Siłą rzeczy zablokowali więc drogi kariery w państwie następnemu pokoleniu. Te ograniczenia dotknęły także część młodych sympatyków prawicy, którzy w związku z tym przerzucili swoje poparcie na Jobbik.

Orbán zdaje sobie z tego sprawę, dlatego odmładza kadry urzędnicze. Średnia wieku w instytucjach państwowych mocno się obniżyła. Na zapleczu intelektualnym Fideszu trwa zaś praca nad „nowym otwarciem", czyli stworzeniem kompleksowego programu odbudowy kraju po covidzie. Czy to wystarczy, by po raz kolejny wygrać wybory? Na pewno obóz władzy ma w swym ręku więcej aktywów, by w tym starciu zwyciężyć.

eprasa.pl 28be6bae23

Pragmatyzm zamiast resetu

Retoryczne salwy i kolejne sankcje nie ukryją tego, że Zachód gorączkowo szuka takich obszarów wspólnych interesów, na których mógłby współpracować z Rosją. Dla wzajemnych korzyści, ale bez złudzeń co do zmiany stylu rządzenia przez kremlowskich włodarzy

MAREK BUDZISZ

Wywiad Joego Bidena dla stacji telewizyjnej ABC już doprowadził do chwilowego kryzysu dyplomatycznego na linii Moskwa–Waszyngton. Rosyjski ambasador gen. Antonow został wezwany do Moskwy „na pilne konsultacje" po tym, jak amerykański prezydent zapytany przez George'a Stephanopoulosa, czy – znając Putina – uważa, że ten jest mordercą, bez wahania przytaknął. Przypomniał też swoją styczniową rozmowę z prezydentem Rosji, podczas której miał powiedzieć, że „zapłaci" on za swoje czyny, jeśli się okaże, że Rosja starała się wpłynąć na wyniki ostatnich wyborów prezydenckich w USA (co potwierdził raport amerykańskich służb specjalnych opublikowany na dzień przed wywiadem). Biden przypomniał również jedną ze swych wcześniejszych rozmów w cztery oczy z prezydentem Rosji. Wtedy to spojrzał mu głęboko w oczy i powiedział, że wie, iż rosyjski przywódca nie ma duszy. Putin miał ripostować, że „w takim razie dobrze się rozumiemy".

Te retoryczne salwy, które stały się informacją dnia, zresztą potraktowane przez rynki finansowe jako zapowiedź zaostrzenia amerykańskich sankcji wobec Rosji, przysłoniły dalszą część wypowiedzi Joego Bidena, kiedy mówił on o obszarach wspólnych interesów, w tym w dziedzinie zbrojeń nuklearnych, i dodawał, że z Moskwą należy współpracować.

PRZYCIĄGANIE ROSJI

Podobne głosy dobiegają z Europy. Po skandalu, jakim skończyła się wizyta Joseppa Borrella w Moskwie, i chwilowym zaostrzeniu tonu brukselskiej dyplomacji wszystko wraca w stare koleiny. Wiele zdaje się wskazywać na to, że wśród unijnego establishmentu trwa właśnie ożywiona dyskusja, czy nie zmienić polityki wobec Rosji na bardziej „pragmatyczną", czyli łagodną. Jak informuje Bloomberg, w czasie niedawnego spotkania (kolacji) szefa unijnej dyplomacji z Markusem Edererem, ambasadorem UE w Moskwie, zastanawiano się, czy model unijnej polityki wobec Rosji nie jest już zbyt przestarzały i „nadmiernie skoncentrowany na problemie Ukrainy". Co ciekawe, w spotkaniu, o które zabiegał według dziennikarzy agencji Ederer, uczestniczyli również Stefano Sannino, szef unijnej służby dyplomatycznej, jego zastępca Pedro Serrano i Luc Pierre Devigne, kierujący „wydziałem Rosja" w unijnej służbie dyplomatycznej (wszyscy w przeszłości będący orędownikami większego zaangażowania i otwarcia wspólnoty na Rosję).

Amerykańscy eksperci, byli wysokiej rangi urzędnicy państwowi i naukowcy, już od kilku miesięcy dyskutują, czy obecny model relacji z Rosją nie powinien zostać zastąpiony przez jakiś inny, lepiej realizujący interesy kolektywnego Zachodu. Latem ubiegłego roku grupa kilkudziesięciu przedstawicieli amerykańskiego establishmentu strategicznego, w tym byli sekretarze stanu i obrony, a także kilkunastu ambasadorów i kilkudziesięciu profesorów uczelni, opublikowała apel, aby zacząć „traktować Rosję jako taką, jaka ona jest" i przyjąć do wiadomości, że prawdopodobnie nigdy nie będzie ona demokracją w stylu zachodnim. Z tej konstatacji wyciągnęli wniosek, że bez szans są amerykańskie zabiegi mające na celu demokratyzowanie Rosji, a co za

Fot. Frederic Legrand - COMEO / Shutterstock, Shutterstock

eprasa.pl 28be6bae23

tym idzie – należy ich zaniechać i poszukać takich obszarów, w których można byłoby współpracować, nie wykluczając oczywiście rywalizacji w innych.

Już po zwycięstwie Joego Bidena analitycy renomowanego Atlantic Council w specjalnym raporcie zatytułowanym „Jeszcze dłuższy telegram", co jest świadomym nawiązaniem do słynnej depeszy dyplomatycznej George'a Kennana z 1946 r., która dała początek wieloletniej amerykańskiej polityce powstrzymywania ZSRR, zaproponowali, aby Ameryka, dążąc do zwycięstwa w rywalizacji z Chinami, „przeciągnęła" Rosję na swoją stronę. W innym opracowaniu, tym razem powstałym w think tanku Centre for a American New Security, który jest uznawany za jedną z kuźni kadr obecnego Departamentu Stanu, zawarto podobne propozycje. Andrea Kendall-Taylor, jedna z autorek tego raportu, która wkrótce po jego opublikowaniu dostała nominację i obecnie odpowiada w amerykańskim rządzie za politykę wschodnią, jest przekonana, że w starciu z Chinami Ameryka musi się starać zagrać „rosyjską kartą", choć przeciągnięcie Moskwy na swoją stronę nie będzie łatwe i najprawdopodobniej zajmie to długie lata.

NIE TĘDY DROGA

W samym Atlantic Council, uchodzącym przez lata za główną placówkę zwolenników „jastrzębiej" polityki wobec Rosji, wybuchł w ostatnich tygodniach publiczny spór na ten temat. Emma Ashford i Mathew Burrows napisali artykuł, którego główną tezą jest przekonanie, iż koncentrowanie się nowej administracji na kwestii obrony praw człowieka jest nie do pogodzenia z równolegle podkreślaną chęcią obrony i promowania interesów amerykańskich. Punktem wyjścia ich rozważań jest reakcja Moskwy na sankcje nałożone w związku z represjami wobec wewnętrznej opozycji, w tym aresztowanie i skazanie Aleksieja Nawalnego. Polityka Federacji Rosyjskiej w zakresie praw człowieka jest okropna, zgadzają się Ashford i Burrows, ale, jak równolegle podkreślają, „Stany Zjednoczone mają inne istotne interesy związane z Rosją". Należy do nich m.in. kwestia utrzymania stabilności strategicznej, powstrzymania Moskwy przed próbami ingerowania w proces wyborczy w Stanach Zjednoczonych i inne sprawy „znacznie ważniejsze niźli symboliczne sankcje związane z prawami człowieka".

Autorzy wystąpienia polemizują z ugruntowanym w USA przekonaniem, ich zdaniem całkowicie błędnym, że polityka obrony praw człowieka i wspierania ruchów dysydenckich w bloku komunistycznym była w przeszłości priorytetem kolejnych administracji, a nawet to w jej efekcie rozpadł się Związek Sowiecki. W rzeczywistości, jak dowodzą, mieliśmy do czynienia z zupełnie innym podejściem, w którym amerykańskie interesy strategiczne, a nie niewiele znaczące deklaracje w zakresie promowania demokracji, miały pierwszorzędne znaczenie.

Ameryka, w opinii Ashford i Burrowsa, winna odejść od polityki sankcji wymierzonych w Rosję również z tego względu, że nie przyniosły one oczekiwanych efektów. Owszem, wyrządziły wiele szkód Federacji Rosyjskiej, ale nie przyczyniły się do zmiany kursu Kremla. Opozycyjni dziennikarze i politycy, jak byli, tak nadal są mordowani i prześladowani, można zatem powiedzieć, że Waszyngton używa narzędzi, które – najłagodniej rzecz ujmując – są nieefektywne. Kolejnym argumentem na rzecz porzucenia przez Stany Zjednoczone obecnej linii politycznej wobec Moskwy jest to, że koncentrowanie się na obronie wartości, praw człowieka i demokracji prowadzi do wbicia klina między USA a Europę, która ma, jak argumentują analitycy Atlantic Council, inne wyobrażenie na temat najlepszego kształtu polityki wobec Moskwy. „Żeby było jasne, istnieje niewielka nadzieja na poprawę stosunków między USA a Rosją i brak perspektyw na reset" – realistycznie zauważają Ashford i Burrows. „Niemniej jednak stabilizacja relacji będzie lepsza niż status quo. Bardziej realistyczne podejście do Rosji – takie, które powoduje, że prawa człowieka nie są najważniejsze i co nadaje priorytet konkretnym interesom Stanów Zjednoczonych – mogłoby obniżyć napięcia, skutecznie rozwiązać krytyczne kwestie i pozwolić Stanom Zjednoczonym na ponowne zaangażowanie się w tematy będące przedmiotem wspólnego zainteresowania".

To stanowisko zostało oprotestowane publicznie przez grupę współpracowników Atlantic Council, wśród których byli m.in. b. zastępca sekretarza generalnego NATO Alexander Vershbow czy Daniel Fried, były ambasador m.in. w Polsce, co tylko potwierdza fakt ożywionej debaty w amerykańskich elitach na temat polityki wobec Rosji.

W Europie krytycy dotychczasowej linii również zaczynają coraz głośniej mówić o nieskuteczności polityki sankcji. Ostatnie obrady ministrów spraw zagranicznych obok niemałej grupy tradycyjnych zwolenników poszukiwania możliwości dogadania się, takich jak Włochy czy Francja, ujawniły nowych adeptów „otwarcia na Rosję". Przeciw sankcjom mieli występować ministrowie spraw zagranicznych Słowacji oraz Łotwy, która zaczyna odczuwać gospodarcze zamykanie się rosyjskiego rynku i tranzytu towarów przez jej porty. Jest to zresztą zjawisko symptomatyczne, że mniejsze państwa, wyczuwając zmieniające się nastroje dużych „graczy", szybciej reagując, chcą ugrać swoje. Próba rewizji unijnej polityki wobec Rosji ma zostać podjęta w trakcie najbliższego szczytu wspólnoty, który odbędzie się pod koniec tego tygodnia. Niemcy, o czym poinformował „Financial Times", proponują np., aby jednym z możliwych pól współpracy z Rosją była polityka klimatyczna.

Wydaje się zatem, że będziemy w najbliższych tygodniach i miesiącach świadkami zmiany w polityce Zachodu wobec Rosji. Twarda retoryka i selektywne sankcje zostaną utrzymane, ale równolegle zacznie się „poszukiwanie płaszczyzn współpracy". Zapewne innych szukała będzie Europa, a innych Ameryka, co też jest symptomem nowych czasów. Nie będzie to nowy reset w stylu „kochajmy się", może dlatego, że Rosjanie nie sprawiają wrażenia, aby tego chcieli. Ale jeśli nastąpi sektorowe otwarcie i współpraca w obszarach takich jak polityka klimatyczna czy walka z terroryzmem, a równolegle Moskwa zostanie zaproszona przez Zachód, aby wspólnie stabilizować sytuację w niektórych państwach, np. w Afganistanie, to czym tego rodzaju polityka będzie się różnić od resetu z czasów Obamy? Tym, że amerykański prezydent będzie mówił częściej, iż uważa Putina za mordercę? Tak jakby słowa prawdy mogły zmienić sytuację w świecie.

eprasa.pl 28be6bae23

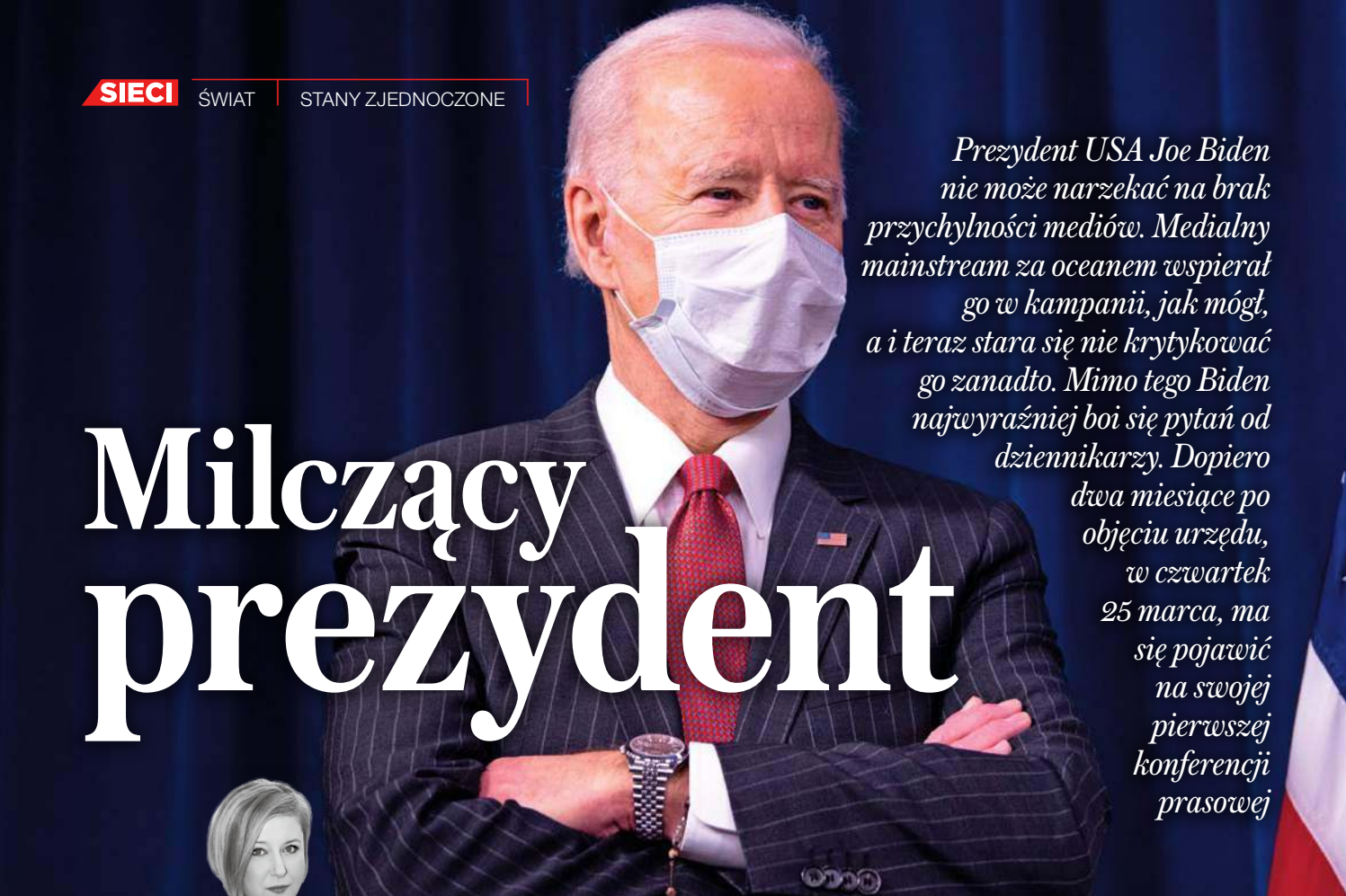

Milczący prezydent

Prezydent USA Joe Biden nie może narzekać na brak przychylności mediów. Medialny mainstream za oceanem wspierał go w kampanii, jak mógł, a i teraz stara się nie krytykować go zanadto. Mimo tego Biden najwyraźniej boi się pytań od dziennikarzy. Dopiero dwa miesiące po objęciu urzędu, w czwartek 25 marca, ma się pojawić na swojej pierwszej konferencji prasowej

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Według telewizji ABC News obecny prezydent USA dłużej unika bezpośrednich pytań od przedstawicieli mediów niż którykolwiek z jego poprzedników „na przestrzeni ostatnich 100 lat". Zarówno Donald Trump, Barack Obama, George H. W. Bush, jak i Bill Clinton zorganizowali swoją pierwszą konferencję prasową w ciągu miesiąca od inauguracji. W przypadku Busha były to aż cztery konferencje prasowe, podczas gdy Clinton zorganizował ich pięć.

Biden rządzi głównie za pomocą dekretów i rozporządzeń, a to każe, jak czytamy na łamach dziennika „Washington Post", zadać pytanie „o odpowiedzialność". Polityczną, oczywiście. Prezydentura Bidena, jak sam zainteresowany obiecywał w kampanii, miała być bardziej przejrzysta niż ta jego poprzedników, szczególnie Trumpa. Nie miało być żadnych tajemnic, żadnych niedomówień. Ale jak to zrobić, gdy prezydent nie mówi? A jego rzadkie występy są starannie wyreżyserowane, tak aby nie było żadnych niespodzianek, żadnej przestrzeni na spontaniczność.

„DEMENTIA JOE"

Jak pisze Dominic Green (wicenaczelny amerykańskiego wydania „The Spectator") na łamach brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph", 11 marca Biden uczcił pierwszą rocznicę wprowadzenia związanych z pandemią COVID-19 restrykcji, a jednocześnie swój 50. dzień w Białym Domu, wygłaszając pierwsze transmitowane w telewizji prezydenckie przemówienie. Był bez wątpienia w formie. Jednak po 20 minutach opuścił scenę, nie odpowiadając na pytania dziennikarzy. Jak twierdzi Green, był to „rzadki moment jasności" prezydenta, który przemawiając, czyta na ogół z promptera lub z kartek, które jego sztab mu przygotowuje. A nawet wtedy nie zawsze udaje mu się uniknąć gaf. „Co ja tutaj robię?" – pytał Biden podczas wizyty w Teksasie pod koniec lutego. Prezydent przybył do tego stanu na południu USA, by zaczerpnąć informacji o trwającej tam walce ze skutkami rekordowej burzy śnieżnej. Wyliczając wybranych oficjeli, którym chciał podziękować za ciepłe przyjęcie, potykał się o imiona i nazwiska, by w końcu stwierdzić, że „zaraz się pogubi".

Liberalne media za oceanem tłumaczą, że 78-letni Biden, który spędził w amerykańskiej polityce prawie pół wieku, zawsze miał skłonność do gaf, czyli szybciej mówił, niż myślał. Ponadto w dzieciństwie się jąkał, a w stresujących sytuacjach ta wada wymowy może się ujawniać. Według nich przeciwnicy prezydenta doszukują się wad tam, gdzie ich nie ma. Konserwatywne media widzą to zgoła inaczej. Im Biden wydaje się kruchy o wiele bardziej niż pięć lat, a nawet rok temu. Niektórzy zwolennicy Trumpa dali mu przydomek „Dementia Joe". Powstał nawet profil o takiej nazwie na Twitterze, który zbiera wszystkie werbalne gafy prezydenta. A jest ich niemało. Choćby 6 marca Biden usiłował przekonać Amerykanów, że przegłosowana w Senacie ustawa covidowa jest wynikiem ponadpartyjnego konsensu, choć żaden przedstawiciel republikanów za nią nie głosował ani w Senacie, ani w Izbie Reprezentantów. Dwa dni później, podczas starannie przygotowa-

Fot. BiksuTong / Shutterstock

eprasa.pl 28be6bae23

nego wystąpienia, prezydent zapomniał nazwy Departamentu Obrony oraz nazwiska człowieka, któremu powierzył zadanie kierowania nim. „Dziękuję sekretarzowi... byłemu generałowi... Ciągle nazywam go generałem... Mojemu... mojemu... facetowi, który kieruje tym urzędem tam" – mówił z rosnącą desperacją w głosie. Podczas wirtualnego spotkania z demokratami Biden zachęcił ich do zadawania pytań. „Z chęcią odpowiem na pytania, jeśli to właśnie mam robić, Nance... cokolwiek chcesz, żebym zrobił" – mówił Biden, zwracając się do przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. Kilka sekund później wyłączono transmisję bez jakiegokolwiek uzasadnienia.

OGRANICZONE ZAUFANIE

To zdaniem konserwatywnych mediów w USA świadczy o tym, że krajem (oraz wolnym światem) rządzi nie Biden, lecz jego otoczenie: Nancy Pelosi oraz wiceprezydent Kamala Harris. Według byłej rzeczniczki Białego Domu Kayleigh McEnany otoczenie prezydenta w każdym razie nie wierzy, że jest on w stanie przetrwać trwającą godzinę konferencję prasową bez popełnienia poważnych gaf. Dlatego trzyma go z dala od dziennikarzy. Jak dotąd Biden odpowiedział na zaledwie garstkę krótkich pytań przedstawicieli mediów oraz udzielił kilku starannie przygotowanych wywiadów. 16 lutego wystąpił także w (wyreżyserowanym) programie o nazwie „Town Hall" na antenie CNN, gdzie odpowiadał na pytania Amerykanów. Spontanicznych występów zabrakło.

Założyciel The Christian Broadcasting Network (CBN) Pat Robertson wyciąga z tego wniosek, że „jest już tylko kwestią czasu, aż demokraci uruchomią 25. poprawkę do amerykańskiej konstytucji". Została ona przyjęta w 1967 r. w reakcji na zabójstwo Johna F. Kennedy'ego i opisuje procedurę sukcesji głównego amerykańskiego urzędu w wyniku niemożliwości sprawowania władzy przez dotychczasowego przywódcę. Robertson wskazuje także na list, który grupa 31 demokratycznych kongresmenów wysłała 22 lutego do prezydenta. Zażądali w nim od niego oddania uprawnień do samodzielnego uruchomienia arsenału nuklearnego. Zamiast tego zaproponowali kilka alternatyw, w tym wspólną decyzję podejmowaną przez prezydenta, wiceprezydenta i spikera Izby Reprezentantów. Ma to być kolejnym dowodem na znikome zaufanie, jakim demokraci darzą polityka, którego sami pomogli wybrać na prezydenta. Republikanie oczywiście od razu odrzucili taką możliwość, bo rzutowałaby negatywnie na najwyższy urząd w państwie w przyszłości. „Chodzi tu o coś więcej niż jednego człowieka. Chodzi o urząd prezydenta, nawet jeśli obecnie mówimy o śpiącym Joem" – podkreślił republikański kongresmen z Florydy Matt Gaetz. Pewne wskazówki na obawy demokratów związane z problemami Bidena z pamięcią można także znaleźć w książce Jonathana Allena i Amie Parnes „Szczęściarz. Jak Joe Biden z trudem zdobył prezydenturę" (Lucky: How Joe Biden Barely Won the Presidency). Autorzy twierdzą, że podczas konwencji demokratów w sierpniu 2020 r. znana komik Julia Louis-Dreyfus miała zażartować z wieku i rzekomej niedyspozycji Trumpa. Ale organizatorzy jej tego zabronili. W obawie, że jeśli poruszą ten temat na konwencji, nawet w żarcie, łatka demencji przyklei się nie do Trumpa, ale do Bidena.

> 78-letni Biden, który spędził w amerykańskiej polityce prawie pół wieku, zawsze miał skłonność do gaf, czyli szybciej mówił, niż myślał. Ponadto w dzieciństwie się jąkał, a w stresujących sytuacjach ta wada wymowy może się ujawniać

EPILOG

Według liberalnych amerykańskich mediów spekulacje na temat zdolności umysłowych prezydenta są „złośliwe i pozbawione podstaw". „Trump za dużo mówił, w sposób nieprzemyślany, niekontrolowany. Biden jest bardziej wstrzemięźliwy, a to przekłada się na nową, lepszą jakość jego prezydentury" – czytamy na łamach portalu ABC News. Demencja czy bardziej ostrożny styl rządzenia? Ta kwestia pozostaje na razie nierozstrzygnięta. Pewne jest tylko, że jeśli Biden 25 marca w końcu przemówi w sposób swobodny i niewyreżyserowany, to będzie musiał to robić dalej. Media, obywatele będą się tego domagać. A to może się skończyć tylko w jeden sposób. „Wcześniej czy później Biden popełni poważną gafę. A demokraci, którzy awansowali niezdolnego do rządzenia kandydata na najwyższe stanowisko w Ameryce, oraz media, które starały się go chronić, w końcu będą musiały przyznać, że nie dopełniły obowiązków wobec narodu amerykańskiego. Zaufanie ludzi do instytucji demokratycznych jeszcze zmaleje. A my, wszyscy, będziemy uczestniczyć w publicznym upokorzeniu Bidena" – podsumowuje Dominic Green na łamach „The Daily Telegraph".

eprasa.pl 28be6bae23

Przewodniczący episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing

Luter 2.0

Czy niemiecka droga synodalna stanie się skutecznym narzędziem antykatolickiej rewolty?

GRZEGORZ GÓRNY

W listopadzie 2013 r. ukazał się programowy dokument pontyfikatu Franciszka – adhortacja „Evangelii gaudium". Znalazły się w niej znamienne słowa: „Nie uważam także, że należy oczekiwać od papieskiego nauczania definitywnego lub wyczerpującego słowa na temat wszystkich spraw dotyczących Kościoła i świata. Nie jest rzeczą stosowną, żeby papież zastępował lokalne episkopaty w rozeznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej »decentralizacji«".

„CAŁA WŁADZA W RĘCE SYNODÓW"

Nikt nie wziął sobie tych słów mocniej do serca niż biskupi niemieccy. Dla większości z nich sprawa była jasna: skończył się model Kościoła trydenckiego, w którym papież jest władcą absolutnym stojącym na szczycie piramidy, a zaczyna się epoka, w której coraz więcej kompetencji, w tym także doktrynalnych, przenoszonych będzie w dół hierarchii: na poziom episkopatów, diecezji, parafii, a nawet sumień pojedynczych wiernych. W tym kluczu interpretowano kolejne dokumenty Franciszka, np. adhortację „Amoris laetitia", która dla wszystkich biskupów niemieckich oznaczała przyzwolenie na przystępowanie do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach.

Przyznając sobie autorytet doktrynalny, przynależny dotychczas jedynie Magisterium Kościoła, episkopat niemiecki próbował zezwolić na dopuszczenie do Eucharystii wspólnie z katolikami także protestantów. Dzięki sprzeciwowi siedmiu biskupów (na czele z kard. Rainerem Woelkim z Kolonii), którzy wystąpili przeciwko tym planom, nie doszło do ogłoszenia oficjalnego dokumentu w tej sprawie, choć był on już przygotowany. Sprawa oparła się o Rzym, który nie zajął jednak jednoznacznego stanowiska, przekazując ją do rozeznania biskupom w poszczególnych diecezjach.

Niemieckich hierarchów do coraz śmielszych kroków zachęcały kolejne wypowiedzi Franciszka, w których opowiadał się on za większą synodalizacją Kościoła. Przyjmowali to w duchu rewolucyjnym, jakby parafrazując stare hasło „Cała władza w ręce synodów".

NARZĘDZIE REWOLUCYJNEJ ZMIANY

Odpowiadając na papieskie wołanie o synodalizację, niemiecki episkopat powołał do życia nowy podmiot: „drogę synodalną", czyli hybrydowy twór, który nigdy nie istniał w prawie kanonicznym. Składa się on z mieszanego grona 230 osób duchownych i świeckich, wśród których znajduje się 89 biskupów, 89 delegatów Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików oraz 52 przedstawicieli zakonów, ruchów katolickich, młodzieży itd. Członkowie owego gremium, choć nie posiada ono prawnego umocowania w Kościele, deklarują wprost, że są narzędziem daleko posuniętych zmian wewnątrz katolicyzmu.

Stawiają przed sobą cztery cele. Pierwszy: doprowadzić do nowego podziału władzy w Kościele, czyli zwiększyć kompetencje świeckich kosztem

Fot. ARNE DEDERT/East News

eprasa.pl 28be6bae23

prerogatyw biskupich. Drugi: zmienić etykę seksualną Kościoła, zwłaszcza w odniesieniu do homoseksualizmu, a więc przestać uznawać stosunki jednopłciowe za grzeszne, a nawet wprowadzić jakąś formę błogosławienia takich par w świątyniach. Trzeci: znieść obowiązkowy celibat księży i doprowadzić do wyświęcania żonatych mężczyzn. Czwarty: wysunąć postulat nowych form sprawowania przez kobiety urzędów w Kościele, nie wykluczając także ich kapłaństwa.

Media relacjonujące obrady drogi synodalnej pomijają zazwyczaj to, że jest to gremium mocno upolitycznione, w którym zasiadają wpływowi działacze partyjni, np. posłanka CDU Maria Flachsbarth, parlamentarna sekretarz stanu przy ministerstwie współpracy gospodarczej i rozwoju, która jest jednocześnie przewodniczącą Katolickiego Niemieckiego Stowarzyszenia Kobiet, a zarazem stoi na czele proaborcyjnej organizacji Sie Entscheidet.

Kiedy bp Stefan Oster z Pasawy (jeden z nielicznych hierarchów niemieckich, którzy mają wątpliwości co do kierunku drogi synodalnej) skrytykował obecność chadeckiej polityk w organizacji stawiającej sobie cele jawnie sprzeczne z religią chrześcijańską, został szybko przewołany do porządku przez innych członków owego grona. Aktywiści Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej stwierdzili, że bp Oster jako „biały mężczyzna w średnim wieku" nie ma prawa do wyrażania krytycznych opinii o Marii Flachsbarth. Dyskusję zakończył przewodniczący episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing, który wyjaśnił, że stanięcie przez działaczkę CDU na czele proaborcyjnej organizacji wchodziło po prostu w zakres jej obowiązków jako sekretarza stanu.

TEZY NA DRZWIACH KOŚCIOŁÓW

Wspomniany Georg Bätzing stanął na czele episkopatu w marcu 2020 r., zastępując na tym stanowisku kard. Reinharda Marxa. Do tego czasu to właśnie ten ostatni uchodził za jednego z najbardziej radykalnych progresistów wśród niemieckich hierarchów. Dziś w porównaniu z Bätzingiem prezentuje się jako umiarkowany centrysta. W związku z tym pojawiło się nawet w niemieckich mediach porównanie, że tak jak Karol Marks przygotował drogę dla Lenina, tak kard. Marx utorował drogę dla Bätzinga.

Kierunek obrany przez drogę synodalną zaczął wzbudzać coraz większy niepokój w Watykanie. W związku z tym do biskupów niemieckich popłynęły kolejne ostrzeżenia. Mimo to bp Bätzing nie chce przyjąć do wiadomości żadnych uwag i twardo twierdzi, że droga synodalna nie zejdzie z raz obranego kursu. Niektórzy porównują jego postawę do głośnych słów Marcina Lutra „Tu stoję, inaczej nie mogę", wypowiedzianych dokładnie 500 lat temu, podczas przesłuchania na sejmie w Wormacji w 1521 r.

Do innego gestu przypisywanego Lutrowi odwołały się z kolei działaczki katolickiej organizacji feministycznej Maria 2.0. Tak jak on w 1517 r. miał przybić do drzwi kościoła w Wittenberdze swoich 95 tez, tak one w zeszłym miesiącu przybiły do drzwi świątyń w całych Niemczech kartki ze swoimi siedmioma tezami. Wśród postulatów znalazły się m.in. żądania, by zwiększyć dostęp kobiet do urzędów kościelnych, znieść celibat księży, a także zmienić etykę seksualną Kościoła, która jest „nieżyciowa i dyskryminująca" oraz „nie opiera się na chrześcijańskiej wizji człowieka".

Dwa dni później na posiedzeniu plenarnym biskupi wybrali nowego sekretarza generalnego episkopatu. Pierwszy raz została nim kobieta: 50-letnia Beate Gilles, niezamężna pracownica kurii diecezjalnej w Limburgu.

WIDMO SCHIZMY KRĄŻY NAD NIEMCAMI

Wspomniany wybór zbiegł się w czasie z promocją książki „Paare. Riten. Kirche" (Pary, Obrzędy. Kościół), wydanej przez oficynę archidiecezji Padeborn. Jest to księga zawierająca teksty różnych błogosławieństw, m.in. par homoseksualnych. Przedmowę do niej napisał bp Ludger Schepers, który poparł ideę błogosławienia związków jednopłciowych. W podobnym duchu wypowiedział się bp Peter Kohlgraf, który stwierdził, że od katolików o skłonnościach homoseksualnych nie można oczekiwać, by żyli w czystości, w związku z tym Kościół powinien zmienić swoje nauczanie w tej kwestii. Wcześniej za możliwością udzielania błogosławieństw parom jednopłciowym opowiadali się m.in. kard. Marx, bp Franz-Josef Bode czy bp Heinrich Timmerevers.

Mimo że wypowiedzi niemieckich hierarchów otwarcie kwestionują nauczanie Kościoła, nie wywołuje to żadnych reakcji ich współbraci na świecie. Jako jedyny publicznie upomniał ich (i to dwukrotnie) episkopat Ukrainy. Poza tym panuje cisza, którą sami zainteresowani traktują jako przyzwolenie dla wprowadzanych przez siebie zmian. Trzeba przy tym pamiętać, że Kościół niemiecki jest niezwykle bogaty i wspiera finansowo wiele instytucji katolickich na całym globie. W tej sytuacji niektórym niezręcznie jest krytykować swoich dobroczyńców.

Wszystko wskazuje więc na to, że droga synodalna, która przypomina rozpędzoną maszynę, osiągnie swój cel i uchwali rewolucyjny program dla Kościoła. Co jednak dalej? Większość niemieckiego episkopatu zapewne podpisze się pod dokumentem końcowym. Jak zachowa się jednak Stolica Apostolska? Czy Franciszek uzna postanowienia drogi synodalnej za owoc „zbawiennej decentralizacji", czy też im się sprzeciwi, dochodząc do wniosku, że eksperyment z synodalizacją poszedł jednak za daleko? Czy nie będzie już jednak za późno? Widmo schizmy krąży nad Niemcami. Widmo krąży nad Kościołem.

Wkrótce po ukraińskich biskupach głos zabrała Kongregacja Nauki Wiary. 15 marca wydała oficjalny dokument kategorycznie odrzucający możliwość błogosławienia związków homoseksualnych. Komentując go, kard. Marx powiedział, że „sprawa z pewnością wymaga dalszej dyskusji. Myślę, że nie jest to ostatnie słowo, nad którym trzeba się zastanowić". W podobnym duchu wypowiedział się biskup Bätzing, który stwierdził, że „nie ma prostych odpowiedzi na tego rodzaju pytania", a stanowisko Kongregacji prezentuje jedynie „stan nauczania kościelnego wyrażony w kilku dokumentach rzymskich". To zapowiedź kontynuowania kursu.

Czy droga synodalna pójdzie na czołowe zderzenie z Watykanem? Czy Franciszek uzna jej postanowienia za owoc „zbawiennej decentralizacji", czy też im się sprzeciwi, dochodząc do wniosku, że eksperyment z synodalizacją poszedł jednak za daleko? Czy nie będzie już jednak za późno? Widmo schizmy krąży nad Niemcami.

eprasa.pl 28be6bae23

Deficyt języka

Fot. Adam Jan Figel/Shutterstock.com

Co musi się stać z ludzkim umysłem, jakiemu naciskowi musi ulec, jak bardzo mózg musi zmienić kształt fałd i pod jakim wpływem, aby wykształceni gruntownie ludzie kultury, sztuki, mediów, nauki mówili i czynili tak, że nie można tego nawet nazwać?

ALEKSANDER NALASKOWSKI

Z coraz większym trudem, już w zasadzie graniczącym z niemożnością, przychodzi mi pisać o rzeczywistości, którą obserwuję i której doświadczam. Czuję się jak emigrant, chociaż nigdzie stąd nie wyjeżdżałem. Jak Grek, który na początku ubiegłego wieku przybył do Ameryki, w której wszystko było inne – domy, ludzie, głosy, język, prawa, obyczaje i zasady, a nawet kolory. Mam wrażenie, że wańkowiczowski Gąsior z „Tworzywa" czuł się po przybyciu z galicyjskiego Husiatyna do Kanady znacznie pewniej niż ja teraz we własnej ojczyźnie. Dostrzegam bezmiar zdarzeń i procesów, do których rozumienia moja profesorsko-starcza logika jest zupełnie nieprzydatna, a religia pozwala wierzyć już tylko w rychłą Paruzję. I już nie wiem, czy to ja nie nadążyłem za światem, czy to świat oszalał, a może i zidociał.

Zaczynam dostrzegać prawa, których istnienia nigdy nie podejrzewałem, prawa, które zmieniają widzenie świata i potocznie nawet rozumiany zdrowy rozsądek. Pierwszym z nich jest nadrzędność interpretacji nad faktami, a drugim nadrzędność kłamstwa nad prawdą. Klęska tej ostatniej jest tyleż ewidentna, co zaskakująca. Zdrowy rozsądek jest zaś jednym z największych przegranych w tej wojnie cywilizacyjnej, w której stawką jest wszystko. Bo i gra się właśnie o wszystko toczy.

* * *

Oto więc mamy rząd, a nie mamy władzy. Bo najważniejsze instytucje, stanowiące o naszym bycie, o kształcie naszego istnienia, są od dawna wrogie albo co najmniej tchórzliwie obojętne wobec tych, którzy śmieli zagłosować nie tak jak trzeba. Pierwszą z nich jest prawo sankcjonujące łamanie społecznej umowy, czyli pryncypiów konstytucji. Przegrani nie chcą być przegranymi i jeśli tylko procedura demokratycznych wyborów nie da im zwycięstwa, to natychmiast kwe-

eprasa.pl 28be6bae23

stionują ich wynik. Nieważne stają się zasady, ważna wtedy staje się ulica. Tak było w przypadku niesławnego i politycznie bandyckiego KOD, tak jest z tzw. Strajkiem Kobiet, tak jest we wszystkich państwach na świecie, o czym przekonują wydarzenia na Kapitolu.

Prawnicy nie chcą i nie bronią zwycięzców i co rusz dają o tym znać. Sędziowie, zdjąwszy togi, przyłączają się do wszelkich hucp, próbujących odwrócić skutki procesów demokratycznych. A gdy już założą togi, to błogosławią tęczowej Matce Boskiej czy nazywaniu telewizji (a zatem pracujących w niej ludzi) goebbelsowską. I tego ani pojąć, ani nazwać się nie da. Sądy i wielu prawników to zwykli szkodnicy, którym dano władzę ponad miarę ich umysłu i morale. Już nie będę przytaczał przykładów sędziów łapowników, sędziów złodziei, bo to kategoria zwykłych kryminalistów. Ale sędziowie zachwycający się ostatnim orzeczeniem TSUE to zwykli zdrajcy Polski. Przy czym użycie słowa „targowiczanie" już nie ma sensu. Jest zbyt łagodne. Już się zużyło. A zatem kolejna rzecz, która nie ma nazwy, której żadnymi słowami ocenić się nie da. Cokolwiek bowiem bym o tym napisał, jakiegokolwiek przymiotnika użył, będzie tylko łagodzącym eufemizmem.

* * *

Drugim bastionem, który pozbawia rządzących władzy, są uczelnie, a w zasadzie uniwersytety. Najpierw rozbrojono w nich autentyczną naukę. Rzeczywiste osiągnięcia mierzone społeczną czy środowiskową aklamacją zamieniono na osiągnięcia wirtualne, a te łatwo było wymyślić. System punktowy pozwolił na dekretowanie wielkości i naukowości profesorów (od razu wyjaśnię, że tu nie muszę mieć kompleksów), spychając w niebyt uczonych dużego formatu, a wyciągając na powierzchnię przeciętniaków i karierowiczów, zwykłych przyczynkarzy i miernoty naukowe. Nic nieznaczący pracownicy akademiccy potrafią sprytem i koniunkturalizmem zdobyć punkty, granty i wmawiać sobie, że są wielcy. Mało kto wie, że rynek punktowanych czasopism jest również mocno skorumpowany. W wielu z nich umieszcza się artykuły, płacąc słono za ich publikację. Czyli po prostu punkty się kupuje! Jak kiedyś tytuły szlacheckie.

Tzw. Konstytucja dla nauki była jak zbyt głęboka orka. Kto się orientuje, ten wie, że orać nie można zbyt głęboko, bo w ten sposób odwrócona skiba wydobywa na wierzch ziemię jałową, a tę pielęgnowaną i przez lata nawożoną zakopuje. Tak robi tylko ignorant i skończony dyletant. Efekty nie dały na siebie długo czekać. Nieograniczona władza rektorów, tworzenie tzw. rad uczelni, niejasna funkcja senatów i bezprecedensowe oderwanie uczelni od tradycji dały efekt niemal natychmiastowy – załamanie nauki polskiej. Popularna „punktoza" ma się tak do prawdziwej wartości naukowych dociekań, jak komputerowa gra w wojnę do wojny prawdziwej.

Wśród pełnomocników rektorów polskich uczelni publicznych, powoływanych z mocy Konstytucji dla nauki, znaleźli się także tzw. pełnomocnicy ds. równego traktowania. Pomijając to, że sama nazwa jest dziwaczna, bo nie wskazuje, kto ma z kim być na uczelni równy, zastanawiające jest, że spora część owych pełnomocników to niewiasty zajmujące się problematyką gender czy badające ruchy feministyczne. Znalazłem też przypadki osób otwarcie zaangażowanych w tzw. Strajk Kobiet czy popierających superoszusta Barta Staszewskiego, który wymyślił, a potem nagłośnił strefy wolne od LGBT. W ten sposób rewolucja obyczajowa utworzyła przyczółki na polskich uczelniach, których organem założycielskim jest Rzeczpospolita. Tutaj przypomina mi się przypadek będącego w wieku emerytalnym profesora G. w jednej z polskich uczelni. Otóż w wewnętrznym systemie informatycznym uniwersyteckim USOS studenci mają prawo, po zakończeniu semestru, ocenić prowadzących zarówno w skali od jednego do pięciu, jak i zamieścić komentarz. Profesor G. od lat zbierał niemal wyłącznie najwyższe oceny i bardzo pochlebne komentarze. Oto kilka przykładów tylko do jednego wykładu dla tego samego rocznika.

„Pan Profesor na swoich zajęciach pokazał całkowicie inne podejście do przedmiotu, które rozjaśniło mi wiele rzeczy. Wykłady były bardzo ciekawe i zaskakujące. Wprowadzone elementy humorystyczne sprawiały, że z chęcią chciało się chodzić na zajęcia, nawet gdy były one pierwsze o 9 rano!:)".

„Były to wspaniałe i wartościowe zajęcia. Prowadzący to jak zawsze osoba z wysoką kulturą i klasą. Zajęcia nie należały do łatwych, jednak z miłą chęcią w nich uczestniczyłam".

„Profesor dosłownie stawał na rzęsach, abyśmy wszystko zrozumieli".

Wśród wpisów znalazł się jednak i taki: „Pan Profesor bardzo często krytykował wygląd studentów. Drwił, gdy ktoś m.in. posiadał tatuaże czy kolczyki (nakazując zakrywanie i wyjmowanie ich). Ponadto wykazywał zachowania seksistowskie poprzez kpinę z kobiet. Na każdych zajęciach czułam się dyskryminowana. Wiele moich koleżanek i kolegów z roku czuło obawę przed zajęciami, że znowu zostaną poddani krytyce wynikającej tylko i wyłącznie z uprzedzeń prowadzącego. Profesor nie ma szacunku do studentów, a komunikacja z nim jest utrudniona, przez co o odwołaniu zajęć dowiedzieliśmy się poprzez jego doktorantkę, która notabene przyszła spóźniona. Według mnie taka osoba nie powinna pracować w takim zawodzie".

W całej historii pracy starego profesora wpisy krytyczne należały do absolutnej rzadkości. Ankieta jest anonimowa i tak naprawdę można w niej wypisywać, co się chce. Nie znamy jej autora/autorki, nie wiadomo, czy to pogląd odosobniony, choć „pisany w imieniu" kolegów, czy inspirowany przez kogoś, czy nie jest spowodowany niepowodzeniem na egzaminie. Sam profesor po jego przeczytaniu zrobił z niedowierzania wielkie oczy, bo nic takiego nie miało miejsca. Ale jeszcze większe zrobił, gdy się dowiedział, że jego zwierzchnictwo (a zatem młodsi koledzy) będzie nad tym wpisem deliberowało, a on będzie musiał udzielić wyjaśnień tejże komisji, do której owi koledzy z własnej i nieprzymuszonej woli zaprosili właśnie pełnomocniczkę rektora ds. równego traktowania. Zupełnie jak w ludowym wojsku, gdy we wszelkich komisjach zawsze uczestniczył oficer polityczny. Ostatecznie młoda komisja była miła i pouczyła starego profesora, aby brał pod uwagę subiektywne odczucia (kaprysy) studentów pierwszego roku, pouczyła, chociaż nie dowiodła mu żadnej winy ani naruszenia obyczajów! Tak w praktyce wygląda pilnowanie poprawności politycznej na uczelniach. Czy ktoś

eprasa.pl 28be6bae23

zna jakieś słowa, które dostatecznie obelżywie nazwałyby tę sytuację? Ja nie znam. Ale jest gorzej, bo jeśli nie umiemy tego adekwatnie nazwać, to za chwilę stanie się to normalne. Bo tak to właśnie działa.

* * *

Kolejnym elementem kryzysu uniwersytetów jest stan profesury. Tutaj pozwolę sobie na dygresję. Gdy byłem uczniem, to prymusi szkolni nie tylko się dobrze uczyli, ale i byli od reszty jakby dojrzalsi, bardziej stabilni, lepiej ułożeni i nierzadko pochodzili z dobrych domów. Nauka szła w parze z ich wyraźną dojrzałością. Tak to teraz postrzegam. Dzisiaj jest chyba inaczej. Znam młodą osobę, znakomitą lekarkę, która arcytrudne studia medyczne ukończyła ze średnią 5.0. To dziecko moich dobrych znajomych. Towarzysko w szerszym gronie spotykaliśmy się (przed wirusem) dość często. I nigdy nie miałem sobie z nią nic do powiedzenia. Poza medycyną jej wszelka wiedza i orientacja w świecie i jego problemach, w tym problemach Polski, była najzwyczajniej infantylna, wykreowana bodaj przez Pudelka. Do czego nawiązuję? Otóż można być znakomitym zawodowcem i jednocześnie społecznym ignorantem.

Polacy widzą i oceniają profesorów głównie przez media. W większości nie są w stanie ocenić ich dorobku naukowego, bo go po prostu nie znają. Trudno aby było inaczej. Słyszą komentarze często spoza ich wiedzy i kompetencji. Słuchają ich wystąpień, które sklejają z naukowym tytułem. Zupełnie jak w przypadku tej młodej lekarki. Na zasadzie, że skoro to dobry lekarz, to na pewno mądry człowiek. Wtedy się dowiadują, że można szantażować dzieckiem (jak prof. Matczak), publicznie kłamać (prof. Gaciong), pogardliwie mówić o innym kraju i używać brudnego języka (prof. Sadurski), postulować zagłodzenie człowieka (prof. Gdula), publicznie sprzeciwiać się nauce Kościoła, którego jest się czynnym kapłanem (prof. Wierzbicki), świadomie i wrednie zniekształcać źródła historyczne pod pozorem ujawniania prawdy i pod egidą Polskiej Akademii Nauk (prof. Grabowski, prof. Engelking), można wreszcie publicznie głosić, że w związkach homoseksualnych rodzi się więcej dzieci niż w tych heteroseksualnych (prof. Płatek). I nieważne, że są tysiące profesorów pracujących uczciwie, uprawiających naukę, bo ich nie widać i nie słychać. Tych kilku, chociaż przykładów byłoby więcej, dorabia gombrowiczowską gębę całej reszcie. Mało tego, mogą uchodzić za autorytety od wszystkiego, bo do wszystkiego dokleją swój profesorski tytuł i nie mniej profesorską pychę.

Takie „filary nauki" plus głęboka orka uniwersytetów (Konstytucja dla nauki) w dużej mierze anihilowały pojęcie uczelni jako intelektualnej i społecznej mennicy. A jakie uczelnie, tacy studenci. Co każdy prowadzący zajęcia wie i widzi. Nie tylko dzisiaj nam brakuje mądrych młodych ludzi, ale także jutro i pojutrze ich nie będzie.

Oficjalnie hołdujące nauce i metodom naukowym uczelnie poszły w stronę lewicowych utopii, utworzyły gender studies, stanowiska pełnomocników równościowych, zachęcały godzinami rektorskimi do udziału w wulgarnych marszach. Stały się opozycyjną stroną w sporze z władzą, tak jak rzecznik praw obywatelskich, skądinąd również doktor habilitowany i profesor prywatnej uczelni. Poglądy zastąpiły wiedzę, a punkty prawdę. Gdzieś głęboko i zapewne naiwnie tkwię w tradycjach szkoły lwowsko-warszawskiej. Jestem zatem naukowym wnukiem Kazimierza Sośnickiego, Tadeusza Czeżowskiego czy Izydory Dąmbskiej. Uczyła i egzaminowała mnie prof. Elżbieta Zawacka, współpracowałem z wybitnym Zbigniewem Kwiecińskim, skądinąd lewicowym profesorem socjologii wychowania, uczestniczyłem w wykładach Karola i Konrada Górskich (nie byli spokrewnieni!), Artura Hutnikiewicza czy Zofii Abramowiczówny. A przecież takich jak ja jest całe pokolenie. Wciąż żyjemy i jeszcze pracujemy! I dlatego, patrząc na dzisiejsze uniwersytety, a raczej na ich pozostałości nie znajduję określenia, by nazwać to, co się z nimi stało. Zapewne mój pogląd zostanie uznany za skrzywiony. Lokuję się bowiem w najszerzej rozumianej humanistyce, ale to stąd właśnie rekrutują się najbardziej medialni reprezentanci akademickiej elity. Innej perspektywy zresztą nie mam.

> Nic tak bardzo nie straciło na wartości jak słowa. Niemal w każdej dziedzinie życia krok za siewcami pszenicy podążają siewcy perzu

* * *

Rządzący nie mają władzy i mieć jej nie będą, bo zawsze będą mieli pod górkę z wrogimi mediami, które prawdę mówią tylko przez pomyłkę, z wrogimi uczelniami, które są szafarzami darmowego dobra w postaci dyplomów i tytułów naukowych, z sądami bezwstydnie nieobiektywnymi, z postinteligentnymi parlamentarzystami i całą resztą tych, którzy są w stanie oddać suwerenność Polski w zamian za odsunięcie Kaczora od władzy. Spalą własny dom, byleby w nim spłonęła teściowa. Nie znajduję dla tego właściwej nazwy. Nic bowiem tak bardzo nie straciło na wartości jak słowa. Niemal w każdej dziedzinie życia krok za siewcami pszenicy podążają siewcy perzu.

Przyglądam się swojej bezradności językowej i jałowości prób adekwatnego nazwania tego, co widzę i słyszę, czego doświadczam. Natrętnie wraca pytanie, na które odpowiedź lokuje się zapewne na pograniczu psychiatrii, antropologii, socjologii, nauk o ewolucji. Co bowiem musi się stać z ludzkim umysłem, jakiemu naciskowi musi ulec, jak bardzo mózg musi zmienić kształt fałd i pod jakim wpływem, aby wykształceni gruntownie ludzie kultury, sztuki, mediów, nauki mówili i czynili tak, że nie można tego nawet nazwać?

Nie będzie żadnego spektakularnego końca świata, zatonięcia Atlantydy czy zniszczenia Pompejów. Bo na to trzeba sobie zapracować. Nas czeka dalsze i systematyczne cuchnące gnicie, butwienie, zmienianie się wielkie, bezpłodne nic. I nikt na świecie po nas nie zapłacze.

eprasa.pl 28be6bae23

Francis F. Coppola mówi o nim: „Jest jedną wielką niewiadomą, bo zdolny jest do wszystkiego". Gary Oldman potrafi mieć na ekranie wiele twarzy. Czy najnowsza rola – tytułowego „Manka" – przyniesie mu drugiego Oscara?

Zdolny do wszystkiego

Fot. Netflix

eprasa.pl 28be6bae23

Fot. Netflix

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Wystylizowany, czarno-biały „Mank" zdobył kilka dni temu rekordową liczbę oscarowych nominacji (w tym dla najlepszego filmu i reżysera, Davida Finchera). Wśród dziesięciu kategorii jest też pierwszoplanowa rola męska. Gary'ego Oldmana nie mogło zabraknąć wśród finałowej aktorskiej piątki.

OBYWATEL MANK

Po raz kolejny – znakomicie wykorzystując do stworzenia postaci także swoją fizyczność – zmienił się na ekranie niemal nie do poznania. Tym razem zrobił to dla Hermana J. Mankiewicza. Postaci autentycznej – autora oryginalnego scenariusza do jednego z najważniejszych filmów w historii kina, „Obywatela Kane'a". Mankiewicz (do spółki z reżyserem Orsonem Wellesem) zdobył za niego Oscara. Oby była to dobra wróżba dla Oldmana.

Obraz Wellesa trafił do widzów w 1941 r. Hollywood lat 30. zostało w nim przedstawione krytycznie, wręcz zjadliwie. W takie też realia wpisał się – w filmie nakręconym 80 lat później – tytułowy Mank, uzależniony od alkoholu autor, który w dwa miesiące ma stworzyć scenariusz do nowego filmu. Balansujący na granicy karykatury Oldman nie odebrał swojemu bohaterowi wiarygodności. Stworzył postać, która współgra z opowiadaną historią, klimatem dawnych lat i wizją reżysera. Można się o tym przekonać, oglądając film na platformie Netflix, dla której został zrealizowany.

SPLĄTANI I MROCZNI

Za sprawą „Manka" po raz trzeci będzie walczył o Oscara. Jedną statuetkę już zdobył. W 2018 r. przyniosła mu ją ekranowa postać Winstona Churchilla z „Czasu mroku" Joego Wrighta, dla której przeszedł spektakularną fizyczną metamorfozę. Sześć lat wcześniej zdobył pierwszą nominację dzięki głównej roli w thrillerze Tomasa Alfredsona „Szpieg".

W filmografii Oldmana nie brak poplątanych, niejednoznacznych postaci. Są też ewidentnie czarne charaktery, jak skorumpowany glina Norman Stansfield – wcielone zło z „Leona Zawodowca" Luca Bessona czy wabiący mrocznym urokiem Dracula, przywołany na ekran przez Francisa F. Coppolę. Kiedy pada nazwisko aktora, przed oczami widzów przesuwa się galeria twarzy, różnorodnych nie tylko za sprawą charakteryzacji. Znajdzie się wśród nich ekscentryczny alfons Drexl („Prawdziwy romans" Tony'ego Scotta), oszpecony Mason Verger („Hannibal" Ridleya Scotta), przestylizowany Zorg z „Piątego elementu" Bessona, ale też terrorysta z „Air Force One" Wolfganga Petersena, komisarz Gordon z filmów o Batmanie Christophera Nolana czy Syriusz Black (seria o Harrym Potterze).

PRAWDZIWE HISTORIE

Jest też w filmografii aktora nurt, który – łącząc różne gatunki i formy kreacji – wypełniają bohaterowie wzorowani na autentycznych postaciach.

Jak Sid Vicious – wypalony przez narkotyki muzyk grupy Sex Pistols z filmu „Sid i Nancy" (1986). Dla tej postaci (i pierwszej głównej roli) 28-letni aktor gotowy był na premierową w karierze totalną metamorfozę. W ciągu dwóch miesięcy zrzucił 18 kg i... trafił do szpitala. By wejść w postać, nie tylko słuchał na okrągło kaset Sida, ale też chodził w jego butach (pożyczonych od matki muzyka) i brał lekcje gry na basie. Stworzył poruszającą kreację. Potem wcielał się m.in. w dramaturga Joego Ortona („Nadstaw uszu" Stephena Frearsa), Lee Harveya Oswalda („JFK" Olivera Stone'a) czy Ludwiga van Beethovena. Na planie „Wiecznej miłości" Bernarda Rose'a sam wykonywał utwory mistrza. Grać na fortepianie nauczył się jako nastolatek, ze słuchu; potem opanował nuty.

DLA SYNÓW

Jego życie to gotowy scenariusz na film. Chłopak z kiepskiej londyńskiej dzielnicy, pamiętający z dzieciństwa domowe akty przemocy i alkoholizm ojca, członek gangu... postanawia zostać aktorem. By to osiągnąć, wraca do szkoły, którą przerwał jako 16-latek, potem zarabia na studia, pracując, gdzie się da. Od sklepu z butami po rzeźnię. Marzy o słynnej Royal Academy of Dramatic Art, ale na egzaminach słyszy, by zajął się czymś innym. Wychodzi z postanowieniem: „Ja wam jeszcze pokażę". I to mu się udaje. Chociaż po drodze musi m.in. dowodzić, że jest idealny nie tylko do ról psychopatów, szaleńców i kryminalistów. Mierzy się też z prywatnymi demonami.

Etap alkoholizmu rozlicza reżyserskim debiutem „Nic doustnie". Mroczny dramat o patologicznej robotniczej rodzinie dedykuje ojcu. Mówi: „Wiem, że mam tę chorobę w genach, ale nie wolno mi się poddać. Choćby dla synów". Ma z nimi dobry kontakt (Alfie, Gulliver i Charlie są już dorośli), chociaż rozwodził się cztery razy. Z piątą żoną (od 2017) oprócz obrączek dali sobie identyczne tatuaże z napisem „Go & Gigi" (tak się do siebie zwracają).

25 kwietnia, podczas 93. gali rozdania Oscarów, okaże się, czy „Mank" da Oldmanowi kolejną aktorską statuetkę. Tymczasem na premierę czeka już kolejny film – „Flying Horse". Oldman jest jego reżyserem, scenarzystą i odtwórcą głównej roli, inspirowanej autentyczną postacią – wynalazcy i pioniera ruchomej fotografii Edwarda Muybridge'a.

eprasa.pl 28be6bae23

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wracam do Winnych chętnie

„Patrzymy na naszą przeszłość z ciekawej, niezużytej, ba ledwie tkniętej perspektywy. O obronie polskości mówi się w tym serialu bez zadęcia. I za to lubię »Stulecie Winnych«" – tak pisałem po drugim sezonie tego serialu TVP. Teraz jesteśmy po dwóch odcinkach sezonu trzeciego. I co, Piotrze Zaremba, nadal ci się podoba? Przed tym powrotem do rodziny Winnych z Brwinowa pod Warszawą zerknąłeś na ostatnie odcinki serii poprzedniej.

Zacznę od początku: wprawdzie chwaliłem, ale też się czepiałem. Ałbena Grabowska, lekarka i na poły Bułgarka, od której książkowej sagi rodzinnej się zaczęło, umie stwarzać świat prostych emocji. Ale jej wiedza historyczna nie jest wielka. Scenariusz pisał sztab pod kierunkiem Ilony Łepkowskiej. I miał nie większe rozeznanie. Kolejni reżyserzy – Piotr Trzaskalski, Piotr Śliskowski i Michał Rogalski – mogli poszukać konsultanta z prawdziwego zdarzenia, nie zrobili tego.

To nie jest kwestia detali czytelnych tylko dla historyków. Każdy Polak starszych generacji wie, że w roku 1952 (koniec poprzedniej serii) był Urząd Bezpieczeństwa albo po prostu UB, a nie Służba Bezpieczeństwa. Niektóre błędy dotyczą sfery języka. Rzecz dzieje się na Mazowszu. Tam ktoś kto miał z kimś innym wspólnego dziadka, nazywał go stryjecznym albo ciotecznym bratem (siostrą), a nie kuzynem (kuzynką) – jak w zaborze pruskim. Tym to ważniejsze, że to opowieść o rodzinnych uczuciach.

Całe wątki wydawały się fantastyczne, choćby ten, jak pierwszy mąż Andzi, grany przez Tomasza Włosoka, unika kary śmierci i jest ekspediowany za granicę, bo zaszantażowano panią prokurator. Ten system nie był w 1952 r. tak dziurawy. Początek trzeciego sezonu przynosi nowe wpadki. Pokazuje nam się sprawę zabójstwa Bogdana Piaseckiego, syna szefa Paxu Bolesława, ale jego ojca nazywa urzędnikiem KC. Rozumiem zakamuflowanie postaci, ale czy w roku 1958 partyjny funkcjonariusz posyłałby syna do katolickiego liceum? Nonsens.

Więc się złoszczę. I... oglądam. Bo na Polskę patrzymy z perspektywy zwykłych ludzi, właściwie chłopów, chociaż awansujących w podwarszawskiej osadzie. Oni rzadko byli do tej pory bohaterami. Bo sceny z pierwszej czy drugiej wojny światowej są naprawdę mocne i prawdziwe. Bo może w opowieści o stalinizmie scenariusz staje się nazbyt martyrologiczny. Ale to wciąż jest o ludziach miażdżonych przez historię, zagubionych, miotanych przez różne wiatry. Większość z nas pochodzi od takich bohaterów.

Dostajemy sporo sentymentu wychodzącego poza filmowe schematy. I dwie wspaniałe role: Kingę Preis jako matkę rodu (w trzecim sezonie już nie żyje) oraz Jana Wieczorkowskiego jako jej syna Stacha. Aktorów dzieli rok różnicy, ale oboje zagrali bezbłędnie starzenie się i relację rodzicielki z potomkiem, bez uciekania się do sztuczek z brytyjskiego „Crown", gdzie podstawia nam się wraz z upływem serialowego czasu nowych aktorów.

Wymianie podległy za to w trzecim sezonie córki Stacha, całkiem dobre: Karolinę Bacię i Weronikę Humaj zastąpiły Urszula Grabowska i Magdalena Walach. A są i znakomite

mniejsze role, choćby Arkadiusz Janiczek jako brat Stacha Władek czy Katarzyna Kwiatkowska jako jego żona Kazia albo Stefan Pawłowski jako towarzysz życia jednej z córek. Oni mają jeden dar: zżywamy się z nimi. Tak jak z naszymi rodzicami czy dziadkami.

Jedziemy teraz od roku 1956 do lat 70. Bez trzymanki, czyli bez konsultanta historycznego, ale obdarzani dużą porcją empatii, najczęściej nieprzesłodzonej. A fakt, że Wieczorkowski nie dostał za swoją kreację telekamery... Nie przestaję się dziwić światu.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Kościół i duch czasów

ROBERT TEKIELI

Zapytałem ostatnio Tomka Terlikowskiego, który w totalnych mediach wielokrotnie piętnował winy Kościoła katolickiego, w tym pedofilię, czy można ratować Kościół, korzystając ze wsparcia ludzi go nienawidzących? Napisał, że uprawiam populizm. Sam posługuje się w polemice etykietami w sposób identyczny jak jego lewicowo-liberalni sojusznicy. Jednak powinienem mu podziękować, że jestem tylko populistą. Poprosiłem go, żeby się zastanowił, kiedy nazwie mnie faszystą.

Dzieci trzeba bronić. Ale wrogów Kościoła nie obchodzą gwałcone dzieci, chcą tylko zniszczyć Kościół. Tomek Terlikowski wybrał sojusz z nimi. Ale nie jest to jedyna droga. Notabene dowodem na to, że agresywnej stronie cywilizacyjnego sporu nie chodzi o obronę gwałconych dzieci, jest to, że bronią swoich pedofilów, celebrytów i artystów. Wtedy ofiary nie są ważne.

Ludzie aktywnie zwalczający Kościół katolicki mają wobec niego wiele oczekiwań. Cały czas chcą go zmieniać. Robili tak marksiści, robią to dziś marksiści kulturowi. Ale dlaczego, jeśli nie należą do naszej wspólnoty? Powinni przecież tolerować zdanie odmienne, zgodnie ze swoimi poglądami głoszonymi wszem wobec. A próbują wypchnąć religię z życia publicznego.

Co równie zastanawiające, niektórzy z nich chcą wymusić na księżach akceptację sprawowania obrzędów dla ludzi niewierzących i dla ich uczestnictwa w sakramentach. Ateiści chodzą do kościoła tylko z okazji pogrzebów. Działają czasami z pobudek politycznych, jak w przypadku Wojciecha Jaruzelskiego. I nie ma tu znaczenia, że ponoć pojednał się z Bogiem tuż przed śmiercią. Chwała Panu! Ale powinien być to cichy pogrzeb, a nie budząca zgorszenie publiczna demonstracja siły byłych komunistów. Wbrew pozorom jest to istotny element presji na katolików.

Innym sposobem ataku na Kościół są histerycznie nakręcane oczekiwania, że już jutro, w następnym dokumencie, papież dopuści kobiety do sprawowania Eucharystii czy pobłogosławi związki homoseksualne albo osoby mające małżeństwo sakramentalne, które żyją w kolejnym związku. A potem, kiedy przedstawiciele Kościoła potwierdzą niezmienne nauczanie w fundamentalnych sprawach, te same media nakręcają spiralę hejtu na „zacofany Kościół". Wykluczenie błogosławieństwa dla związków homoseksualnych jest dla Kościoła rzeczą oczywistą. Zrobienie newsa z takiej deklaracji Kongregacji Nauki Wiary jest absurdalne. Lewica po prostu otwiera nowy front w wojnie z katolicyzmem.

Ludzie aktywnie zwalczający Kościół katolicki mają wobec niego wiele oczekiwań. Cały czas chcą go zmieniać. Robili tak marksiści, robią to dziś marksiści kulturowi. Ale dlaczego, jeśli nie należą do naszej wspólnoty? Powinni przecież tolerować zdanie odmienne, zgodnie ze swoimi poglądami głoszonymi wszem wobec. A próbują wypchnąć religię z życia publicznego

Nie będę tu wspominał, bo wiele o tym pisano, o zakłócaniu mszy świętych oraz o symbolicznych oraz fizycznych atakach na świątynie i kapłanów. Jeden z takich ataków zakończył się śmiercią zaatakowanego księdza. To coraz bardziej dojmująca rzeczywistość. A ci wszyscy agresywni ludzie i media będące ich tubami nie są sojusznikiem ludzi Kościoła. Tomek Terlikowski uwiarygodnia środowisko zaprzyjaźnione z ludźmi mającymi krew na rękach. Napisałem to ponad rok temu, symetryzm jest nieporozumieniem.

W Polsce nie ma walki dwóch plemion. Z jednej strony są obrońcy rodziny, Kościoła i patriotyzmu, z drugiej ci, którzy przyjechali tu na sowieckich czołgach, ich synowie i wnuki. Mordercy Pileckiego, „Inki" i „Lalusia", zabójcy Grzegorza Przemyka, księdza Jerzego, Staszka Pyjasa oraz ich spadkobiercy, nie wspominając o pożytecznych idiotach. Rozmowa z nimi jest niemożliwa. Dialogujący z nimi myślą „postęp" i „rozwój". Adam Michnik myśli: „odebranie Kościołowi władzy nad duszami".

Nasza wspólnota nie może się poddać. Kościół nie może iść z duchem czasów, ma iść za Duchem Świętym. W naszej wspólnocie istnieje lobby, które myśli, że ratunkiem dla Kościoła jest dostosowywanie się do tego, co w danej chwili niesie świat. A jest dokładnie odwrotnie, to czasy powinny się dostosować do Kościoła. Wtedy ludzie mają szansę na normalne rodziny, społeczeństwa i narody.

eprasa.pl 28be6bae23

POPKULTURA

Warte Niedawno odbyła się premiera animacji pt. ***„Co w duszy gra"***, o której głośno na całym świecie i której wróży się niejednego Oscara. Musieliśmy zapomnieć o kinach, ale na szczęście nowa produkcja Disneya i Pixar Animation Studios jest do obejrzenia na platformie Disney+. Film w czasie świątecznego tygodnia 2020 r. wiódł prym wśród pełnometrażowych produkcji VOD na całym świecie.

„Co w duszy gra" jest bajką wzruszającą, z dobrym przekazem, dającą do myślenia, jednocześnie zabawną i dobrze zrobioną. Opowiada o szkolnym nauczycielu muzyki, Murzynie, który marzy o tym, by grać jazz. Gdy w końcu ma szansę spełnić to marzenie, wpada do dziury na drodze i ginie. Idzie do zaświatów. Umarł, ale chce wrócić na ziemię, więc ucieka z drogi prowadzącej do światła (nieba), w dalsze zakamarki zaświatów. Dzięki spędzonej tam przygodzie i ponownemu chwilowemu powrotowi na ziemię przekonuje się, że muzyka wcale nie jest całym i jedynym sensem życia.

W bajce mamy parę motywów niepokojących, choćby synkretyczna wizja życia duchowego – dziś wejście w wymiar duchowy przez medytację i szamańskie sztuczki jest niebezpieczne, a wyjście poza swoje ciało skrajnie niebezpieczne. Z tych powodów bajka nie jest niestety dla małych dzieci, ale te starsze mogą ją obejrzeć, choć koniecznie rodzice powinni porozmawiać z dzieckiem po seansie. Inne warstwy tej produkcji są OK. Mnie na przykład urzekło nowo powstałe słowo – bebło – opisujące wszystko to, do czego jesteśmy zmuszani, a czego nie chcemy.

W filmie mamy historię z morałem: nie warto uczestniczyć w wyścigu szczurów, samo życie, zachwycanie się nim w pełni, jest bardzo ważne dla każdego człowieka. Warto się rozsmakować w rzeczach drobnych, dodających istnieniu kolorów. Na przykład powoli zjeść kawałek supersmacznej pizzy, posłuchać ludzi u fryzjera czy popatrzeć na jesienne drzewa z feerią kolorów. Że banalne, że znacie? To obejrzyjcie.

POPKULTURA

Niewarte Platforma Netflix zapowiedziała właśnie kontynuację serialu ***„Dziewczyny nad wyraz"***, którego cztery dotychczasowe sezony pojawiły się w tym serwisie streamingowym (wcześniej produkcję tę można było oglądać na HBO). To wariacja na temat „Seksu w wielkim mieście", ale o młodszych, dwudziestokilkuletnich kobietach, które spełniają się wspólnie w pracy dla popularnego magazynu modowego „Scarlett".

W serialu, jak pisze „Glamour", jest „dużo mody i garderoba wypełniona fancy ubraniami", w której to garderobie można „bawić się w przebieranki", docinać sobie na temat „wielkości penisa aktualnego partnera" oraz przypominać, że „fajnie jest być dziewczyną, która nie potrzebuje faceta, by czuć się lepsza, piękniejsza i mądrzejsza". Cóż, girl power czy sisterhood zobowiązuje. Serial bardzo mocno promują lewicowe media, jest bowiem na wskroś feministyczną, genderową produkcją. Pokazano w nim już chyba wszystko, co jest złe, obce nam kulturowo, spaczone i antywartościowe. Małżeństwo jest niepotrzebne kobiecie do szczęścia, za to orgie owszem. Nawet nie warto tego dalej wyliczać. Choć pomysł walki o prawo do dobrych wibratorów bardzo mnie wzruszył.

KULTURA

Warte A teraz chciałem zachęcić do wejścia na kanał Anny Chodakowskiej na YouTube zatytułowany ***„Przeżyj to sam z poezją"***. Aktorka prezentuje na nim swoje interpretacje „Cyganki" Władysława Broniewskiego, „Spotkania z Chopinem" i „Prośby o wyspy szczęśliwe" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego oraz „Mszy Wędrującego" Edwarda Stachury. Artystka śpiewa też piosenki – „Zawieszeni" („Jeszcze na cud czekamy"), słowa Jerzy Andrzej Masłowski, oraz „Nic nowego". W zalewie śmieciowej popkultury warto choć przez kilkanaście minut posłuchać wierszy Gałczyńskiego i Broniewskiego, dwóch poetów, którzy mimo swych życiowych i ideologicznych wpadek, słowem operowali w sposób wręcz niewyobrażalny. To dobrze, że wspaniali aktorzy zaczynają się komunikować z publicznością za pomocą mediów społecznościowych. Im chyba nie grozi lewicowa cenzura.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 28be6bae23

Wyzwolenie

Jakie to pyszne wywrócenie stołu, przy którym siedzi syta, zadowolona „polska prawica". Jaka odwaga, która sięga dalej niż polityka

Wojciech Stanisławski

Czy żal mi czytelników, którzy kupią „Wdowę smoleńską" tylko dlatego, że rozeszła się plotka o strasznym skandalu? Ani trochę. Najstarsi bibliofile pamiętają jeszcze żarcik Boya, który za sanacji wydał „Rozprawę o metodzie" Kartezjusza przepasaną banderolą „Tylko dla dorosłych". Mało którego wydawcę stać dziś na druk banderoli, w dziedzinie książek dla dorosłych też niemało się wydarzyło, napiszmy jednak z całą mocą: ta powieść rzeczywiście ma potencjał ogromnego skandalu (przynajmniej towarzyskiego), niesie z sobą obietnicę pojedynków, procesów i fochów. Mimo że kompletnie nie o skandal w niej chodzi.

Posiada zaś ten potencjał, mimo że nie ujawnia żadnych kompromitujących prawd, ani prawdziwych, ani wyssanych z palca. Jedna czołówka „Wyborczej", jedna odsłona Onetu zawiera pewnie więcej plotek, pomówień, a czasem po prostu danych o błędach czy niezgrabności szeroko pojętego „obozu władzy" niż 200 z okładem stron „Wdowy". To może zresztą jest właśnie znaczące: skoro nie ma w tej powieści (podkreślmy raz jeszcze, powieści!) żadnych tropów czy newsów, które mogłyby zainteresować najbardziej nieżyczliwego PiS dziennikarza OKO.press czy „Newsweeka", to gdzie tu skandal?

Właśnie. Skandalem może się okazać sam ton tej książki, zaskakujący dla wielu jak okrzyk dziecka o królu pozbawionym szat. A więc można w taki sposób wyrażać opinie o kręgu, mimo wszystkich jego wad, bliskim: cierpko, ironicznie, szczerze, bez dodatku tego osobliwego smaru, jakim jest wazelina zmieszana z drobno sproszkowanym marmurem? „Wdowa smoleńska" nie jest w żadnym razie powieścią polityczną, nie toczy się w środowisku administracji, w tajnych gabinetach. Owszem, pojawiają się w niej posłowie, poeci, publicyści, ale jeśli traktuje ona o polityczności, to na poziomie praktyk medialnych i urzędowych. Jeśli opisuje konkretne zachowania, to naddatek pochlebstw, serwilizmu i przemilczeń. Takie zachowania pojawiają się w pobliżu każdej władzy. „Każdej" oznacza jednak: również obecnej.

Owszem, obecność publicystów i wydawców może być jednym z paliw skandalu – jest to bowiem powieść nie tyle „z kluczem", ile – jeśli trzymać się metaforyki ślusarsko-budowlanej – z taranem. Wielu bohaterów pseudonimizowanych jest przez Horubałę w sposób ostentacyjnie przejrzysty, chociaż i tak dla niejednego czytelnika lektura może się okazać wymagającym testem. Czy rzeczywiście należysz do świata „prawicowej medialnej warszawki"? Jeśli tak, bez trudu się domyślisz, kto zacz Szuwar (znany nam zresztą już z poprzednich powieści Horubały), Szuwar, któremu „blond włosy się przerzedziły, ale jeszcze stać go na mysią kitkę, więc wygląda całkiem hipisowsko", kim jest Kros, a kim mnich z „wachlarzami uszu, upodabniającymi go do starego słonia". Domyślisz się i tam, gdzie pseudonimów nie trzeba, bo wiadomo przecież, w tym nie tak wielkim świecie, kim jest autor programów telewizyjnych Jan, kim poseł Konrad, a kim redaktor naczelny Paweł. A dla szperaczy lub niedoinformowanych znajdą się i dwa tuziny nazwisk.

Skoro jednak nie ma klucza, nie ma potrzeby się skupiać na sztubackich dociekaniach who is who. Decydujący dla tej powieści okazuje się ton – cierpki, rzeczowy, czasem drwiący, czasem gniewny. Zaskoczyć on zresztą może tylko tych, którzy nie znali pisarstwa Andrzeja Horubały, nie wiedzieli, że jest on z tych, którzy nigdy nie odmówią sobie radości wytargania tygrysa za wąsy: im groźniejszego, tym lepiej. A podobnym gestem, to nie ulega wątpliwości, jest pisać w tak często ksobnym, tromtadrackim, niedostrzegającym śmieszności zbytniego patosu świecie polskiej prawicy: o laurkach wystawianych bez umiaru zmarłemu tragicznie prezydentowi. O wewnętrznej cenzurze, o pożerających się frakcjach. O praktykach, których najwyrazistszym obrazem pozostaje

eprasa.pl 28be6bae23

scena korytarzowa z „Człowieka z żelaza", z redaktorem czmychającym do WC, by nie zauważono go obok reporterki w niełasce. Telewizja? – pisze Horubała. – „Zwyzywałem od faszoli tych redaktorków z telewizji, gdy nie chcieli mi zaakceptować Janka Wróbla jako współprowadzącego wesoły program o historii Polski [...], bo co, jeśli Wróbel w swojej audycji radiowej skrytykuje PiS albo Prezesa?... No co? Trzeba go będzie zwolnić, tak?".

Właśnie. Jeszcze jedno nazwisko, jeszcze jedna scenka, może i fikcyjna, kto powie, że niemożliwa, niewiarygodna? Cała polityczna warstwa powieści Horubały mogłaby mieć za motto kilka wersów z Barańczaka. „Jak to się stało, żeśmy się zaczęli/ w to bawić? W te igraszki słów? W te kalambury,/ przejęzyczenia, odwrócenia sensu,/ W tę lingwistyczną poezję?". Oczywiście, to „Sztuczne oddychanie", najpierw krążące w samizdacie, potem wydane w Londynie, u schyłku gierkowskiej dekady – a ostatnie zdania „Wdowy..." brzmią jak prośba i manifest zarazem: „Odetchnąć głęboko. O tak, nabrać powietrza. Głęboko. Do końca".

Tyle że ten manifest nie dotyczy tylko komeraży warszawskiej prawicy, krążącej między kilkoma redakcjami, jedną anteną i jednym ministerstwem. Cała ta powieść, również na płaszczyznach znacznie ważniejszych i bardziej intymnych od polityki, okaże się jednorodna, jeśli przyjąć, że jej prawdziwym tematem jest testowanie granic własnej szczerości, sprawdzanie, jaka gdzie leży granica mówienia i wyznawania prawdy: kłopotliwej, bolesnej, obnażającej. Konfesji. Solilokwium. Spowiedzi. Czy ta próba w pełni się udała? Czy w ogóle może się w pełni udać? Tego nie wiem; wiem, że została podjęta, z wielką odwagą.

Tak, punktem wyjścia dla fabuły jest głośne przed trzema laty odejście Andrzeja Horubały w geście sprzeciwu z redakcji jednego z tygodników. Od tego zaczyna się powieść, której narrator stawia sprawę równie jasno co realny Horubała: „W pewnych sprawach rzecz powinna być jednak jasna: [...] ludzie, w tym kraju nie można Żydów określać mianem parchów. I już".

Potem jednak zaczyna się plątanie ścieżek – i tylko czytelnik bardzo naiwny uzna, że powieściowy Andrzej tożsamy jest z Andrzejem podpisanym na okładce. Będzie to przy tym czytelnik nieoczytany, któremu umknęło, że podobna gra podjęta została przez Horubałę już w jego debiutanckiej powieści „Farciarz". I że, dodajmy, współczesna proza i sylwa w znacznej mierze stoją podobnymi grami z czytelnikiem, czy podejmował je Konwicki, czy Waugh, czy mrowie biegłych w literackich zabawach Francuzów. Że w chwili, gdy zbyt

Andrzej Horubała,
„Wdowa smoleńska albo niefart",
Nowa Konfederacja, 2021

już się opatrzyło przebieranie autora za całkowicie odeń odmiennego bohatera, przymierzanie plumaży Madame Bovary, trzeba zacząć tę rozgrywkę od drugiego końca, od przebrania jednego z bohaterów za autora.

Oczywiście: liczne gwoździe, liczne nity łączą narratora z rzeczywistym autorem: nie są to już tylko imiona najbliższych, sytuacje zawodowe, intrygi medialnego światka, ale rzeczy i doświadczenia najbardziej własne, sięgające tej definiującej nas jak trzy ćwieki triady: birth, copulation and death. I wszystkie zgorszenia komentatorów „Wdowy...", że jakże tak można o Kancelarii... o biskupie... będą niczym wobec pytania o to, jak można tak o wylewie. O trisomii. O Tullamore Dew na skórze. O pragnieniu cudzej śmierci. Gdyby coś podobnego napisał 20-latek, można by go zbyć albo ofuknąć. Przy podobnej prozie napisanej przez męża i ojca milczy się, na jaką kto chce nutę: osłupienia. Wstydu. Wdzięczności.

Te nity „rzeczywistości pozapowieściowej" spajają różne warstwy powieści, nad którą zawodowy krytyk pokiwałby z uznaniem głową: że tak przypomina „Miazgę" Andrzejewskiego (i podobne jej teksty) w ukazywaniu podszewki pisarskiej, niepowodzeń fabularyzacji, sklejania tekstu z rozproszonych zapisków. I znów: gdyby była to powieść debiutancka, łatwiej przyszłoby podejrzewać, że urwane wątki, niespójności intrygi są skutkiem przeoczenia. Pamiętając sprzed roku „Mniszka", precyzyjnego jak chronometr, myślę, że te chropowatości są zamierzone, że ta nitowana odwołaniami do realności zbroja powieści miała pozostać niedokończona. Rozerwana wręcz – nie z zewnątrz, cięciem czy szrapnelem, lecz od środka.

Bo też, powtórzmy, warstwy tej powieści łączy właśnie znużenie zbrojami, które zostały założone u progu tej koszmarnej dekady i które przywarły do ciała, nie dają żyć i spać. Jedne z nich kryją pustkę, inne trąd, jeszcze inne wstyd. I nagle okazuje się, że dla autora tak rycerskiego jak Horubała (w odwadze, w zaczepności, w braku ugrzecznienia) jedynym możliwym gestem okazuje się zrzucenie tych blach, podniesienie przyłbicy. Roztrącenie mar i masek, wyzwolenie – jak w krakowskim dramacie sprzed wieku.

Prawica polska od lat, marząc o odważnym chuliganie, wielbi Andrzeja Bobkowskiego – bezpiecznego już, stojącego na niejednym biurku w postaci eleganckiej figurki z drzewa balsa, poręcznej w obiegowych sporach. Ciekaw jestem, czy będzie potrafiła rozpoznać jego tropy, jego hardość w powieści Andrzeja Horubały.

eprasa.pl 28be6bae23

Nowy Ład po odpowiedzialnym rozwoju

Plany społeczno-gospodarcze ogłaszane przez Zjednoczoną Prawicę powinny pozostać jedynie pięknymi projektami, zestawem życzeń i dobrych intencji jak przedwyborcze obietnice, które wszyscy oklaskują, ale nikt nie wierzy w ich realizację. Tak byłoby najlepiej dla opozycji. Problem w tym, że rząd Mateusza Morawieckiego konsekwentnie realizuje swoje programy. I te projekty przynoszą wymierne efekty

MACIEJ WOŚKO

Zapowiadany program Prawa i Sprawiedliwości Polski Nowy Ład ma szansę stać się kolejnym już realizowanym z determinacją impulsem rozwojowym nie tylko dla gospodarki, lecz – co podkreślał w wypowiedziach na temat tego projektu prezydent Andrzej Duda – dla polskich rodzin. O ile dotychczasowe strategie rządu koncentrowały się bowiem właśnie na gospodarce, o tyle tym razem mamy do czynienia z programem dotyczącym swoistego dobrobytu obywateli.

Szukając dziś opisu państwa dobrobytu, państwa, które nie pozostawia obywateli ani gospodarki samymi sobie, państwa „opiekuńczego" – co w sytuacji pandemii COVID-19 i szalejącej w całej Europie trzeciej fali zakażeń zmienia to pojęcie w oczekiwany przez społeczeństwo model gospodarczy i polityczny – należałoby sięgnąć właśnie wprost do założeń Polskiego Nowego Ładu.

eprasa.pl 28be6bae23

PIERWSZY RAZ PO 1989 R.

Sformułowanie „po raz pierwszy od 1989 r." w trakcie ostatnich sześciu lat padało niezwykle często. Obóz Zjednoczonej Prawicy po wyborach w 2015 r. uzyskał większość parlamentarną pozwalającą po raz pierwszy na samodzielne głosowanie ustaw w parlamencie. Większość parlamentarna niesie z sobą pewną swobodę, była pierwszym po 1989 r. powyborczym bonusem dla PiS, stanowiła jednak dla rządzących pewną pułapkę. Wszystko, co zostanie uchwalone, wszystkie działania i ich skutki idą na konto rządzących. Ogłoszone w kampanii wyborczej programy społeczne, o których opozycja mówiła wprost, że na to „piniendzy nie ma", należało wcielić w życie. Rodzina 500+ okazała się programem, który pierwszy raz od 1989 r. zmienił zupełnie krajobraz społeczno-gospodarczy i przyniósł efekty, których – zakładam – nawet architekci wymiernego wsparcia rodzin nie przewidzieli. Choć program nie wpłynął wyraźnie na dzietność ani nie zmienił demograficznych trendów w Polsce, dał polskim rodzinom – po raz pierwszy od 1989 r. – comiesięczny zastrzyk finansowy, który sprawił, że ubóstwo zaczęło spadać, a konsumpcja zaczęła rosnąć. Złośliwe w założeniach komentarze o lodówkach kupionych z 500+, pralkach, meblach i samochodach wyrwanych z rodzinnych budżetów wspartych rządowym „półtysiącem" okazały się dla gospodarki nieplanowanym w ekonomicznych prognozach dopalaczem. To z kolei musiało się przełożyć na poziom płac, poziom zamożności, konsumpcję, a w efekcie także na produkcję.

Choć daleko jestem od tezy, że za sukcesem gospodarczym Polski ostatnich lat stoi jedynie program Rodzina 500+, ale dzięki niemu rząd pokazał, że to się może udać. Pierwszy raz od 1989 r. ugrupowanie wygrywające wybory poważnie potraktowało przedwyborcze obietnice i konsekwentnie, punkt po punkcie, rozpoczęło ich realizację. Czy Polacy uwierzyli, że można traktować kampanię wyborczą poważnie? Wynik wyborów w 2019 r. wydaje się to potwierdzać.

Jest jeszcze jeden element charakterystyczny dla planów i obietnic obozu Zjednoczonej Prawicy. Po raz pierwszy od 1989 r. większość sejmowa położyła na stole programy wykraczające daleko poza wyborczą arytmetykę i czteroletnie okresy sprawowania władzy. To strategie, projekty, inwestycje i intencje wybiegające na lata w przód, układające działania podejmowane przez administrację publiczną w konsekwentnie realizowany proces.

JAK W KORPORACJI

14 lutego 2016 r. ówczesny wicepremier, minister rozwoju Mateusz Morawiecki przedstawił pierwsze założenia Planu Odpowiedzialnego Rozwoju – projektu działań, które podjąć powinna klasa polityczna, by uniknąć sformułowanych na kilkudziesięciu slajdach pułapek i przedefiniować sposób współdziałania ustawodawców, rządu i gospodarki. I choć plan Morawieckiego opozycja ochrzciła natychmiast „pokazem slajdów", z którego nic nie wynika, rok później Sejm przyjął Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

To na podstawie SOR powołany został wtedy Polski Fundusz Rozwoju – instytucja, której zadaniem było m.in. skoordynowanie planów i działań wszystkich rządowych instytucji rozwojowych, których kompetencje przez lata krzyżowały się i nierzadko wzajemnie wykluczały, powodując niejasną konkurencję. Jak istotna i brzemienna w pozytywne skutki była to decyzja, przekonaliśmy się kilka lat później, gdy PFR przyjął na siebie zadanie koordynacji tarczy finansowej – bezprecedensowej, bezpośredniej pomocy udzielonej przez państwo przedsiębiorstwom, którym przyszło się zderzyć z pierwszymi skutkami kryzysu spowodowanego pandemią COVID-19.

Strategia Morawieckiego zakładała m.in. zmianę paradygmatu stosunków między państwem, administracją rządową a gospodarką – przedsiębiorcami. Po raz pierwszy od 1989 r. państwo stawało się aktywnym uczestnikiem gospodarki. A to musiało się nie podobać liberalnym ekspertom ekonomicznym opozycji, wedle których rolą państwa było przecież „nie przeszkadzać" w gospodarczym rozwoju wolnego rynku, budować jedynie „przyjazne otoczenie prawne" i w żadnym razie nigdy nie wpływać bezpośrednio na procesy ekonomiczne w przedsiębiorstwach. Mateusz Morawiecki, podsuwając przykłady globalnych korporacji, które wyrosły na publicznych, państwowych witaminach, wprost sygnalizował, że to rząd wskaże kierunki rozwojowe istotnych z punktu widzenia narodowej gospodarki sektorów i branż. I na wszelkie sposoby będzie je wspierał.

To kolejny element SOR, którego znaczenie trudno przecenić w kontekście wydarzeń z 2020 r. Wiosną – po pojawieniu się pierwszej fali koronawirusa w Europie, gdy rząd ogłaszał pierwszy lockdown w Polsce – równolegle ruszyły prace nad pomocą skierowaną bezpośrednio do przedsiębiorstw. Na niespotykaną dotąd skalę rząd wpompował w gospodarkę ponad 100 mld zł. Wracam do tej bezprecedensowej i uruchomionej błyskawicznie akcji pomocy z myślą o tych, którzy uparcie obstawali przy twierdzeniu, że państwo nie powinno ingerować w procesy gospodarcze, że rząd nie powinien być uczestnikiem, a jedynie „nocnym stróżem", bo przecież „niewidzialna ręka rynku" wszystko naprawi.

Plan Morawickiego, choć można oczywiście wyciągać dziś projekty, które wciąż się nie powiodły (choćby obśmiewana przez lata elektromobilność), był korporacyjnym planem działania państwa, opartym na doświadczeniu obecnego premiera właśnie z zarządzania dużym przedsiębiorstwem. Jakie są efekty realizacji wizji i przestróg ze slajdów z 2016 r.? Wyniki polskiej gospodarki wchodzącej w 2020 r. w największy po II wojnie światowej kryzys gospodarczy. Liczby, które pozwalają nam na osiągnięcie wyjątkowo optymistycznych prognoz na 2021 r.

NA ROZGRZANYM SILNIKU

Warto przypomnieć, że w rok 2020 Polska wchodziła z pierwszym po 1989 r. zrównoważonym budżetem. Udało się wyrównać wreszcie dochody i wydatki publicznych finansów. To, czego potrzebowaliśmy, do czego namawialiśmy – do inwestycyjnego optymizmu, eksportowego impulsu dla polskich firm działających coraz śmielej na globalnym rynku i... oszczędności, a raczej

eprasa.pl 28be6bae23

rozsądku w dysponowaniu pieniędzmi, zarówno w skali makro, w gospodarce, jak i w gospodarstwach domowych – w skali mikro. A potem pojawiła się pandemia, runęły łańcuchy dostaw, w wielu miejscach na świecie przemysł zamarł. Szczęśliwie Polska wchodziła w ten kryzys na rozgrzanym silniku, z dobrymi wynikami gospodarczymi. To pozwalało jednak mieć cień nadziei, że uda się przetrwać pandemię.

Marzec 2021 r. Już wiemy, że polska gospodarka przebrnęła przez pierwszy covidowy rok z sukcesem. Wyniki i twarde liczby szczęśliwie przeczą wszystkim czarnym scenariuszom kreślonym od pięciu lat, nie spełniają się prognozy dotyczące niezwykle trudnego roku 2020, naznaczonego globalnym kryzysem. Produkcja, popyt, eksport, sytuacja na warszawskim parkiecie, który zyskuje zainteresowanie inwestorów reprezentujących mocne rynki, wzrost PKB, a także – mimo wszystko – dobra sytuacja związana z opanowaniem społecznych skutków pandemii – wysokość płac, poziom bezrobocia, pozwalają obalać kolejne mity budowane uparcie od pięciu lat. Według danych Komisji Europejskiej Polska może zanotować za ubiegły rok jedną z najniższych recesji w Unii Europejskiej. W 2020 r. PKB Polski spadł o 2,8 proc., choć jeszcze jesienią prognozowano, że polska gospodarka zmniejszy się nawet o 3,6 proc.

„Nie grożą nam czarne scenariusze w postaci trwałego spadku stopy wzrostu polskiej gospodarki. Ja dość optymistycznie patrzę na kolejne trzy lata przy założeniu ustabilizowania się sytuacji zdrowotnej" – mówił prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys podczas sesji „Gospodarka po pandemii – nowe otwarcie. Europa w odbudowie – nowe wyzwania".

Tuż przed konferencją prezes PFR zamieścił na Twitterze znamienny wpis: „W kontekście dyskusji o efektach planu Morawieckiego warto przypomnieć główny cel: »Poziom PKB na mieszkańca (PPP)... osiągnie 75–78 proc. średniej unijnej w 2020 r.«. Poziom dochodów osiągnął 77 proc. Tym samym zrealizowany został najważniejszy cel #SOR z jednoczesnym wzrostem spójności".

POLSKI PLAN NA KRYZYS

Powstanie Polskiego Nowego Ładu zapowiadane było dziesięcioma hasłami, których dotyczyć będzie nowy plan rządu na przeprowadzenie polskiej gospodarki i obywateli przez – jak mocno wierzymy – ostatni etap kryzysu spowodowanego bezpośrednio przez epidemię COVID-19. Pytanie, jakie stawiają sobie ekonomiści od dobrych kilku miesięcy, dotyczy bowiem wykorzystania szansy, którą daje globalne spowolnienie, tak by Polska z jej dobrymi na tle Europy danymi znalazła się wśród krajów, które paradoksalnie na kryzysie wygrają nowy impuls rozwojowy.

> Nowy program PiS, choć dotyczy najbliższych lat, wybiega daleko w przód, łamiąc wyborcze kalendarze – jego skutki odczuwać będziemy bowiem znacznie dłużej

„Przez ostatnie lata udowodniliśmy, że mamy dobry plan dla Polski i potrafimy go skutecznie realizować. Dotrzymujemy słowa – mówił premier Jarosław Kaczyński, prezes Prawa i Sprawiedliwości, zapowiadając prezentację Polskiego Nowego Ładu. – Myślimy o przyszłości, dlatego przygotowaliśmy kompleksowy program, który pozwoli Polsce rozwijać się jeszcze szybciej, Polakom zapewnić dobrze płatne miejsca pracy".

„Czas na Polski Nowy Ład, wielki program rozwoju Polski, nasz plan powrotu do normalności i naszą nadzieję na bezpieczną przyszłość" – mówił premier Mateusz Morawiecki.

Polski Nowy Ład będzie zgodnie z zapowiedziami dotyczył dziesięciu obszarów aktywności państwa. To przede wszystkim Plan na Zdrowie, ale też Uczciwa Praca – Godna Płaca, Dekada Rozwoju, Rodzina i Dom w Centrum Życia. Są też elementy odwołujące się wprost do polskiego rolnictwa – Polska – Nasza Ziemia, edukacji – Przyjazna Szkoła i Kultura na Nowy Wiek, wypracowanej w ostatnich latach doskonałej komunikacji między administracją a biznesem – Dobry Klimat dla Firm i oczywiście zielonej transformacji – to program Czysta Energia – Czyste Powietrze. Nie zabrakło miejsca dla technologicznej rewolucji, w której Polska uczestniczy z sukcesami – CyberPoland 2025. Zestaw strategicznych programów PiS i rządu zamyka projekt działań skierowanych do seniorów – Złota Jesień Życia.

Nowy program PiS, choć dotyczy najbliższych lat, wybiega daleko w przód, łamiąc wyborcze kalendarze – jego skutki odczuwać będziemy bowiem znacznie dłużej, do czego przyzwyczaiły nas już strategie tego rządu. Inwestycje w zieloną energię, zmiany technologiczne w urzędach, zmiana paradygmatów w kontaktach między administracją a przedsiębiorcami i obywatelami, dbałość o pracowników i w końcu – wsparcie polskich rodzin, mogą się stać impulsami rozwoju i pomóc Polsce wykorzystać szanse, jakie daje kryzys.

Rząd opiekuńczy i równocześnie zdecydowany, podejmujący często niepopularne wśród komentatorów decyzje – a takim dał się poznać rząd Mateusza Morawieckiego – jest w czasach nadzwyczajnych tym elementem rynkowej gry, który może przechylić szalę w stronę gospodarczego sukcesu. I choć nikt rozsądny nie jest dziś w stanie przewidzieć wszystkich skutków gospodarczych pandemii, jedno jest pewne – po strategii stymulowania gospodarki, wspierania zrównoważonego rozwoju, unikaniu pułapek średniego wzrostu i promowaniu innowacyjności właśnie przyszedł czas na nowy, zmodyfikowany przez pandemię plan rozwojowy.

Autor jest redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej"

eprasa.pl 28be6bae23

Szanse na zatrzymanie SMA

Rdzeniowy zanik mięśni (SMA, ang. spinal muscular atrophy) jest przewlekłą, postępującą chorobą układu nerwowego o podłożu genetycznym i jedną z najczęstszych przyczyn zgonów noworodków na tle genetycznym przed drugim rokiem życia. Nieleczona pierwsza postać SMA w ponad 90 proc. przypadków prowadzi do zgonu lub konieczności stosowania ciągłej wentylacji

Rocznie w Polsce rodzi się ok. 50 noworodków z SMA. Według danych epidemiologicznych większość z nich choruje na najcięższy typ 1. Dane dotyczące liczby kopii genu SMN2 oraz typu SMA w przypadku pacjentów nowo zdiagnozowanych, w szczególności bezobjawowych, nie są dostępne, ze względu na brak badań przesiewowych w kierunku SMA. Ta sytuacja na szczęście ulegnie wkrótce zmianie. Od kwietnia br. wprowadzone zostaną badania przesiewowe noworodków w kierunku SMA – w celu objęcia programem wszystkich noworodków w latach 2023–2026.

– Czas odgrywa tutaj olbrzymią rolę. Szybkie wykrycie choroby daje szansę rozpoczęcia leczenia zaraz po urodzeniu, w tym leczenia programami lekowymi. Chociaż diagnostyka przyspieszyła, na razie do programów wprowadzamy głównie dzieci objawowe. Badania przesiewowe dadzą szansę tym najmniejszym, jeszcze przed wystąpieniem objawów – mówi dr Magdalena Władysiuk, ekspert ds. systemu ochrony zdrowia, wiceprezes HTA Consulting.

SMA należy do chorób rzadkich, wymagających kontynuowania zmian systemowych w celu poprawy jakości opieki i odpowiedzi na potrzeby polskich pacjentów. Wprowadzenie badania przesiewowego, włączenie nowych leków do programu lekowego, objęcie chorych opieką skoordynowaną oznacza poprawę sytuacji nie tylko najmłodszych pacjentów, lecz również dorosłych z SMA.

– Na początku tego roku prezes AOTMiT pozytywnie zaopiniował włączenie badania w kierunku SMA do narodowego programu badań przesiewowych u noworodków. Decyzja wynika z tego, że diagnoza i wprowadzenie leczenia przed pojawieniem się objawów SMA są kluczowe dla maksymalizacji efektów leczenia, co jednak wymaga objęcia badaniami przesiewowymi całej populacji noworodków. Jest to zmiana, którą można określić jako przełomową – podkreśla Marzanna Bieńkowska, zastępca dyrektora Departamentu Dialogu Społecznego i Komunikacji Biura Rzecznika Praw Pacjenta.

Do niedawna pacjenci z rdzeniowym zanikiem mięśni mieli dostęp wyłącznie do leczenia objawowego. Przełomem w terapii SMA okazało się wprowadzenie na rynek leków modyfikujących przebieg choroby. Na świecie zostały zarejestrowane trzy leki o takim działaniu: nusinersen (Spinraza, refundowana w Polsce), onasemnogen abeparwowek (Zolgensma, dziś na wykazie technologii lekowych o wysokim poziomie innowacyjnosci) i risdiplam (zarejestrowany w USA w zeszłym roku).

> Ustawa o Funduszu Medycznym, podpisana 20 października 2020 r. przez prezydenta Andrzeja Dudę, jest odpowiedzią na oczekiwania społeczne dotyczące finansowania leków i świadczeń medycznych, szczególnie w obszarze chorób rzadkich i onkologicznych. Ustawa o FM pierwszy raz w Polsce wprowadza oficjalnie pojęcie innowacyjności w zakresie technologii lekowej i dedykowany im specjalny budżet.

– W ostatnich latach możemy obserwować poszerzenie opcji terapeutycznych dla chorych na rdzeniowy zanik mięśni. Od 2019 r. refundowany jest – w ramach specjalnego programu lekowego – nusinersen. Do leczenia tym lekiem kwalifikowani są przedobjawowi i objawowi pacjenci z rozpoznaniem SMA. Eksperci bardzo pozytywnie oceniają skuteczność kliniczną tego leczenia – mówi Marzanna Bieńkowska.

Przełomowa terapia genowa – onasemnogen abeparwowek (Zolgensma) działa z wykorzystaniem unikatowego mechanizmu polegającego na dostarczeniu do jąder komórkowych pacjenta prawidłowej kopii genu SMN1 – delecje oraz dodatkowe mutacje genu SMN1 warunkują powstanie fenotypu SMA. Terapia genowa działa na bezpośrednią przyczynę choroby i podawana jest raz w życiu. Leczenie daje szansę na eliminację fenotypu SMA w populacji – terapia działa bezpośrednio na przyczynę choroby, a przed wystąpieniem objawów SMA to też szansa na dłuższe życie, poprawę jego jakości, zmniejszenie kosztów systemowych wynikających z opieki medycznej przez następne lata.

Lek Zolgensma został już zatwierdzony w 38 krajach i ponad tysiąc dzieci otrzymało terapię. W Polsce lek trafił do wykazu technologii lekowych o wysokim poziomie innowacyjności. A dzięki wprowadzeniu Funduszu Medycznego, otwierającego nową ścieżkę dostępu do terapii innowacyjnych, już niedługo będzie jednym z refundowanych leków, który lekarz prowadzący może dobrać dla swojego pacjenta.

– Pod koniec lutego tego roku AOTMiT przygotowała po raz pierwszy wykaz technologii lekowych o wysokim poziomie innowacyjności, co wynika z przyjętej niedawno ustawy o Funduszu Medycznym. Wśród ujętych w wykazie 11 technologii z zakresu chorób rzadkich i nowotworowych znalazł się onasemnogen abeparwowek, który zgodę od Europejskiej Agencji Leków otrzymał zaledwie kilka miesięcy temu. Jest to terapia genowa skierowana do najmłodszych pacjentów, u których nie pojawiły się jeszcze objawy SMA. W ramach tego innowacyjnego leczenia pacjentowi podaje się tylko jeden zastrzyk. Technologie znajdujące się w wykazie zostaną teraz poddane procesowi opiniowania, a następnie przygotowana zostanie ostateczna lista, na podstawie której minister zdrowia będzie mógł podjąć negocjacje z firmami farmaceutycznymi dotyczące refundacji poszczególnych leków ze środków Funduszu Medycznego – dodaje Marzanna Bieńkowska z Biura Rzecznika Praw Pacjenta.

Anna Niczyperowicz

eprasa.pl 28be6bae23

Przywróćmy sprawiedliwość

MACIEJ PAWLICKI

25 marca zapadnie jeden z najważniejszych wyroków Sądu Najwyższego w ostatnich dekadach. Od kilkunastu lat państwo polskie jest tak słabe, że pozwala, by drapieżne, głównie zagraniczne firmy łupiły kilkaset tysięcy polskich rodzin, stosując sprzeczne z prawem „umowy kredytowe”

Banki – z pełną świadomością działania niezgodnego z prawem – sprzedały kilkuset tysiącom polskich rodzin ryzykowne instrumenty finansowe, nazywając je „kredytami frankowymi”. Doskonale wiedząc o ryzyku – jak to zawsze robią przy tego typu transakcjach – zabezpieczyły się, wykupując (za pieniądze klientów) instrumenty ochrony zwane „swap” czy CIRS (Cross-currency Interest Rate Swap). Zniosły one ryzyko, ale tylko dla banków, całkowicie przerzucając je na klientów, z których 99 proc. nie było o tym poinformowanych i zostało złapanych w pułapkę. Proceder ten doprowadził do tragedii kilkudziesięciu tysięcy polskich rodzin, które – mocą państwowych instytucji działających niestety wbrew prawu, o sprawiedliwości nie wspominając – pozbawiono mieszkań i domów, powodując dramaty, rozpady rodzin, choroby, samobójstwa.

Na szczęście w ostatnich dwóch latach wyroki sądowe w ogromnej większości przywracają sprawiedliwość, polskie sądy stają po stronie grabionych przez banki klientów.

Droga do tej sprawiedliwości jest jednak długa i trudna. Przełomem był 3 października 2018 r., gdy Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał precedensowy wyrok w sprawie państwa Dziubaków przeciwko bankowi Raiffeisen, stwierdzając nieważność umowy „kredytu walutowego”. Stało się to wskazaniem dla wielu sędziów i przyniosło sprawiedliwość w wielu sprawach. Pozytywną rolę na drodze do przywrócenia prawa i sprawiedliwości w tym obszarze odegrał Rzecznik Finansowy. Przyjrzawszy się wnikliwie sprawom, wydał wiele orzeczeń, stając po stronie oszukanych klientów i wskazując na abuzywność (bezprawne wykorzystywanie przewagi ze szkodą dla jednej ze stron) umów na owe niby-frankowe niby-kredyty. W 2019 r. Sąd Najwyższy wydał co najmniej trzy orzeczenia, decydując o odfrankowieniu kredytów (choć przecież franków nigdy w nich nie było) oraz jeden wyrok o nieważności „umowy kredytowej”.

BANKOWI LOBBYŚCI ATAKUJĄ

Tymczasem w ostatnich tygodniach agresywni bankowi lobbyści posuwają się do wywierania presji na Sąd Najwyższy, by nie kierował się prawem. Kilka organizacji lobbystyczno-biznesowych podpisało wspólny list, w którym mają

eprasa.pl 28be6bae23

czelność pouczać sędziów Sądu Najwyższego, że powinni się oni w swym orzeczeniu kierować... interesem banków. Czyli zapomnieć o obowiązującym prawie, zapomnieć o elementarnej sprawiedliwości, a hołubić tych, którzy świadomie oszukali, grabili, grabią i bardzo chcą grabić dalej.

W podobnym tonie głos zabrali rektorzy czterech uczelni ekonomicznych, ogłaszając, że sądowe wyroki unieważniające abuzywne umowy to „odejście od reguł gospodarki rynkowej", że „w gospodarce rynkowej korzystanie z cudzego kapitału ma swoją cenę...", że „sięganie po produkt zwany potocznie kredytem walutowym nie leży daleko od podejmowania wysoce ryzykownych inwestycji, jak to było w przypadku Amber Gold czy SKOK Wołomin". Nazwali też rektorzy kredytobiorców „chciwymi ryzykantami". Nie skomentuję kompetencji i etycznych kwalifikacji owych czterech rektorów, choć mocne słowa cisną się na usta.

W odpowiedzi na fałszerstwa zawarte w listach lobbystów stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu (SBB) skomentowało sześć pytań dotyczących rozbieżności w sądowych wyrokach w sprawach kredytów pseudowalutowych, na które ma odpowiedzieć Sąd Najwyższy. „Inicjatywa jest konieczna ze względu na fakt wydawania wyroków sprzecznych z polskim prawem, a także wbrew wykładni przepisów unijnych i orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej". Wobec „napastliwej kampanii, pełnej przekłamań dotyczących skutków ekonomicznych oczekiwanej uchwały Sądu Najwyższego" SBB przedstawiło „faktycznie poniesione już skutki społeczne" umów pseudofrankowych.

„W latach 2005–2009 banki sprzedały blisko milion tego typu umów. Kredyty te zostały udzielone osobom o przeciętnych dochodach... W latach 2009–2020 banki zarobiły w Polsce 160,3 miliardów złotych... W latach 2008–2020 wypowiedziano ponad 30 tys. umów takich kredytów. Co przyniosło tym rodzinom 8 miliardów rzeczywistych strat już poniesionych. Kwota ta nie obejmuje strat związanych z kosztami egzekucji komorniczych. Straty ponieśli także pozostali kredytobiorcy i budżet państwa. W swoim raporcie Narodowy Instytut Studiów Strategicznych szacuje, że bierność państwa polskiego tolerującego nieuczciwe instrumenty finansowe kosztuje społeczeństwo 22 mld zł rocznie, co jest równoważne 1,22 proc. PKB i oznacza ubytek podatkowy budżetu 3,85 mld zł rocznie".

Dziś banki podnoszą alarmistyczne głosy o rzekomych skutkach ekonomicznych uchwały Sądu Najwyższego, jednocześnie nie wskazując, dlaczego egzekwowały abuzywne umowy bez zmian, pomimo wielu wyroków Sądu Ochrony Konsumenta zapadających od 11 lat. Banki nie mówią też, kiedy oddadzą nielegalnie pobrane (dawniej mówiono: ukradzione) pieniądze w latach 2005–2020 ani w jaki sposób naprawią sytuację polskich rodzin, którym nielegalnie odebrały majątki.

SBB stwierdza, że skutkiem uchwały będzie wreszcie zrównanie praw banków z kredytobiorcami i przywrócenie praw setkom tysięcy rodzin oraz egzekucja prawa. Odnosząc się do istoty sześciu pytań, na które ma odpowiedzieć Sąd Najwyższy, stowarzyszenie stwierdza „brak możliwości zastąpienia klauzuli niedozwolonej dotyczącej sposobu ustalania kursu innym przepisem prawa lub zwyczajem oraz że liczne wady prawne tych umów powinny prowadzić do ustalenia ich nieważności od chwili ich zawarcia".

Banki starają się też oszukanych klientów zniechęcić do składania pozwów sądowych o unieważnienie umowy, zastraszając rzekomo należnym wynagrodzeniem „za wykorzystanie kapitału". Stowarzyszenie SBB wyjaśnia: „Jeżeli takie wynagrodzenie byłoby należne, to przede wszystkim od banków dla kredytobiorców, którzy przez lata regulowali raty, przy jednoczesnym obciążeniu ich nieruchomości hipotekami banków, a także w przypadku niektórych – przy konieczności znoszenia skutków prowadzonych przez banki bez podstawy prawnej działań windykacyjnych".

MISSELLING, HAZARD, OSZUSTWO

Proceder sprzedawania klientowi czego innego, niż on sądzi, zwany jest misselingiem, w wielu krajach traktowany jest jako przestępstwo i karany więzieniem. Sytuację komentuje prawnik, ekonomista i finansista Ireneusz Łazarski: „Użycie kursu do wyznaczania wartości innych świadczeń stanowi grę na rynku finansowym, dopuszczalną wyłącznie za pełną wiedzą i zgodą klienta. Zawierając taką umowę, klient nabywa też walutową opcję, zgodnie z ustawą o obrocie instrumentami finansowymi. A z tym wiążą się daleko idące obowiązki informacyjne, których banki nie wypełniały w najmniejszym stopniu".

SBB, Łazarski i dziesiątki innych ekspertów są zdania, że gdyby faktyczny status umowy ujawniono klientom w trakcie negocjacji, pewnie żaden z nich umowy by nie podpisał. Prof. Jacek Kseń, który już w roku 2005, jako szef Banku WBK, przestrzegał przed wprowadzeniem takich pseudokredytów, w 2015 r. podsumował: „To było oszustwo, podobnie jak na polisolokatach i opcjach".

Włączenie indeksu do umowy o kredyt hipoteczny to wpuszczenie nieświadomego klienta w hazard, w grę w kasynie majątkiem całej rodziny przez kolejne 20–30 lat. Jest też niezgodne z naturą kredytu, klient bowiem sądząc, że kupuje stabilny kredyt hipoteczny, nabywa „instrument nie do obrotu, który wiąże go na lata z bankiem i rosnącymi ratami. Nierównowaga jest ogromna; całe ryzyko ponoszą konsumenci, rosną im zobowiązania, a bankom majątek i zyski... Bank stworzył franka z niczego!... A prezes NBP: „Przewalutowanie na złote to wielka strata! Tak nie można!". Otóż można, prezesie, nawet trzeba! – Transakcje te to trick indeksacyjny, a waluta CHF jak pojawiła się znikąd i tamże winna trafić – wyjaśnia Ireneusz Łazarski.

Sąd Najwyższy przechodzi niełatwy okres, sędziowie dzielą się na „starych" i „nowych", budowanie zaufania i współpracy przebiega powoli. Wierzyć jednak należy, że w sprawie chyba największego oszustwa finansowego III RP dokonanego przy wieloletniej bierności i nieskuteczności instytucji państwa, które bezpośrednio dotknęło kilka milionów Polaków, w sprawie która stanowi dziś 56 proc. wszystkich prowadzonych w Sądzie Okręgowym w Warszawie postępowań – zdoła osiągnąć sprawiedliwy werdykt.

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 28be6bae23

Z dumą reprezentuję Polskę

Z Igą Świątek, tenisistką, zwyciężczynią French Open i WTA 500 w Adelajdzie, oraz dr hab. Beatą Kozłowską-Chyłą, prezes PZU, rozmawia Kamil Gieroba (wGospodarce.pl)

Pani prezes, PZU postanowiło związać się z Igą Świątek trzyletnią umową sponsorską. Jakie korzyści widzicie w tej współpracy?

Beata Kozłowska-Chyła: Przede wszystkim uważamy, że wspierając obiecującą zawodniczkę, promujemy na arenie międzynarodowej Polskę jako kraj zdolnych ludzi i dużych możliwości. Ma to również znaczenie dla rodaków, w tym naszych klientów, co pokazują liczne komentarze osób dumnych z tego, że widzą Polkę odnoszącą sukcesy w świecie w stroju z logo polskiej firmy, tak mocno związanej z naszym krajem. Oczywiście współpraca z Igą Świątek współgra także z naszą strategią biznesową, w tym międzynarodową, i pomaga nam popularyzować markę PZU. Warto powiedzieć, że Grupa PZU jest największym podmiotem ubezpieczeniowo-bankowym w Europie Środkowo-Wschodniej, który obecnie działa w pięciu krajach. Poza Skarbem Państwa wśród akcjonariuszy mamy inwestorów instytucjonalnych i setki tysięcy mniejszych inwestorów – polskich i zagranicznych. Za sprawą gry i sukcesów oraz tego, jak inspiruje innych, Iga jest dla nas dobrym łącznikiem z młodym pokoleniem, dopiero wchodzącym na rynek i poszukującym bezpieczeństwa finansowego i zdrowotnego. Pokażą to wkrótce nasze działania reklamowe z udziałem Igi. Ale to dla nas tylko jeden z wielu aspektów tej współpracy.

Jakie są w takim razie pozostałe?

B.K.-Ch.: Jako główny partner Igi przyczyniamy się do popularyzacji tenisa i sportu w ogóle, a więc aktywnego i zdrowego trybu życia, co jest elementem naszej misji jako ubezpieczyciela. Ważne jest też to, że pomagamy rozwinąć

Fot. BRENTON EDWARDS/AFP/East News

eprasa.pl 28be6bae23

skrzydła tenisistce, która na korcie i poza nim pokazuje szacunek do rywalek, dojrzałość oraz ambicję, ale popartą ciężką pracą. Sam tenis to dyscyplina uniwersalna, kojarząca się z fair play. To wartości, które jako PZU chcemy promować. Słowem, jest to dla PZU i naszych akcjonariuszy uzasadnione przedsięwzięcie biznesowe, które pozwala nam realizować wiele ważnych i pożytecznych działań dla sportu, społeczeństwa i kraju.

Iga Świątek, tenisistka, i dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU

Igo, twoje sukcesy przyciągnęły ostatnio więcej dużych sponsorów. Czy to przypadek, czy chciałaś, by wśród nich była polska marka? Dlaczego zdecydowałaś się na współpracę z PZU?

Iga Świątek: Z dumą reprezentuję Polskę i chcę być ambasadorką naszego kraju na świecie. Dlatego zależało mi, żeby współpracować także z polskimi markami. PZU jako główny partner to najlepszy z możliwych wyborów. To firma nowoczesna, stabilna i bardzo perspektywiczna. Zapewnia poczucie bezpieczeństwa, co jest nieocenione w zawodzie tenisistki.

Ostatnio w ładnym geście zrezygnowałaś ze stypendium Polskiej Fundacji Narodowej, mówiąc, że bardziej przyda się innym. Czy to znaczy, że osiągnęłaś już stabilność finansową? Jak dużych wyrzeczeń rodziny wymagała kariera tenisowa budowana od młodych lat?

I.Ś.: Tenis zawodowy to drogi sport, wymaga dużych inwestycji, które zaczynają się zwracać dopiero na wysokim poziomie rozgrywek – a dotarcie tam nie jest niczym pewnym. Wymaga też poświęceń, czasu i inwestycji pozafinansowych, dlatego jestem bardzo wdzięczna tacie, że zdecydował się wspierać mnie przez tyle lat. Mam nadzieję, że będę mogła się odwdzięczyć, pomagając w rozwoju i popularyzacji tenisa w Polsce, by w przyszłości więcej młodych zawodników i zawodniczek dostało swoją szansę.

Za tobą długa wyprawa do Australii i Emiratów, cztery trudne turnieje, w tym zwycięski w Adelajdzie. Jak dużą część tegorocznego sezonu masz już zaplanowaną? Gdzie będziemy mogli cię oglądać?

I.Ś.: W dobie pandemii terminarz jest bardzo zmienny, wiele zależy od sytuacji w danym kraju i wprowadzanych obostrzeń sanitarnych, więc nic nie jest pewne. Za chwilę rozpoczynam turniej WTA 1000 w Miami. Po nim startuje sezon turniejów na ceglanej mączce, który rozpocznę najprawdopodobniej zawodami WTA 500 w Stuttgarcie w drugiej połowie kwietnia.

Jakie są najważniejsze cele kogoś, kto w młodym wieku odniósł już historyczne zwycięstwo w Roland Garros? Czy na którychś turniejach w tym roku wyjątkowo ci zależy, a może priorytety dotyczą jakości gry?

I.Ś.: Przede wszystkim chcę grać równo i konsekwentnie na wysokim poziomie sportowym, a to praca na lata. W tym roku na pewno bardzo mi zależy na dobrym występie na igrzyskach olimpijskich w Tokio, choćby z uwagi na rodzinną tradycję, gdyż mój tata był olimpijczykiem w Seulu w roku 1988. Przygotowuję się do nich jednak tak samo jak do każdego turnieju, by nie budować niepotrzebnej presji. Kort, piłki, rywalki – wszystko będzie takie jak zawsze, a kluczem będzie skoncentrowanie się na pracy i rutynie, zamiast na otoczce związanej z tak prestiżowymi zawodami.

W jakim stopniu nagły skok popularności, zainteresowanie mediów i opinii publicznej zmieniły rytm twojego życia? Co wynika z tego dobrego, a co jest uciążliwe lub nieprzyjemne?

I.Ś.: Dotąd właściwie nie spotkałam się z niczym negatywnym, nie doświadczyłam też hejtu. Zwycięstwa cieszą oczywiście kibiców, ale ważne jest dla mnie, że przegrane również przyjmują ze zrozumieniem i ufają, że mam czas i krok po kroku będę się rozwijała, korzystając z tych wszystkich doświadczeń. Otrzymuję bardzo dużo wsparcia od kibiców zarówno w mediach społecznościowych, jak i podczas spotkań bezpośrednich. Nawet niedawno po mojej konferencji pod budynkiem PZU czekali na mnie młodzi fani, którym zależało na wspólnych zdjęciach i autografach. To są bardzo miłe momenty, które dają mi siłę.

B.K.-Ch.: Warto dodać, że popularność Igi przekłada się już na pozytywną, zdrową modę wśród Polaków. Tak jak sukcesy i nazwisko Roberta Lewandowskiego wyciągnęły rzesze chłopców i dziewczynek na boiska, tak ona na nowo rozbudziła zainteresowanie Polaków tenisem. Wiele osób pod jej wpływem stawia właśnie pierwsze kroki na korcie.

Czy i jakie znaczenie w tak globalnym sporcie jak tenis, związanym z ciągłymi podróżami, mają dla ciebie powroty do Polski i do domu? Czy doping rodaków na kortach za granicą pomaga jakoś bardziej niż wszystkich innych kibiców?

I.Ś.: W Adelajdzie byłam zaskoczona tym, jak duża społeczność Polaków żyje w tym mieście i okolicy. Ich wsparcie na trybunach dało mi dużo, czułam pozytywną energię i po części zagrałam tak dobrze także dzięki temu. Mogę tylko mieć nadzieję, że kibice będą mogli z czasem wrócić na korty. To mój pierwszy rok w pełnym tourze, więc powroty do Polski są na krótko, dlatego tym bardziej je doceniam. Tutaj ładuję baterie.

eprasa.pl 28be6bae23

BEYONCÉ

Zielona Bey...

Królowa Bey nie pozwala o sobie zapomnieć. Kilka dni temu szum w ulu jej fanów wzmogła covidowa edycja nagród Grammy. Beyoncé do pokaźnej już kolekcji miała okazję dołączyć cztery kolejne statuetki (teraz ma ich 28).

Gwiazda błyszczała na gali, choć odrobinę show skradła jej 9-letnia Blue Ivy, która wraz ze słynną mamą otrzymała statuetkę za teledysk do piosenki „Brown Skin Girl". Blask Beyoncé nie tak łatwo jednak przytłumić czy przebić.

Ikona amerykańskiej popkultury zapracowała na opinię, że czegokolwiek się tknie, zamienia w złoto. Jej poparcie szeroko otwiera drzwi do biznesowego sukcesu. Przekonał się o tym Marco Borges – osobisty trener i dietetyk gwiazdy („roślinny guru" pracujący wcześniej m.in. z Jennifer Lopez i Shakirą) – który nakłonił Beyoncé do przejścia na zieloną dietę.

Borges to fizjolog sportu, ojciec czwórki dzieci, od ponad dwóch dekad propagujący „roślinny tryb życia". Wydał na ten temat sporo książek. Były wśród nich bestsellery. Dopiero jednak, gdy o jego „22 zasadach" zaczęła mówić królowa Bey i na dodatek wraz z mężem Jay-Z zdecydowała się napisać wstęp do najnowszej książki Borgesa, cały świat zatańczył na zielono.

Za sprawą wydawnictwa Znak Horyzont „Greenprint. Jak dzięki zielonej diecie uzdrowić siebie i świat" trafia właśnie do polskich czytelników. Znaleźć tu można wspomniane 22 zasady „zdrowego trybu życia i żywienia na bazie roślinnej". Są też trzy plany ich wdrożenia (w zależności od stopnia zaawansowania i determinacji czytelnika) dopełnione motywującymi historiami. Autor przytacza również ponad 60 przepisów (wraz z praktycznymi wskazówkami). Nie zdradza, niestety, po które z potraw najchętniej sięga Beyoncé.

Jolanta Gajda-Zadworna

Batat obfitości

(Przepis pochodzi z książki „Greenprint...")

Każdy kęs tego posiłku tryska smakiem: to doskonała kombinacja słodko-wytrawnego batata z czarną fasolą i jarmużem w sosie własnym oraz z kremowym sosem z orzechów.
Dwie porcje, przygotowanie: 5 min (plus 2–3 godz. moczenia), gotowanie: 45 min razem: 50 min

Składniki: 3 łyżki nieprażonych nerkowców, 2 średnie bataty, 1 łyżka oliwy, 1 puszka czarnej fasoli, odsączonej i opłukanej, 1 szklanka posiekanych liści jarmużu pozbawionych łodyg, ¼ łyżeczki soli morskiej plus do smaku, 1 łyżka płatków drożdżowych, sok z ½ cytryny, ½ awokado w plasterkach, świeżo zmielony czarny pieprz, drobno posiekany świeży szczypiorek do dekoracji.

Wykonanie: Umieść nerkowce w małej misce, zalej ciepłą lub gorącą filtrowaną wodą i odstaw na 2–3 godziny. Nagrzej piekarnik do 200°C. Wyłóż blachę papierem do pieczenia. Umieść bataty na przygotowanej blaszce i nakłuj kilka razy widelcem. Piecz od 45 min do godziny, aż będziesz mógł bez problemu nakłuć je widelcem. Czas pieczenia zależy od wielkości ziemniaka. (Aby skrócić czas pieczenia, można też przeciąć je na pół, położyć na blasze skórką do góry i piec przez 30–35 min). Postaw żeliwną patelnię na średnim ogniu i rozgrzej na niej oliwę. Dodaj czarną fasolę, jarmuż oraz szczyptę soli i podsmażaj, od czasu do czasu mieszając, aż jarmuż zmięknie, a fasola w pełni się podgrzeje. Utrzymuj temperaturę. Odcedź nerkowce i przełóż je do malaksera lub blendera o dużej mocy. Dodaj płatki drożdżowe, sok z cytryny, ¼ łyżeczki soli i 3 łyżki wody i miksuj na gładko. Delikatnie przekrój każdy batat wzdłuż. Zgnieć część miąższu, posługując się widelcem. Na każdą połówkę nałóż równą warstwę czarnej fasoli i awokado. Skrop sosem z nerkowców i przyprawy pieprzem. Posyp szczypiorkiem i podawaj.

Wskazówka: polecam przyszykować większą porcję sosu, przechowywać go w lodówce w szczelnym pojemniku i zużyć w ciągu tygodnia do innych dań.

Fot. Sky Cinema/Shutterstock, materiały prasowe

eprasa.pl 28be6bae23

SŁODKO-SŁONY

Kulki szczęścia

ANNA MONICKA

W krótce minie rok od wydarzenia, które wstrząsnęło światem, a zwłaszcza smakoszami klopsików z sieci IKEA. Otóż w trosce o dobre samopoczucie uzależnionych od Kottbullar osobników, którzy cierpieli z powodu pierwszego lockdownu (sama znam kilku fanów, którzy nie omieszkają skorzystać z promocji w stylu „zjesz 30, to następne 30 masz za pół ceny czy nawet za darmo"), sieć opublikowała przepis, żeby każdy mógł sobie w domu mięsne kulki zrobić. Ja już ich smaku nie pamiętam, bo odstawiłam mięso, ale kojarzą mi się wciąż cudownie z beztroskimi czasami, kiedy człowiek mógł usiąść przy stoliku w restauracji i ze spokojem, rozmawiając ze znajomymi, jeść, nie przejmując się zwisającą u brody maską i wciąż mutującymi wirusami.

U mnie w domu wyprawa na klopsiki wywoływała entuzjazm, cieszyły się nawet zwierzaki, bo zawsze przywoziliśmy im po kawałku.

Samo robienie kulek nie jest już tak fascynujące jak jedzenie, na dokładkę odziera je z tajemnicy, ale na szczęście przygotowanie dania trwa kilkanaście minut. Dla ułatwienia firma opublikowała przepis w formie obrazkowej, więc gotowanie przypomina składanie mebli.

Potrzebujemy pół kilograma mielonej wołowiny, ćwierć wieprzowiny, posiekaną cebulę, zgnieciony ząbek czosnku, pół szklanki tartej bułki, jajko, pięć łyżek mleka, sól i pieprz. Składniki ładujemy do miski i porządnie wyrabiamy. Kręcimy małe kulki, układamy na talerzu, przykrywamy ściereczką i wkładamy do lodówki, żeby mięso stężało. Teraz smażenie – na średnim ogniu na oleju, nie za długo, tylko do zrumienienia. Przekładamy do żaroodpornego naczynia i pieczemy pół godziny w piekarniku. Najlepsze są z kwaśnymi owocami, borówkami lub żurawinami. Świeże żurawiny można na poczekaniu utrzeć z cukrem i podawać do mięsa. Smakują wtedy rewelacyjnie orzeźwiająco, a ucieranie wydobywa z nich sok, zapach, witaminy. Co do klopsików? Nie ma to jak domowe frytki. Kiedy pierwszy raz je zrobiłam, dziecko nie mogło uwierzyć, że tak smakują pieczone w głębokim oleju ziemniaki. Doskonałe są również bataty. Trzeba tylko solidnie rozgrzać olej, a potem osączyć je z tłuszczu na papierowym ręczniczku.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Czym się żywił św. Jan

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Człowiekiem, który bezpośrednio zapowiedział przyjście Jezusa, był św. Jan Chrzciciel. Miejscem działania Jana była Pustynia Judzka. Żeby przeżyć na pustyni, Jan musiał posiadać umiejętności survivalowe czy też bushcraftingowe (od angielskich słów „bush" oznaczających dzikie zarośla i „craft", czyli rzemiosło).

Jan postawił na prostotę. O jego ubraniu wiemy, że była to sierść wielbłądzia i skórzany pas wokół bioder, podtrzymujący odzienie i nadający mu sportowy krój. Sierść wielbłądzia pochodziła zapewne od wielbłąda jednogarbnego, czyli dromadera *Camelus dromedarius*. Gdyby Jan miał wielbłąda lub niewielkie stadko, wystarczyłoby mu to do przeżycia na pustyni, podobnie jak wystarcza Beduinom. Jan nie miał jednak wielbłąda. Odzienie z wielbłądziej sierści, ze względu na właściwości włosia, chroni zarówno przed zimnem, jak i przed nadmiernym upałem, izolując od promieni słońca. Jest również ochroną przed kolczastą roślinnością i pustynnym, niosącym piasek wiatrem.

Pozostaje kwestia wyżywienia. Od św. Mateusza i św. Marka wiemy, że Jan żywił się „szarańczą i miodem leśnym". Zostawmy tym razem ciekawą kwestię miodu i przyjrzyjmy się „szarańczom". Do szarańczy zalicza się wiele gatunków owadów prostoskrzydłych, z wyglądu przypominających koniki polne. Najbardziej znana, w tym również z masowych, destrukcyjnych pojawów, jest szarańcza wędrowna *Locusta migratoria* i szarańcza pustynna *Schistocerca gregaria*. Owady te, kojarzone z pożeraniem upraw i wszystkiego, co zielone, same zjadane są także przez ludzi.

Czy jednak Jan żywił się szarańczą? Nie można tego wykluczyć, przede wszystkim jednak z natury rzeczy musiałoby to być pożywienie uzupełniające – poza okresowymi gradacjami szarańcza bytuje w zdecydowanie mniejszej ilości – poza tym nie pasuje to do wizerunku Jana Chrzciciela.

Pokarmem Jana mogła być nie szarańcza, ale szarańczyn strąkowy *Ceratonia siliqua*, czyli drzewo karobowe o owocach bogatych w cukry i smaku kakao. Niektórzy badacze zwracają uwagę, że greckim słowem *akris* określano nie tylko szarańczę, lecz także wydłużone strąki tej rośliny – i to one mogły stanowić podstawę pustynnego menu Jana Chrzciciela. Strąki karobu, zwane chlebem świętojańskim, były zapewne strąkami, którymi pragnął napełnić brzuch syn marnotrawny.

eprasa.pl 28be6bae23

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

TVN – nosił wilk razy kilka..., czyli studium przypadku

Pandemia chińskiej grypy rozsadza światową gospodarkę, kulturę, naukę. Destrukcyjnie wpływa też na media i dziennikarzy. Jedni rosną w siłę (np. GAFA), inni z wolna zapadają się pod własnym ciężarem. Taki przypadek w sposób spektakularny objawił się ostatnio także w Polsce. Dowiedzieliśmy się oto, że w jednej z telewizyjnych amerykańskich stacji sielanka przerodziła się w szybkim tempie w koszmar. Tę prawdę przykrywała zasłona milczenia do czasu, gdy pracownicy stacji rozpowszechnili dziesięciostronicowy anonimowy list, donosząc na swoich pracodawców.

DONOS NA TVN

Jeśli wierzyć temu, co napisali, w ostatnim czasie żyli w wielkim stresie i opresji. Wręcz w kręgu piekła. Pismo zatytułowano: „TVN Discovery – Destrukcja". Tak pewnie mogłaby się nazywać kolejna część przygód agenta Bourne'a...

Kopię listu rozesłano na cały kraj i świat do 142 podmiotów. Ich spis zajął trzy strony drobnym drukiem. W Polsce pismo otrzymało 111 instytucji i osób. Z informacją wystąpiono nie tylko do bratnich i zaprzyjaźnionych redakcji w rodzaju Onetu, „Gazety Wyborczej" czy „Faktu", lecz także do... Radia Maryja. Wiadomości wysłano na ręce o. Tadeusza Rydzyka, o. Piotra Andrukiewicza, o. Jana Króla oraz do redaktor naczelnej „Naszego Dziennika". Spodziewając się chyba (?), że wcześniejsza publicystyka TVN i jej medialne egzekucje założyciela Radia Maryja i jego słuchaczy w sposób szczególny skłoni ojców redemptorystów do wsłuchania się w opowieść o upadku amerykańskiej stacji.

Na liście 30 adresatów zagranicznych znalazły się przede wszystkim największe amerykańskie instytucje medialne od prawa do lewa. W tym m.in. dyrektorzy i prezesi CNN, Fox News, BBC News, Amazon, Disney, Facebook, Netflix i cała opiniotwórcza prasa od „New York Timesa", „New Yorkera" po „The Economist", „Financial Times" z rabinem Nowego Jorku na czele.

Jaki był efekt przerwania ciszy? Konsternacja i milczenie. Jakby ktoś pomylił pachnący salon z toaletą. Na polskim podwórku medialnym zareagowały tylko redakcje konserwatywne i Centrum Monitoringu Wolności Prasy, próbując się rozeznać w sprawie. Co nie było i w dalszym ciągu nie jest łatwe. List anonim roi się od szokujących treści, przypominając publiczne pranie brudów. Brzmi zaś jak karczemna rodzinna awantura.

Zajrzyjmy zatem do tej korespondencji. Pierwsza jej część to nostalgiczne wspomnienie z początków stacji i czasów jej założycieli: Mariusza Waltera i Janusza Wejcherta. Jawi się jako okres telewizyjnych gwiazd, najlepszych prezenterów, reporterów, dziennikarzy, a nawet asystentek. Kiedy – jak czytamy – ceniono sobie każdy dzień, w pracy „dochodząc do perfekcji". I tu następuje druga część opisu. Mowa jest o roku 2015, gdy firma została sprzedana. Do przetargu przystąpiła m.in. amerykańska firma Scripps Networks i stację kupiła. Dawny właściciel tuż po sprzedaży tłumaczył: „Musiałem was oddać, ale wiem, że oddaję w najlepsze ręce. Sprawdziłem to i wiem, jacy ludzie będą teraz rządzić, będą z Wami pracować".

W liście nie ma już jednak mowy o tym, dlaczego Walter sprzedał swój biznes. Warto więc przypomnieć. Jak donosiła wcześniej prasa, grupę medialną ITI (oprócz TVN tworzyły ją Onet i Multikino) najpierw dopadł kryzys finansowy

eprasa.pl 28be6bae23

z 2008 r., potem zmarł jej współwłaściciel Jan Wejchert. Po jego śmierci potomkowie Wejcherta zechcieli odebrać swoje udziały w firmie. Kwoty były duże – jak tłumaczył w jednym z wywiadów Mariusz Walter – musiało dojść do sprzedaży „rodowych sreber". Nie można było zaspokoić ich oczekiwań przez spółkę bez zaciągania kolejnych kredytów na wykup niektórych udziałowców. Jedynym zatem wyjściem – według Waltera – była sprzedaż w 2011 r. mniejszościowych udziałów Grupie Canal Plus i później, w roku 2015, wystawienie oferty zakupu pakietu kontrolnego TVN. W lipcu 2015 r. Scripps Networks Interactive przejął pakiet kontrolny w TVN za 580 mln euro. Oznaczało to 20 zł za jedną akcję TVN, cenę, jak zauważył „Forbes", jakiej inwestorzy nie widzieli od maja 2008 r., czyli od czasów przed kryzysem. Kwota wywoławcza Scripps za całą stację TVN wynosiła zaś 6,8 mld zł, czyli trzykrotnie więcej od wartości debiutu.

Po sprzedaży Walter był przekonany, tak przynajmniej publicznie wszystkich zapewniał, że wierzy w to, iż nabywca będzie rozwijał spółkę. Tak się jednak nie stało. Dwa lata później nowy posiadacz wystawił zakup na sprzedaż. Na szczeblu globalnym firmę kupiła korporacja Discovery, która już wcześniej chciała nabyć TVN, „ale Mariusz Walter do tego nie dopuścił. Teraz się to udało »deal done«" – czytamy w liście.

MOBBING, ZASTRASZANIE, WYKORZYSTYWANIE

W pewnym momencie za sterami firmy stanęła, jak pisano, „Kasia Kieli". Dalej w liście poświęcono jej dużo miejsca. Przedstawiona została jako osoba bez kompetencji, poza strukturami „TVN Grupa Discovery". A mimo to mająca „pełną decyzyjność, bez jakiejkolwiek odpowiedzialności". Znajdziemy opis skutków jej rządów. Poczynając od katastrofy wizerunkowej związanej z nielegalnymi szczepieniami kierownictwa stacji przeciwko COVID-19, kończąc na polityce personalnej. W tym liczne redukcje, zwolnienia kobiet w ciąży, matek rodzin wielodzietnych, mobbing. Praca w firmie – jak opisuje list – toczy się w atmosferze zastraszenia, skrajnej demotywacji, wykorzystania, kontroli, donosów. Wiele osób nieradzących sobie z panującą sytuacją miało korzystać z pomocy psychologów.

List roi się od wewnętrznych szczegółów, których normalnie żadna firma nie upublicznia. Ostatecznie na stronie siódmej czytamy, że Discovery to przestarzała machina kontentu telewizji kablowej, która na rynku przespała swój moment i dziś została wykluczona z gry. Discovery Global ma „olbrzymie trudności z utrzymaniem umów dystrybucyjnych dotyczących własnego kontentu" – informują autorzy listu.

PENSJA PÓŁ MILIARDA ROCZNIE

Interesujący fragment listu dotyczy prezesa Discovery. Dziennikarze piszą, że w 2018 r. jego pensja wyniosła prawie 130 mln dol., czyli 450 mln zł, co stanowiło prawie roczny zysk netto Grupy TVN. W roku 2019 nieco się pogorszyło, bo na jego konto wpłynęło już „tylko" 46 mln dol., czyli ok. 170 mln zł. Co stanowiło już „tylko" 1/3 zysku TVN. Autorzy listu, podsumowując ten wątek, piszą: „Dziś my wszyscy, jedna z największych polskich firm, największa polska telewizja, pracuje na pensję jednego człowieka – prezesa globalnego Discovery". Gdyby jednak ktoś miał wątpliwości, czy to wszystko prawda, może zajrzeć na strony https://twojezarobki.com/wynagrodzenia/vip/david-zaslav (odsłona 7 marca 2021 r.). Tam w rubryce zarobki Davida Zaslava można przeczytać: Prezes – Discovery – Stany Zjednoczone Ameryki; urodzony: 1960 Stany Zjednoczone Ameryki; rocznie: 502 090 828,00 zł; miesięcznie: 41 840 902,33 zł; tygodniowo: 9 655 592,85 zł; codziennie: 1 931 118, 57 zł.

Na koniec podpisujący się jako „pracownicy TVN" alarmują: „Uwierzcie, że nie jesteśmy w stanie dłużej tkwić w tak trudnej dla nas sytuacji".

CZY DISNEY KUPI TVN?

Niedawno w obszernym wywiadzie prasowym gwiazda stacji TVN, ostatnio prezenter wieczornych „Faktów", Piotr Kraśko na sugestie, że któraś ze spółek skarbu państwa mogłaby kupić TVN24, nie zaprzeczył, że taka transakcja mogłaby się zdarzyć. Zaznaczając, że jednak trudno jest mu to sobie wyobrazić. Prowadzący wywiad, jakby czując niepewność gwiazdy, z uporem drążył temat: „Amerykanie zapewnili was, że nie zrezygnują ze stacji TVN24?". Kraśko odpowiedział, że to wiedza powszechna, bo kiedy Discovery przejęło TVN, odbyło się spotkanie ze wszystkimi pracownikami, podczas którego właśnie o to zapytano. Przedstawiciele Discovery zapewnili, że nie mają takiego pomysłu ani nie rozważają takiej opcji. Dziennikarz jednak dalej dociekał i przytoczył stugębną plotkę krążącą po warszawskim bruku, iż Discovery planuje sprzedaż TVN Disneyowi. Kraśko znów odparł, że nic mu o tym nie wiadomo. Choć zna spekulacje zawarte w publikacji „Hollywood Reporter" o możliwości połączenia dwóch gigantów. „Jak do tej pory to się nie wydarzyło i nie wiem, czy dojdzie do tego w przyszłości" – skwitował.

WUJEK SAM I ONKEL HELMUT

Na razie stacja TVN i jej informacyjny kanał nadają. Wciąż słychać hasło „Cała prawda całą dobę". Nie wiadomo jednak, jak się rzecz zakończy. Prawdopodobnie z całej zapętlonej sytuacji dobrego wyjścia już nie ma. W 2015 r. wywiad Mariusza Waltera opublikowany na łamach „Forbesa" redakcja zajawiła na okładce informacją, iż „Walter żałuje, że sprzedał TVN". Kto miał zrozumieć ten przekaz, zrozumiał. Cztery lata później z redakcji TVN24 zaczęli się ewakuować najdłużej pracujący i najbardziej zasłużeni redaktorzy z Justyną Pochanke i redaktorem naczelnym Adamem Pieczyńskim, szefem pionu informacji TVN, po 18 latach kierowania TVN24. Potem nastąpiła już lawina odejść i zwolnień. A TVN stopniowo zmienia się w gorący kartofel i kolos na glinianych nogach, załamujący się coraz mocniej pod własnym ciężarem.

Dziś to studium przypadku do bólu przypominające o tym, że kapitał w mediach ma narodowość. Czy jednak jego przykład nauczy czegoś dziennikarzy i polityków opozycji śpiewających w jednym chórze przeciw Zjednoczonej Prawicy? Oni, bez względu na okoliczności, wierzyć będą niezachwianie, że pluralizm mediów i wolność słowa może zapewnić w Polsce jedynie Wujek Sam albo Onkel Helmut.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 28be6bae23

Polaku, jak sobie pościelesz...

Lech Makowiecki

Patrząc z perspektywy emeryta i dziadka, czuję się niejako zobowiązany do pouczania ludzi młodych. Ot, taka przypadłość wieku dojrzałego: człowiek chciałby – w dobrej wierze – podzielić się z małolatami swym życiowym doświadczeniem. Zwłaszcza gdy jakiś młodzian (młódka) tonem nieznoszącym sprzeciwu wygłasza dyrdymały na temat czasów znanych mi z autopsji: epoki Gierka, Solidarności, stanu wojennego czy tzw. transformacji ustrojowej. Ale jak tym wszystkowiedzącym gostkom wyjaśnić, że trudne czasy generują bohaterów, a okres bezideowej prosperity obfituje wysypem pasożytów i idiotów?

Gdybyśmy po II wojnie światowej trafili jakimś cudem do zachodniej strefy wpływów, a plan Marshalla zbudowałby w Polsce konsumpcyjny dobrobyt – nasze kościoły świeciłyby dziś pustkami, a my ścigalibyśmy się z Hiszpanią, Francją czy Niemcami na lewackość i genderowość. Hipotezę tę potwierdzają statystyki ostatnich lat wskazujące na wzrost (wręcz dominację) lewicowych przekonań wśród młodych Polaków. Duża w tym „zasługa" polityków prawicy niedoceniających roli edukacji i popkultury w tożsamościowym wychowaniu młodzieży urodzonej już w XXI w. Również Kościół – przetrzebiony i zinfiltrowany przez rządy komunistów (z „lawendową mafią" jako wisienką na torcie) – nie znajduje świeżych pomysłów na nową ewangelizację. Zagonieni do „wyścigu szczurów" rodzice utracili już wpływ na wychowanie swych dzieci na rzecz smartfona. Z braku egzystencjalnych zagrożeń zanika w nas (jako zbiorowości) naturalny instynkt przetrwania. Gdy pojęcie dobra jest relatywizowane, nauka demolowana, a dotychczasowa normalność staje się (według najnowszych wytycznych Parlamentu Europejskiego) niezalecana – zasadne jest pytanie nie o to „czy", ale „kiedy" upadnie nasza cywilizacja? Niespodziewana pandemia (przypadek?) proces ten tylko przyspieszy.

PS Do niedawna się pocieszałem, że mnie to już nie dosięgnie. Niestety, zmiany mocno przyspieszyły...

Lekcja niemieckiego

Piotr Cywiński

Guten Tag, liebe Freunde, dzień dobry, drodzy przyjaciele! Inaczej zacząć mi nie wypada, mamy przecież nowy rozdział w niemiecko-polskich stosunkach, ein neues Kapitel in den deutsch-polnischen Beziehungen, które są tak dobre, że dobrze nam tak. A skoro nam tak dobrze, es uns so gut geht, i jesteśmy takimi bliskimi przyjaciółmi, so dicke Freunde, to nie może być między nami żadnych tematów tabu, keine Tabuthemen.

Więc, also, zgodnie z duchem zawartego w 1991 r. traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, über gute Nachbarschaft und freundschaftliche Zusammenarbeit, nasi przyjaciele zza Odry niepokoją się o nas bardzo, sind sehr besorgt, w tym ciężkim czasie narodowo-konserwatywnego rządu Kaczyńskiego, national-konservative Kaczynskis Regierung. Byłoby po prostu głupio, einfach dumm, gdyby nie reagowali, gdy ten na ich oczach, vor ihren Augen, wszystko niweczy, macht alles Kaputt. Niech wiedzą Polki i Polacy, że możemy liczyć na solidarność niemieckich współobywateli, Solidarität von den deutschen Mitbürgern, że was uns nicht kaputt macht, co nas nie zniszczy, macht uns stark, to nas wzmocni.

„Die PiS-Version von »Kaum gestohlen, schon in Polen«", tak oto skwitował mało znany, ale przydatny Thomas Dudek – urodzony w Zabrzu, dziś freier Journalist, wolny dziennikarz z Berlina – że PiS ukradło sukces, jakim było podjęcie budowy, Baubeginn eines Tunnels in Swinemünde, tunelu w Świnoujściu, bo to za pieniądze UE. Albo ten Andrzej Duda, prezydent, polnische Staatsoberhaupt, nie dość, że Polska jest mocno krytykowana za reformy wymiaru sprawiedliwości i mediów, steht wegen umstrittener Justiz- und Medienreformen massiv in der Kritik, że nie tylko ucierpiało na tym państwo prawa, nicht nur der Rechtsstaat, lecz także parlamentaryzm, auch der Parlamentarismus hat gelitten, to jeszcze ten publicznie judzi, macht öffentlich Stimmung gegen, przeciw niemieckiemu dziennikarzowi, alarmuje Jan Pallokat, aus dem Studio ARD in Warschau.

Kto wybiera ten PiS, toż to ewidentne łamanie traktatowych regulacji o przyjaźni i dobrym sąsiedztwie, Verstoß gegen Regelung! Wyborcy Kaczynskis Regierung, rządu Kaczyńskiego, „Fickt PiS!", „Verpisst euch!", „Je*** ***", „Wy*********!" czy, oder: chcecie wojny totalnej?! – „wollt ihr den totalen Krieg, totaler und radikaler, als wir ihn uns heute überhaupt erst vorstellen können?!", bardziej totalnej i radykalnej, niż możemy sobie dzisiaj wyobrazić?! Ach, przepraszam, Entschuldigung, tak było za Goebbelsa, my mamy przecież ein neues Kapitel in den deutsch-polnischen Beziehungen, nowy rozdział w niemiecko-polskich stosunkach...

Reklama | 4/0321/F

eprasa.pl 28be6bae23

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII

100 płyt w prezencie

*Piękna płyta **„Słynne włoskie arie operowe”***
*w wykonaniu obdarzonej niezwykłym głosem znakomitej polskiej sopranistki **Anity Rywalskiej-Sosnowskiej***

Producent płyty: BONGO media production

Partner płyty: PZU

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Fot. Shutterstock

ZAMÓW LUB PRZEDŁUŻ ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a płytę **Słynne włoskie arie operowe** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 28be6bae23

Kampania z miłości

Fundatorem i inicjatorem przedsięwzięcia jest rodzina z Raciborza – Kasia, Mateusz i ich dzieci

JAN POSPIESZALSKI

„Wąska grupa domagająca się absolutnego zakazu aborcji zdecydowała, że ma prawo skazywać kobiety noszące wadliwie rozwijające się płody na cierpienie w imię satysfakcji, jaką daje im władza. Plakaty z płodem wpisanym w serce mają na celu normalizację tego stanu rzeczy" – pisze poseł Maciej Gdula, nazywając afirmujące macierzyństwo billboardy „pastelowymi torturami i najbardziej obrzydliwą kampanią w historii". Z kolei Agnieszka Graff w „Wysokich Obcasach" lamentuje, że atakuje ją armia płodów, są wszędzie! Całe tabuny płodów! Co ją tak boli? Publicystka wyjaśnia: „Mamy w Polsce kapitalistyczne państwo wyznaniowe, więc Kościół i okołokościelne organizacje mają dostęp do publicznych pieniędzy i publicznych mediów".

Pomijając absurdalność tych zarzutów, Maciej Gdula i Agnieszka Graff mijają się z prawdą. Imponująca rozmachem kampania nie korzysta z publicznych pieniędzy ani nie ma nic wspólnego z obecną władzą. Gdula w jednym przypadku ma rację. W historii nie było jeszcze takiej kampanii. Fundatorem i inicjatorem przedsięwzięcia jest rodzina z Raciborza – Kasia, Mateusz i ich dzieci. Nie tylko finansują kampanię z własnych środków (nie jest to jedyne ich zaangażowanie pro publico bono), lecz są też kreatorami – wymyślają hasła, dobierają grafikę, opracowują strategię, planują zakup nośników. Zaczęli skromnie, dość tajemniczo, słynnym już sercem. Prawa do wykorzystania grafiki kupili w serwisie stockowym. Każdy twórca pewnie ma satysfakcję, gdy jego dzieło jest szeroko rozpowszechnione. I tu pewnie by tak było, ale gdy proaborcyjne media dotarły do autorki, Rosjanki Jekateriny Głazkowej, (zapewne przedstawiając akcję billboardową w takim kontekście, jak opisują ją Graff i Gdula) ta odcięła się od własnego plakatu, twierdząc, że ona sama popiera dostęp do aborcji. To kolejny przykład, że talent artysty nie zawsze idzie w parze z wrażliwością, moralnością i kwalifikacjami intelektualnymi.

Mecenasi i autorzy kampanii, mając prawa do grafiki, zaopatrzyli ją w kolejnych odsłonach w hasła: „Jestem zależny – ufam tobie", „Hospicja perinatalne" lub „Życie ma sens", jednocześnie rozwijając inicjatywę o kolejne projekty z wizerunkiem twarzy dziecka z napisem „Mam 5 miesięcy". Zarzut o związek z polityką być może w jednym przypadku zdaje się trafny. Gdy Koalicja Obywatelska zaprezentowała projekt ustawy o dopuszczalności aborcji do 12. tygodnia ciąży, na ulicach polskich miast natychmiast pojawiły się plakaty i billboardy z maleńkimi stópkami dziecka z dopiskiem „Mam 11 tygodni". Równolegle autorzy wprowadzili nowy projekt: „Kochajcie się mamo i tato". Wymowa kampanii jest niesamowita. Zarówno przesłanie, jak i rozmach wywołują skrajne emocje. Zachwyt i podziw, ale też wściekłe reakcje środowisk proaborcyjnej lewicy.

Wojciech Korkuć, artysta plastyk, autor i organizator wielu kampanii billboardowych, uważa, że mamy do czynienia z bezprecedensowym zjawiskiem artystycznym i społecznym. Proste, pozytywne w wymowie, estetycznie znakomite i bardzo łagodne w przesłaniu plakaty, wywołują furię. Nie tylko w cytowanych tekstach. Widać również podczas ulicznych demonstracji „strajku niektórych kobiet". Tłuczenie kaset z citylightami, niszczenie nośników, zamalowywanie tablic reklamowych odbywało się w czasie manifestacji z udziałem prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego. To bodaj jedyny przypadek w historii, gdy urzędujący włodarz miasta autoryzuje demolowanie miejskiego mienia. Zniszczenia pochwalali, wręcz podżegali do agresji, niektórzy celebryci i politycy, m.in. posłanka Jachira. „Jak się ma to uliczne barbarzyństwo do deklaracji poszanowania inności, tolerancji i różnorodności? Jeżeli oni z taką agresją traktują plakaty, co zrobią z nami, gdy dojdą do władzy?" – pyta Wojciech Korkuć.

Wobec ogólnopolskiego zasięgu i rozmiarów kampanii, która trwa już pięć miesięcy i do dziś obejmuje 20 tys. jednostek (jednostka to miesięczna ekspozycja na jednym nośniku), żaden licealista nie może już powiedzieć, że nie wie, jak wygląda kilkunastotygodniowe dziecko w łonie matki. Wściekła agresja wobec przesłania miłości jest zaś dowodem bezradności i pokazuje, kim są naprawdę zwolennicy wolnego wyboru.

eprasa.pl 28be6bae23

Michał Korsun prezentuje:* *Piękny umysł z „Milionerów": „Dwa plus dwa równa się...?"

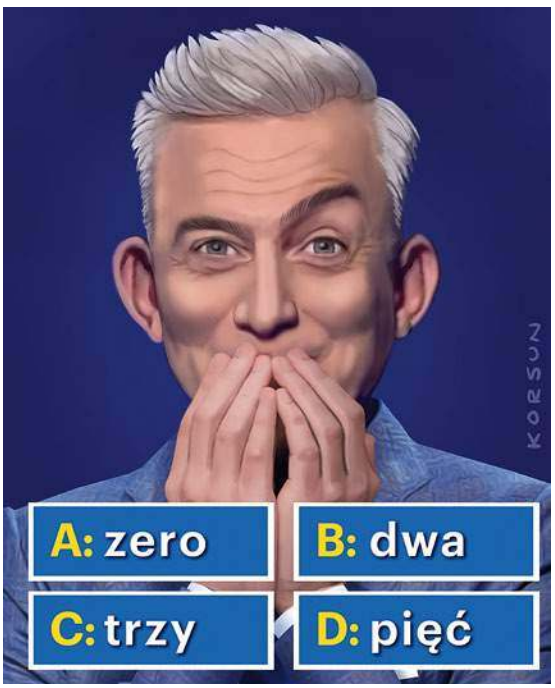

Wycinki z przeszłości

Małżeństwo to poważna sprawa. Nasi przodkowie nie mieli w tej kwestii wątpliwości. A jak wynika z ogłoszeń matrymonialnych zamieszczonych w „Tygodniku Narodowym" na przestrzeni 1913 r., była to także sprawa mająca swój wymiar finansowy. Oto kilka z nich.

PRZYSTOJNA PANNA, lat 38, posiadająca kamienicę dobrze się procentującą w wartości 36 000 marek oraz zaprowadzony interes, szuka MĘŻA. Panowie w starszym wieku, wdowcy religijni, miłego charakteru, z majątkiem, którym zależy na szczęśliwem pożyciu małżeńskim, raczą swe oferty złożyć.

Dla BRATA MEGO nauczyciela na wsi poszukuję ŻONY. Panienki, blondynki 22–27 lat, wykształcone, muzykalne, posiadające gotówkę i wyprawę, zechcą łaskawie złożyć swe oferty z dołączeniem fotografii.

KAWALER liczący lat 27, posiadający dobrze prosperujący interes we wielkim mieście na obczyźnie, poszukuje dla braku znajomości pań, na tej drodze ŻONY. Młode panienki w wieku 18–25 lat zechcą łaskawie zgłosić się z dołączeniem fotografii.

TECHNIK BUDOWLANY, inteligentny, lat 23, z wysokim dochodem, pragnie poznać na drodze korespondecyi młodą, nieszpetną i wykształconą PANIENKĘ, celem ożenku.

KUPIEC, lat 27, w zapewnionym stanowisku, chcąc się usamodzielnić, szuka TOWARZYSZKI ŻYCIA. Rzetelne oferty z dokładnem podaniem stosunków familijnych i fotografii uprasza się nadsyłać.

Na ilustracji grafika także z „Tygodnika Narodowego". ***(mk)***

Marcowe koncerty (na żywo)

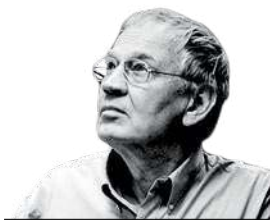

Leszek Długosz

Najpiękniejsza kocia muzyka,
wiadomo
W marcowym garncu
– W nim najlepsza akustyka!
Gdy zew wspólny idzie z głębi
Jedno wielkie wołanie:
Jesteśmy, pragniemy
I niech tak się stanie!

Ach, kocie *amoroso*
Marcowe na przedwiośniu
party!
Wszędzie po wszystkich
kocich estradach
Po płotach, przy kominach
W piwnicach
W marcu
Jakież serenady płyną
bez żenady!
– Arie kuplety zbiorowe ryki
W technice trady –
I nader indywidualnej
Mruczanda glissanda
wyjanda
(Bez zahamowań,
wypada – nie wypada)
– Zzieleniałby sam
Penderecki
Słysząc – co jest u kotów,
a czego w swych dziełach
Jeszcze nie umieścił.
– To tyle co do formy
Gdyż co do treści
– W zasadzie nieustannie,
Panowie, Panie
W kółko to samo:
Ach Kiciu słodka, Kotku złoty
itepe, itede
Takie tam na okrągło
Kocio erototęsknoty
Tu jestem!
Czekam na poddaszu
Przybywaj Dulcyneo
Pospieszaj Don Juanie
waleczny
– Już wieczór...

Lubo w odmiennej –
W słodko-brutalnej tonacji:
Milcz mi tu cichaj, wydro
uliczna
Persko-syjamska wywłoko
zagraniczna!
– Sypią się iskry, prężą się
grzbiety
Przyjdź, refren wraca
A po grze wstępnej, obiecuję
– Gdy noc żyrandol złoty
zapali
My wtedy – żadne Eine Kleine
My wtedy sobie urządzimy
cały festiwalik!

I tu westchnienie czytelnicze
Jak postludium ciche
Bo my, wytrawni
erotomelomani
My wiemy, mamy swoje
zdanie:
– Nie ma jak klasyka
W tej kategorii nic lepszego
– Bez zbędnych kombinacji!
Nie ma jak klasyczna
– KOCIA MUZYKA
W MARCU!

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 28be6bae23

OD A DO ZYBERTOWICZ

Netflix najważniejszą ze sztuk

Netflix kształtuje nowy elektorat polityczny. Może trafniej określić: antypolityczny?

Influencerki zapowiadają, że wiosną modne włosy będą wyraziście rude, czyli „rude gambitowe". Kto ogląda Netflixa, już wie, że to sprawka zagadkowej rudowłosej bohaterki popularnego serialu „Gambit królowej".

WIDOWNIA CHŁONIE

Jakie jeszcze inne „mody" inspiruje Netflix? Platforma oferuje tysiące filmów, tak różnych, że zaspokoją niemal wszystkie gusta. Trochę hipermarket albo galeria handlowa. Można tu „poobserwować" ludzi, style życia, wizje, obsesje, superstrachy – wszystko, czym kusi współczesny świat.

Z raportu Nielsen Media wynika, że w Polsce już co czwarte gospodarstwo domowe korzysta z płatnego streamingu. Liczba polskich użytkowników samego Netflixa szacowana jest na 900 tys. Duży przyrost widzów nastąpił w roku pandemicznym, bo gdzież szukać tu ucieczki od ponurej rzeczywistości.

A rzeczywistość netflixowa może być bardzo... barwna. W repertuarze platformy obok pozycji ambitnych i wartościowych znajdziemy całą zbieraninę filmów i seriali, które trudno określić inaczej niż idiotyczne, dziwaczne, zakręcone do granic możliwości. Są też takie, które lansują zamęt w psychice.

Gdy z okazji walentynek Netflix sprezentował widzom darmowe kody na filmy, to na wypadek gdyby niepostępowy widz czuł się zagubiony, filmy o tematyce miłosnej podzielono na odpowiednie kategorie. A wśród nich wyróżniono: romantyczne filmy o tematyce LGBTQ+; niecodzienne związki; dziwaczne filmy romantyczne; romantyczne filmy o miłosnych trójkątach; reality TV o miłości.

Jak duży wpływ może mieć Netflix na społeczne postawy swoich widzów? Na ile platforma ta mebluje nasze głowy?

Pominę teraz zjawisko binge watching – kompulsywne oglądanie większej liczby odcinków serialu jedną... serią. Oglądanie seriali ciurkiem, odcinek po odcinku niekiedy z zarywaniem nocy, zaniedbaniem obowiązków, to domena głównie młodych. No, tak myślę, że młodych.

LENIN ŻYWY WIECZNIE

Kto w gronie młodej netflixowej widowni zna głośny swego czasu bon mot Włodzimierza Lenina: „Kino jest najważniejszą ze sztuk!". Dlaczego przywódca bolszewików, którzy w roku 1917 zdobyli władzę w Rosji, tak wielką rolę przypisał kinu – które wtedy przecież jeszcze nie dysponowało całym arsenałem dziś dostępnych hollywoodzkich sztuczek? Zdaniem Lenina film miał silnie oddziaływać na wielonarodową radziecką Rosję – masy widzów biernie przyswajających opowieści o świecie. Film miał tworzyć jednolity przekaz, który z jednej strony pokazywałby idee i wartości komunizmu, z drugiej zaś – jednoczył pod wspólnym sztandarem walki przeciwko „wrogom klasowym".

Sto lat później Netflix silnie oddziałuje na zróżnicowaną, międzynarodową widownię. Propaguje kanony, które wyraźnie i systematycznie budują mentalność „postępowych i wolnych" ludzi Zachodu. Kłopot w tym, że ci „wolni ludzie" to często samotni bohaterowie, z pochrzanioną tożsamością, tak naprawdę bezsilni wobec świata, którego nie są w stanie ogarnąć. Hołubienie za wszelką cenę różnorodności (często w istocie dziwactw i wynaturzeń), normalizacja zachowań, które są aspołeczne, niebezpieczne, nieodpowiedzialne, głoszenie płynności granic, które dotąd były niezbędne w utrzymywaniu porządku moralnego, stwarza nowoczesnego człowieka, który te granice beztrosko przekracza.

Netflix też kształtuje nowy elektorat polityczny. Może trafniej określić: antypolityczny? Zagniewany, nabuzowany emocjami z poziomu ośmiu gwiazdek, ale czy zdolny do scalania trwałych cząstek układających się w dobro wspólne?

Raport Reduty Dobrego Imienia „Możliwości przeciwdziałania zniesławieniom na platformach streamingowych typu Netflix" przestrzega: „Przyszłość środków masowego przekazu będzie należała do globalnych przedsiębiorstw zajmujących się transmisją strumieniową, które w większości przypadków będą poza zasięgiem wpływu rządów i będą coraz mocniej ingerować w życie każdego, kto ma dostęp do internetu".

Wygląda na to, że z Leninem nadal mamy kłopot.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 56/0221/F

eprasa.pl 28be6bae23

Forum wGospodarce.pl

Zapraszamy do śledzenia relacji i wniosków
z dorocznego cyklu debat o wyzwaniach gospodarczych
z udziałem ekspertów i liderów administracji oraz biznesu

III edycja projektu Grupy Medialnej Fratria poświęcona jest temu

– JAK STWORZYĆ ODPOWIEDNIE WARUNKI DO BUDOWY NOWEGO ŁADU SPOŁECZNO-GOSPODARCZEGO I OSIĄGNĄĆ ROZWOJOWY SUKCES

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Finansów
Ministerstwo Klimatu i Środowiska
Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii
Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia
govtech Polska

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro
Dr. Schumacher Sp. z o.o.
PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

Abbott
abbvie
AstraZeneca
Deloitte.
emitel
JTI
LIDL
SERVIER
VELUX

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

GAZETA BANKOWA
SIECI
wPolityce.pl
W POLSCE PL
wGospodarce.pl

eprasa.pl 28be6bae23

DRAP

KASA WPADA

Zdrapki

LOTTO

eprasa.pl 28be6bae23